

W PREZENCIE:
WYJĄTKOWA MAPA POLSKI
1918–1921



OPERACJA: „ZAKŁAMAĆ SUKCES MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI"

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 47 (312) 2018
19–25 listopada
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

WRACA KOSZMAR

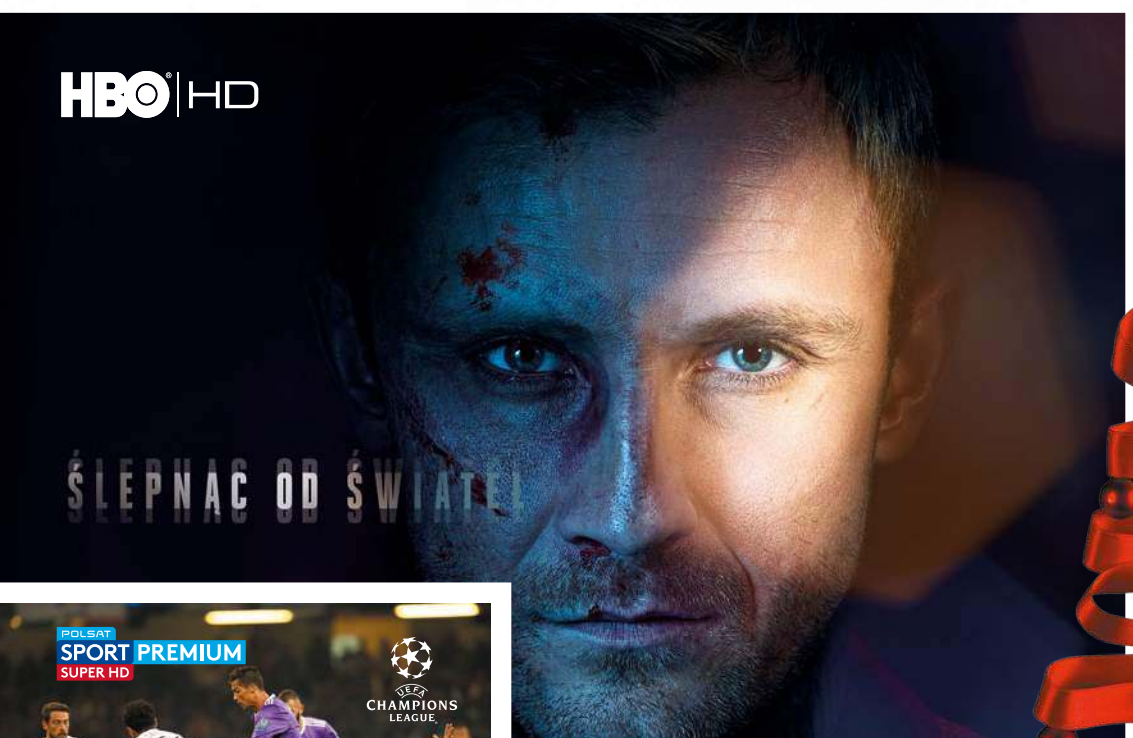
DONALD TUSK ZNÓW CHCE RZĄDZIĆ POLSKĄ I ODNOWIĆ UKŁAD ZAMKNIĘTY III RP. JAK OBÓZ DOBREJ ZMIANY MOŻE GO ZATRZYMAĆ?

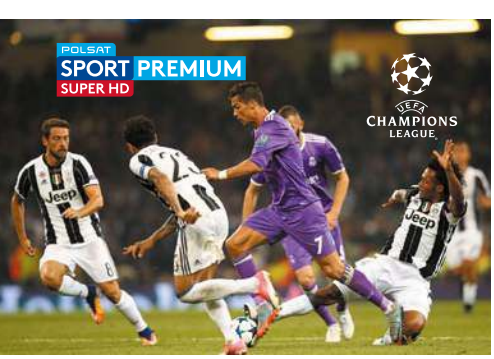
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 47

prasa.pl

CYFROWY POLSAT

Świąteczne promocje!
Telewizja na start
6 miesięcy bez opłat!









Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od świateł" © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców" © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjago" I LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 3de1d194be

Skończyć z tym tańcem

Myśląc o aferze związanej z byłym już przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego, nie należy tracić z pola widzenia trzech jej aspektów.

Aspekt pierwszy jest tożsamościowy. Prawo i Sprawiedliwość budowało swój wizerunek i coś znacznie większego – właśnie tożsamość – na kontraście z poprzednimi ekipami, uznawanymi za strukturalnie wręcz skorumpowane. Według najostrzejszych interpretacji – za swego rodzaju związki zawodowe skorumpowanych.

Nie było to pozbawione związku z rzeczywistością, a na pewno przynosiło polityczne zyski. Ale miało również ten efekt, że właśnie w tej dziedzinie PiS ma słaby punkt. Po prostu pod tym względem znaczna część jego ludzi i elektoratu jest wrażliwa. Jest skłonna do wybaczenia swoim reprezentantom bardzo wielu rozmaitych rozczarowujących posunięć i zaniechań na wszystkich polach. Poza właśnie tym jednym.

I nie należy się łudzić – teza, iż mianowany przez obecne władze przewodniczący KNF nie jest pisowcem czy też „prawdziwym pisowcem", jest skrajnie trudna do zużytkowania jako argument poza środowiskami ze ścisłego jądra formacji. To po prostu w uszach większości Polaków spoza tych sfer musi brzmieć nieprzekonywająco.

Dlatego dla partii rządzącej nie ma obecnie kwestii ważniejszej niż doprowadzenie do tego, by rozstrzygnięcie sprawy potwierdziło obraz ugrupowania jako tego, które – w odróżnieniu od innych – potrafi bezlitośnie eliminować ze swoich szeregów nie tylko udowodnioną korupcję, lecz również praktyki i klimaty mogące się z nią kojarzyć.

Zarazem trzeba pamiętać, że po drugiej stronie nie znajdował się żaden tam niszczony przez złe państwo i złych urzędników biznesowy baranek, tylko... użyjmy ostrożnych słów: bardzo ostry zawodnik. Człowiek, wobec którego przedsiębiorstw formułuje się niezwykle daleko idące zarzuty. Zarzuty, które w ciągu ostatnich miesięcy kumulowały się w konkretne działania organów państwa (w tym KNF), mogące skutkować drastycznym załamaniem wyceny kontrolowanego przez Leszka Czarneckiego majątku. Jako prawdopodobna jawi się więc interpretacja, zgodnie z którą podjął on swoją akcję, aby odwrócić to zagrożenie. Tylko że to nie unieważnia faktu, iż podstawowym wyzwaniem dla rządzących pozostaje to, opisane na początku tego komentarza.

Wreszcie: gdy cała sprawa wybuchała, zaczęła dookoła niej być widoczna gra rozmaitych zwalczających się frakcji i koterii istniejących wewnątrz obozu rządzącego. A ostatnio nie tylko afera KNF unaocznia, że zjawisko to osiąga poziom groźny, starszym obserwatorom przypominający czasy AWS. Właśnie to skojarzenie powinno uczestnikom tego opętańczego tańca unaocznić skalę zagrożenia.

Jest jeszcze czas, by tę sytuację odwrócić.

Piotr Skwieciński



SIECI spis treści



30 *Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim rozmawia Jacek Karnowski*



42 Z wicepremier Beatą Szydło *rozmawia Dorota Łosiewicz*



72 Między oceanami i kontynentami *Przemysław Barszcz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

9 **MARSZ NIENAWIŚCI**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **NIENAWIŚĆ OGŁUPIA**
Jan Pietrzak

15 **TOTALITARNI LIBERAŁOWIE**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WAŻNY WYMIAR NIEPODLEGŁOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **MARZENIA O ŻYRANDOLU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

26 **PLAN TUSKA**
Stanisław Janecki

KRAJ

30 **Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

36 **JEDEN MARSZ, DWIE RZECZYWISTOŚCI**
Konrad Kołodziejski

40 **GRA VA BANQUE**
Kajetan Kutnowski

42 **Z WICEPREMIER BEATĄ SZYDŁO**
rozmawia Dorota Łosiewicz

46 **PREZESEM SIĘ BYWA, WIEDZĘ SIĘ MA**
Jaromir Kwiatkowski

50 **DLA DOBRA DZIECI?**
Dorota Łosiewicz

52 **Z MECENASEM JERZYM KWIATKOWSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

SIECI KULTURY

55 **Z AKTOREM CEZARYM PAZURĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

59 **GENIUSZ JAZZOWYCH SKRZYPIEC**
Adam Ciesielski

60 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

66 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

68 **REMIS DOBRY DLA TRUMPA**
Jan Rokita

72 **MIĘDZY OCEANAMI I KONTYNENTAMI**
Przemysław Barszcz

GOSPODARKA

76 **NIE TYLKO SUSZA WYSUSZA PORTFELE**
Jadwiga Marcińska

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: MIŁKA RAULIN**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **ONI NAPRAWDĘ CIĘŻKO PRACUJĄ**
Piotr Skwieciński

89 **PROROCTWO KORY**
Maciej Pawlicki

90 **BYCIE WSPÓLNOTĄ**
Wojciech Reszczyński

91 **UWOLNIĆ BARABASZA!**
Lech Makowiecki

92 **EWOLUCJA JĘZYKA**
Aleksander Nalaskowski

93 **MYŚLI ANTYPOLSKIE**
Wiktor Świetlik

94 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **W KWESTII FLARY**
Ryszard Makowski

97 **PARĘ WESTCHNIEŃ KAPUŚCIE POŚWIĘCONYCH**
Leszek Długosz

98 **EPISTEMOLOGIA W CHMURZE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja

eprasa.pl 3de1d194be

Jak przez przypadek zostać... prezydentem?



Serial „Sługa narodu”

w każdy wtorek o 22:00

POWTÓRKI: ▶ SOBOTA 16:00 ▶ NIEDZIELA 21:00

OGLĄDAJ W POLSCE PL

CYFROWY POLSAT	upc	NETIA	VECTRA
NA POZYCJI 196	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon	NA POZYCJI 192	NA POZYCJI 825



Sygnalista nadaje

Były już szef KNF Marek Chrzanowski naoglądał się chyba za dużo amerykańskich seriali i uznał, że może sobie pogrywać oraz negocjować z banksterami. Może w Ameryce odniósłby nawet sukces, ale przecież nasze rekiny bankowości mają w sobie nie tylko kapitalistyczną brutalność, lecz także, jakże często, bezpieczniackie doświadczenie. Trzeba być naprawdę mocnym zawodnikiem, żeby siadać z nimi do stołu. Najlepiej nigdy nie siadać i uważać nawet przy podawaniu ręki.

Czarnecki nagrał Chrzanowskiego za pomocą trzech urządzeń i nawet „szumiała", czyli zagłuszacze, nie pomogły byłemu szefowi KNF. Bankowiec zdobył cenną kartę, którą wyłożył na stół w chwili, gdy jego biznes zaczął drżeć w posadach. No i rząd ma teraz poważną zagwozdkę: jeśli wejdzie do zagrożonych upadłością banków, pan Leszek powie, że to zemsta władzy za ujawnienie korupcyjnej propozycji. Jeśli nie wejdzie, a banki same padną, też będzie na rząd. Tak oto pan Leszek podzielił się odpowiedzialnością z państwem polskim.

Korupcyjna propozycja, będąca osią całej sprawy, jest z kolei więcej niż hipotetyczna. Bo na nagraniu nie ma o tym słowa. Czarnecki twierdzi, że Chrzanowski pokazał mu karteczkę z napisem „1 proc.". Jeśli tak, to dlaczego nie pociągnął tego wątku w rozmowie? Przecież nagrywał i zapewne zależało mu na uzyskaniu dźwiękowego potwierdzenia. On tymczasem po prostu milczał. Zastanawiający brak reakcji jak na takiego wyjadacza.

W środowisku medialnym do dziś krąży legenda o pewnym bankowcu, który z zemsty za ujawnienie swojej agenturalnej przeszłości przez jedną z gazet wyposażył w poważne kredyty pewnego biznesmena. A to z kolei pozwoliło owemu przedsiębiorcy na przejęcie wydawnictwa i wywalenie całej ekipy odpowiedzialnej za publikację. Niby legenda, ale jakoś bardzo wiarygodna. Dziś nawet bardziej niż kiedyś.

Jeden z dziennikarzy ekonomicznych podsumowuje sprawę tak: „Z jednej strony wyrafinowane machinacje finansowe, z drugiej tysiące ludzi pozbawione majątku. Facet powinien mieć indywidualne spotkania z prokuratorem, a nie z szefem KNF. Może dlatego od tygodnia siedzi na Florydzie?". Coś nam się wydaje, że być może będzie się cieszył amerykańskim słońcem aż do wyborów, które mogą przynieść mu zwrot tej nagraniowej inwestycji.

Jeszcze przed wyborami ma wrócić ***Donald Tusk***. Ale czy jego słynne wyczucie Polaków nie zwietrzało w Brukseli? Przed 11 listopada wyczuwał chyba klęskę obchodów, dlatego zachęcał zwolenników do walki ze „współczesnymi bolszewikami". Liczył na zimny wiatr, deszcz, zadymy na ulicach. A tu masz babo placek, mieliśmy wielkie, narodowe święto w tonie dawno niewidzianej jedności. Wyszło na to, że Tusk uważa za bolszewików co najmniej ćwierć miliona rodaków, którzy przeszli ulicami stolicy w Marszu Niepodległości.

Co robi Tusk, gdy jest jasne, że koszmarnie wtopił? To, co zawsze, czyli wypiera się w żywe oczy. „Kiedy powiedziałem, że Polacy dziś też mogą pokonać współczesnych bolszewików, wszyscy uznali, że to było o PiS. Nawet PiS tak pomyślał. A to było o bolszewi-

Tweety rzecz ulotna, łatwo skasować. Ale niektóre to prawdziwe perełki i warto ocalić dla potomnych. Prof. Krystyna Pawłowicz tak opisała spodziewany powrót Tuska: „A ruda BESTIA krąży wokół chrześcijańskiej Polski, mizdrzy się, kłamie, knuje, udaje, czai się, szuka czasu i miejsca, w których można by skutecznie w nas, Polaków, ugodzić… 100-lecie naszej Niepodległości to dla niej symboliczny czas na zemstę. Ruda Bestia krąży…". Niby nie ma ludzi niezastąpionych, ale jej zastąpić niepodobna.

eprasa.pl 3de1d194be

kach, o nikim innym" – stwierdził cynicznie. W jednym ma rację: współcześni bolszewicy to nie PiS, ale jego wrogowie. W końcu bolszewicy – niezależnie od epoki i pochodzenia – zawsze nienawidzili silnej i wiernej Polski.

Na pl. Piłsudskiego stoi już pomnik Lecha Kaczyńskiego. Po ośmiu latach od tamtych strasznych kwietniowych dni prezydent został godnie upamiętniony. Grupka kodziarzy nie odpuściła i próbowała zakłócić uroczystość odsłonięcia, ale cała reszta przemysłu pogardy jednak odpuściła. Nie zaatakowali frontalnie. Może wstydzą się tego, co mu zrobili? Niewielka nadzieja, wstyd to cecha cywilizacji chrześcijańskiej. Czy ktoś widział bolszewików, którzy czegokolwiek się wstydzą?



Jeden ***Stefan Niesiołowski*** nie skorzystał z okazji, by milczeć. „Lech Kaczyński nie zasługuje na pomniki. Zresztą większy problem będziemy mieć z Wawelem. W jakiejś cywilizowanej formie trzeba będzie przenieść parę prezydencką" – ogłosił radośnie. Każdy może snuć plany. Na przykład Jarosław Kaczyński ogłosił, że powinno też powstać Muzeum Lecha Kaczyńskiego. I to ten plan ma większe szanse powodzenia niż wizje szalonego Stefana.



Opozycja ciężko przeżyła ostatnie dni. Cieszyć się z niepodległości nie bardzo umie, a krytykować trochę się boi, więc sięga po wątki poboczne. ***Joanna Scheuring-Wielgus*** opowiedziała mediom o swoim spacerze z Dworca Centralnego pod Pałac Kultury i Nauki. Jak twierdzi, została obrzucona niecenzuralnymi wyzwiskami zakończonymi wezwaniem: „Won z Polski!". No cóż, kibole są, jacy są, z pewnością nie było to nic miłego ani godnego pochwały. Czy jednak w takim dniu trzeba się pchać w oko cyklonu? To naprawdę nierozważne.



Również prof. Zdzisław Krasnodębski dostrzegł zachowania niegodne: „Narodowcy to podobno wielcy patrioci, dlaczego więc w to wielkie, piękne święto piją bez umiaru, przeklinają, aż uszy więdną, i sikają po bramach?" – zapytał na Twitterze. Narodowcy mają oczywiście o sobie lepsze mniemanie. I chyba słusznie. Przy okazji warto zwrócić obecnej władzy uwagę, jak niewiele zrobiła, by lepiej wychowywać młodzież. Internet szerokopasmowy w każdej szkole czy darmowe książki nie zastąpią nam promocji dobrych wzorców. A w tej sferze, wyjąwszy patriotyzm, jest, jak było albo i gorzej.



Upaństwowiony Marsz Niepodległości udał się tak bardzo, że wielu kusi idea powtórzenia imprezy w nowej formule także w przyszłym roku. Ale to będzie trudne, bo przedstawiciele rządu obiecali narodowcom w czasie negocjacji, że to numer jednorazowy. 101. rocznicę odzyskania niepodległości PiS spędzi więc po staremu, w Krakowie. Chyba że Trzaskowski okaże się równie nieinteligentnym prezydentem, co ***Hanna Gronkiewicz-Waltz***. Gdyby prezydent stolicy nie zakazała marszu, rząd musiałby albo sięgnąć po wojewodę, albo byłaby katastrofa.

Na pl. Piłsudskiego ma też wrócić Pałac Saski, zburzony przez Niemców już po upadku powstania warszawskiego. Wreszcie! Odbudowa ma kosztować ok. 1 mld zł. Słusznie prof. Aleksander Nalaskowski zaproponował na łamach wPolityce.pl, by za odbudowę zapłacili ci, którzy go zburzyli. Dla nich nie są to przecież jakieś wielkie kwoty. A tak wrażliwym etycznie i tak wyczulonym na krzywdę współczesnym Niemcom przyniosłoby to z pewnością pewną ulgę w cierpieniu.

Stulecie uczcili także autorzy wystawy w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, którzy domagają się od obecnego dyrektora, dr. Karola Nawrockiego, usunięcia z wystawy „flagi polskiej, o. Maksymiliana Kolbe, rodziny Ulmów, rotmistrza Pileckiego". Może byłoby dobrze, gdyby muzeum proces przegrało? Transmisja na żywo z usuwania wizerunków wspomnianych bohaterów z ekspozycji byłaby piękną puentą całej opowieści. Prof. Machcewicz z pewnością pękałby z dumy.

PiS przejęło władzę w sejmiku dolnośląskim. W sumie rządzi już w siedmiu województwach, a ma też pewne szanse i w kolejnych trzech. Dolny Śląsk – matecznik Schetyny – boli jednak szczególnie. Nie obędzie się chyba bez awantury. Józef Pinior – były senator PO zamieszany w głośną sprawę korupcyjną – zapowiedział protest... pracowników urzędu marszałkowskiego! Tacy to apolityczni fachowcy. Ale najlepsze, że zdaniem Piniora koalicja Bezpartyjnych Samorządowców z PiS to „zdrada polskiej demokracji, polskiej wolności". Tak, największym zagrożeniem dla demokracji są wolne wybory.

Znany poznański ksiądz Daniel Wachowiak został, zgodnie ze wskazaniami papieża Franciszka, wysłany na peryferie. Ma objąć niewielką parafię Piłka, położoną tak daleko od stolicy archidiecezji, jak to tylko możliwe. Trudno nie sądzić, że ma to związek z bezkompromisową postawą duchownego, z jego upominaniem się o wartości katolickie i chrześcijańskie w coraz bardziej lewicowym Poznaniu. Takich czasów dożyliśmy: tożsamościowi księża znów są na cenzurowanym. W przeciwieństwie do księży lewicowych werdykty przełożonych przyjmują z pokorą. Bo swoje kapłaństwo traktują poważnie.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 3de1d194be

SPRAWDŹ, DLACZEGO KATOWICE ZOSTAŁY GOSPODARZEM
SZCZYTU KLIMATYCZNEGO ONZ (COP24)

COP24·KATOWICE 2018
KONFERENCJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
W SPRAWIE ZMIAN KLIMATU



KATOWICE – MIASTO OBYWATELSKIE

Katowice zajęły 1. miejsce w woj. śląskim i 5. miejsce w Polsce w rankingu „miast obywatelskich" przygotowanym na zlecenie Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana i Fundacji Konrada Adenauera. W 66 miastach na prawach powiatu, które zostały ujęte w zestawieniu, oceniano aktywność mieszkańców i władz samorządowych. Zaangażowanie miasta i katowiczan zostało docenione przez ONZ, która przyznała Katowicom statut organizatora grudniowego Szczytu Klimatycznego COP 24.

Katowice jeszcze kilka lat temu kojarzyły się wielu osobom wyłącznie z szarością, kopalniami i węglem. Dziś nowa Strefa Kultury ze znakomitą architekturą oraz ciekawa i zróżnicowana oferta wydarzeń kulturalnych, sportowych i biznesowych przyciąga tysiące mieszkańców i gości z całego kraju i zagranicy. – *Przemiana Katowic z miasta przemysłowego w nowoczesną stolicę ponad dwumilionowej metropolii, która dokonała się w ostatnich latach, nie byłaby możliwa bez naszych mieszkańców* – mówi prezydent Marcin Krupa. - Ubiegając się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2011 roku katowiczanie uwierzyli, że mamy powody do dumy. Pozwoliło to wyzwolić wielką energię i chęć wprowadzania dalszych zmian. Zdobycie prestiżowego tytułu Miasta Kreatywnego UNESCO w dziedzinie muzyki w 2015 roku pokazało, że podążamy dobrą drogą – dodaje prezydent.

Katowiczanie uczestniczą w życiu miasta i dynamizują procesy rozwojowe w wielu różnych płaszczyznach. Dużą popularnością cieszą się mechanizmy partycypacyjne, jak inicjatywa lokalna czy największy w Polsce, w przeliczeniu per capita wśród miast wojewódzkich, 20-milionowy budżet obywatelski. - *Mieszkańcy chętnie korzystają z tego narzędzia, bo widzą realne efekty swojego zaangażowania w życie społeczności lokalnych. Do tej pory zrealizowaliśmy blisko 400 projektów wybranych w poprzednich edycjach. Dzięki zaangażowaniu katowiczan powstały m.in. wodny plac zabaw, wypożyczalnie rowerów miejskich, finalizujemy budowy tężni solankowej i lodowiska. Warto dodać, że frekwencja w głosowaniu na projekty BO w Katowicach jest jedną z większych w Polsce* – mówi prezydent Marcin Krupa.

Aplikacje do zmieniania miasta

W Katowicach z dużym sukcesem została w tym roku wdrożona platforma NaprawMyTo.pl, dzięki której udało się naprawić w przestrzeni miasta ponad dwa tysiące usterek. Za pomocą strony www lub mobilnej aplikacji mieszkańcy przekazują informacje urzędnikom w zakresie uszkodzonych chodników, dziur w drodze, zniszczonej zieleni, nielegalnego grafitti czy też dzikich wysypisk śmieci. Alerty dodawane przez zalogowanych użytkowników pojawiają się od razu na mapie. Mieszkańcy są informowani o kolejnych etapach rozwiązywania sprawy. Każdy alert można komentować, popierać i udostępniać na portalach społecznościowych. Dzięki platformie NaprawMyTo.pl została skrócona droga od mieszkańca do urzędnika, bo praktycznie każdy w kilkadziesiąt sekund może przesłać zgłoszenie.

Duża popularność projektu NaprawMyTo.pl zachęciła władze Katowic do wdrożenia kolejnej aplikacji umożliwiającej mieszkańcom kształtowanie przestrzeni publicznej. Platforma wCOP drzewo.katowice.eu umożliwia mieszkańcom precyzyjne wskazywanie miejsc, w których chcieliby, by pojawiły się nowe drzewa. Samo zgłoszenie lokalizacji zajmuje kilkadziesiąt sekund. Pierwsze nasadzenia zostaną zrealizowane jeszcze przed grudniowym Szczytem Klimatycznym.

eprasa.pl 3de1d194be

Marsz nienawiści



KRZYSZTOF FEUSETTE

Będąc młodą dziennikarką, najlepszej, moim zdaniem i mojego szefa też, gazety na rynku, postanowiłam zebrać nieco materiału, który przyspieszyłby moją karierę. W tym celu udałam się na Marsz Nienawiści, pardon, Niepodległości, chociaż to w zasadzie to samo, więc jednak nie pardon. Nawet przewodniczący Schetyna mówił, że to będzie marsz nienawiści oraz hańby (potem sprawdzę, przez jakie „h", bo Kluzikowa np. pisze przez „ch").

Pomna (co za dziwne słowo?) czegoś na kształt porażki mego redakcyjnego kolegi, który napastował się kiedyś na twarzy, by wzbudzić nienawiść u rodzin z dziećmi maszerujących na marszu, a co nie powiodło mu się wcale, postanowiłam, że przebiorę się za kukłę imigranta. Jak faszyści będą chcieli coś spalić, to fajnie, żeby mieli jakąś kukłę pod ręką. Szef działu uświadomił mi jednak, jak krótkowzroczny będzie to materiał, prezentując mi przy okazji zdjęcia budki, ale nie tego posła, tylko tej pod rosyjską ambasadą, którą nieznani sprawcy, ale jaja, ale jaja, podczas Marszu Nienawiści podpalili ogniem i mieczem. No, Sienkiewicz by tego nie wymyślił.

Niewiele się zatem namyślając, bo czas to pieniądz, a za myślenie u nas w redakcji nikt nie płaci (wystarczy spojrzeć na Wojciecha, jak szuka rozumu na stołówce), uznałam, że lepiej będzie zamaskować się w sposób tradycyjny. Jestem dziewczyną krępą i nad wiek korpulentną, więc przebrałam się za średniej wielkości narodowca. Czarna bluza, kaptur na głowie i maseczka na twarzy. Ta ostatnia niestety zmyła się już w pierwszych strugach potu, jaki oblał mi czoło na myśl o tym, że powinnam mieć jeszcze faszystowską opaskę. Tę białą do połowy, a od połowy czerwoną. Przypomnę tylko, że właśnie w białych strojach po białym śniegu jeździli w czasie wojny naziści, a czerwone tło miały sztandary ze swastyką, zresztą nie chcę teraz uprzedzać wszystkiego, co będzie w mojej relacji, kiedy redakcja wysupła wreszcie te marne 20 tys. na wafle SS.

No w każdym razie zamiast ziołowej maseczki musiałam kupić sobie taką straszną czachę czy Lorda Vadera, nieważne, w końcu ja i tak tego nie widzę. O 7.00 rano ruszyły pierwsze komentarze, że faszyzm idzie i dzieci się palą do śpiewania. Wmieszałam się w tłumek.

Dwie minuty minęły, a już na mnie krzywo patrzą. Już się czuję, jak Cielecka w getcie. Myślę sobie: „Hej, mała, będziesz premię miała!", ale potem tak mi zaczęli ubliżać, że musiałam się ewakuować. „Co się dzieje?" – pytam sama siebie, jak nas pan Maleszka uczył na dziennikarskich warsztatach, zanim go faszyści nie dopadli. Gazeta mi z kieszeni wystaje, że od razu wyczuli? Siadłam na murku, w smartfonie trochę palcem pogrzebałam i już wiem. Tłumy pomyliłam, to byli nasi, z KOD. A ja za narodowca przebrana i sprawa jasna.

Nagle patrzę następna grupka z pięściami biegnie. Niby dobrze, w końcu po to polazłam, ale znowu mi się słowa szefa przypomniały: „Jak nie wrócisz, to się nie zdziw". Więc w nogi. I znowu totalna „myślówa": dlaczego? Czemu nie wzięli mnie za swoją? Dzwonię do redakcji i co się okazuje: to nie byli faszyści, tylko Antifa. Ci, co uznają, że jak się człowieka nie skopie, to zła od dobra nie odróżni. Szacun wielki, bo jeśli oni tak mnie gonili, a przecież nawet flagi nie wzięłam, to jak muszą tępić prawdziwych faszystów! I zadowolona, że taki duch w narodzie, tfu, w społeczeństwie, nie ginie (chociaż zgadzam się z panią Agnieszką Holland, że to jest bardzo przeciętne społeczeństwo), skręciłam nieopatrznie w Aleje Jerozolimskie...

Wtedy ich zobaczyłam: faszystowskie dzieci z faszystowskimi matkami pod faszystowskimi flagami. Ćwierć miliona faszystów, jak się potem dowiedziałam, bo po tysiącu przestałam liczyć. Szli jak jakaś szarańcza, jak jacyś bolszewicy nazistowscy, jak kuklukslany. Rasiści obok ciemnoskórych (kilku palcem po ręce przejechałam, autentyczni niestety). Co krzyczeli, to lepiej nie powtarzać. Bóg, honor, ojczyzna i jeszcze gorsze. A jak dzieci zaczęły hymn śpiewać, ten straszny, pełen niepotrzebnej przemocy i całkowicie niezrozumiały w czwartej zwrotce, to myślałam, że się w podziemie zapadnę. Nic dziwnego, że pan wielki przewodniczący Tusk czy pan mały przewodniczący Schetyna nic o tej zwrotce nie wiedzieli. Bo kto normalny chciałby dziś śpiewać o ojcu, który żali się własnemu dziecku, że nie może iść tam, gdzie są „nasi"? Cóż za potwornie dzielące słowo! Mało tego – ten człowiek, najprawdopodobniej faszysta, a nacjonalista na pewno, chce iść akurat tam, gdzie jeno i pono, cokolwiek to znaczy, „nasi biją te barany"! Jak tak można?!

Już miałam do redakcji wracać, ale wtedy ją zobaczyłam. Menda jedna, dobrze wiedziała, że to ja mam z marszu zrobić materiał, ale musiała przyleźć z tą zafajdaną kamerą?! To jej mówię: „Wypad, hieno, bo ci zaraz ten sprzęcik rozteguję!" i rękami ciach-ciach, kołowrotek Niesiołowskiego. Drzeć się zaczęła, że biją, lalunia za dwa złote. A potem jeszcze rabanu na całą Polskę narobiła, że ją narodowiec w masce zaatakował. Idiotka.

16/0918/F

eprasa.pl 3de1d194be





Fot. PAP/Leszek Szymański

Marsz na ćwierć miliona Polaków

Setki tysięcy biało-czerwonych flag, 250 tys. Polaków i wielka, radosna manifestacja miłości do ojczyzny. Nie ma wątpliwości, że było to świętowanie na miarę stulecia odzyskania niepodległości. Pełne wzruszeń, zadumy i wdzięczności. I choć tak wiele środowisk pracowało usilnie nad przygotowywaniem szkalującej Polaków eksportowej wersji zdarzeń, nie udało się zilustrować tych haniebnych oskarżeń żadnym wiarygodnym zdjęciem.

Ludzie kochający Polskę wyszli na ulice Warszawy, by oddać hołd tym, którzy z miłości do ojczyzny gotowi byli na wszystko – na walkę, na głód, na utratę majątku, na chorobę i śmierć. Nie udało się także udaremnić Marszu Niepodległości. Doskonały ruch prezydenta Andrzeja Dudy pozwolił nie tylko obronić marsz przed atakami, lecz również uchronił go od zarysowanej z góry kłamliwej narracji o „polskich faszystach".

Wielki biało-czerwony marsz pokazał prawdziwe oblicze Polaków. Był też bezcenną okazją do tego, byśmy się na nowo policzyli. Ćwierć miliona uczestniczyło w samym marszu, a to przecież tylko jeden element ogólnopolskiego świętowania niepodległości. Nie było miejscowości, szkoły ani przedszkola, w których nie wybrzmiałby „Mazurek Dąbrowskiego", w których nie uczczono by pamięci bohaterów.

Ta biało-czerwona jedność pokazała dobitnie coś jeszcze – ciemną plamę opozycji, której jedyną aktywnością w Święto Niepodległości było zbojkotowanie obchodów. To ważna lekcja. Mieliśmy już przecież takie czarne plamy w historii. To właśnie one sprawiły, że polską niepodległość zmuszeni byliśmy w bólu i w walce odzyskiwać…

Marzena Nykiel

Niemcy

Niespodziewany kandydat



12 polityków będzie się ubiegać o szefostwo CDU po Angeli Merkel. Realne szanse ma troje. 56-letnia Annegret Kramp-Karrenbauer, sekretarz generalna partii, 38-letni minister zdrowia Jens Spahn oraz 63-letni Friedrich Merz, wychowanek Helmuta Kohla, dla którego oznacza to wielki powrót do polityki. A także możliwość wzięcia odwetu na kanclerz, z którą łączyły go napięte relacje, jeszcze zanim pozbawiła go stanowiska szefa frakcji chadecji w Bundestagu 16 lat temu. Merz opuścił politykę i został partnerem w międzynarodowej firmie prawniczej, czekając na swą szansę, która teraz nadeszła. Jest niespodziewanym kandydatem „znikąd".

Jego kandydaturę wspiera przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble, którego polityczne ambicje także zostały zduszone przez „Angie". Merz to przekonany atlantysta, zwolennik zbrojeń i NATO, postrzegający Rosję jako „ryzyko dla Zachodu". Największymi wyzwaniami stojącymi przed Niemcami są dla niego migracja, globalizacja i digitalizacja. To, że spędził ostatnie lata w prywatnym sektorze, daje mu przewagę nad rywalami, bo nie uwikłał się w spór między lewicowym a prawicowym skrzydłem partii, jest więc dla obu akceptowalny.

Jest też wierny przekonaniom. Konflikt z Merkel to niejedyny powód, dla którego niegdyś opuścił politykę. Drugim jest to, że jako wyznawca konserwatywnych wartości nie był gotów dostosować się do coraz wyraźniejszego przechyłu chadecji w lewo. Nie oznacza to jednak, że widzi CDU w przyszłości tam, gdzie dziś jest AfD. Jak zaznaczył, „CDU powinna pozostać zasadniczo partią środka".

Merz jest jednak tylko rok młodszy od Merkel, więc trudno tu mówić o zmianie pokoleniowej, której domagają się młodsi działacze CDU. Ponadto SPD nigdy go nie zaakceptuje, jest na to zbyt prawicowy, i jeśli zostanie wybrany na szefa chadecji, socjaldemokraci zapewne wyjdą z koalicji.

Aleksandra Rybińska

Chiny

Hipnotyzujące okna możliwości

I wojna światowa wybuchła na skutek wielu czynników, z których kluczowe były dwa. Pierwszym był ogromny wzrost sił kajzerowskiej Rzeszy. Jej naród uważał (nieważne, że niesłusznie, ważne, że szczerze), iż przez poprzednie kilkaset lat był poniżany i zdominowany przez obce siły, i właśnie udowodnił, że jest najlepszy w świecie, dlatego musi wywalczyć sobie miejsce, które mu się obiektywnie należy. Drugim zaś – obecne w 1914 r. w myśleniu rządzących wszystkich europejskich potęg – przeświadczenie, że czas pracuje nie dla nas, tylko dla naszych przeciwników i jeśli wojna nie wybuchnie teraz, tylko dopiero za parę lat, to wtedy już na pewno ją przegramy, a dziś jeszcze mamy szansę.

Obecna sytuacja zaczyna przypominać ówczesną. Nacjonalizm błyskawicznie się rozwijających (jak Rzesza przed rokiem 1914) Chin przypomina niemiecki sprzed ponad stu lat. Myślenie zaś zaangażowanych w ewentualny konflikt potęg niebezpiecznie oscyluje wokół zamykających się okien możliwości.

„Jeśli Chiny chcą zacząć wojnę z USA i wygrać ją, to zegar zaczął im tykać" – pisze amerykański „The National Interest". A to dlatego, że Pekin obecnie uważa, że osiągnął pozycję pozwalającą mu na uniemożliwienie amerykańskiej interwencji w obronie czy to Tajwanu, czy jakiegokolwiek innego państwa regionu, które postanowiłby zaatakować. Ale zarazem wie, że w dłuższym okresie ją straci. A to z przyczyn ekonomicznych i demograficznych (gwałtownie starzejące się Chiny przestaną być zdolne do agresywnych posunięć).

To rekonstrukcja myślenia chińskiego. Tymczasem w Waszyngtonie Komisja Strategii Bezpieczeństwa Narodowego uznała, że Ameryka traci przewagę i może przegrać wojnę z Chinami lub Rosją. W amerykańskim świecie polityczno-ekspercko-wojskowym od czasów zimnej wojny istnieje tradycja ogłaszania takich alarmów, które nie zawsze są szczere, bywały anonsowane cynicznie, w interesie lobby wojskowego oraz przemysłu obronnego. Nie wiadomo, czy i dziś tak nie jest, zważywszy, że budżet wojskowy USA jest dziesięciokrotnie wyższy od rosyjskiego i czterokrotnie od chińskiego.

Można jednak zrozumieć ryzykowną tezę twórców raportu, kiedy dotrze się do kluczowego zdania: „Amerykańskie zasoby są niewystarczające do realizacji ambitnych celów, włącznie z zapewnieniem możliwości pokonania jednego ze światowych supermocarstw wraz z jednoczesnym odstraszeniem innych przeciwników". Innymi słowy: pokonać Chiny, jednocześnie odstraszając Rosję od wejścia do wojny po ich stronie czy też od wykorzystania sytuacji do przeprowadzenia własnych działań agresywnych na ważnych dla siebie terenach (Bliski Wschód, Ukraina, może Europa Środkowa?). Dlatego, żeby owo odstraszanie było skuteczne, potrzebny byłby Amerykanom potencjał oceniany przez partnerów jako pozwalający na toczenie – zwycięskiej – wojny nie wyłącznie z Chinami, ale z Chinami i Rosją jednocześnie. A to istotnie może być obecnie pod znakiem zapytania.

Czy Waszyngton, Pekin i Moskwa zaczynają się obawiać, że ich okna możliwości mogą się zamknąć?

Piotr Skwieciński

eprasa.pl 3de1d194be

Rosja

Internet nie dla żołnierzy

Po tym, jak w 2014 r. zakazano funkcjonariuszom FSB prywatnych wyjazdów do państw NATO, przychodzi pora na kolejne ograniczenia. 8 listopada Duma przyjęła projekt ustawy o zakazie zamieszczania przez żołnierzy w internecie informacji dotyczących ich służby wojskowej. Zakaz dotyczy zdjęć, filmów i wszelkich danych mogących ujawnić aktualne miejsce pobytu i rodzaj służby. Przepisami objęto żołnierzy wszystkich rang. Jeśli nie zadziałają, na podorędziu jest jeszcze projekt odbierania żołnierzom smartfonów. Jak na razie, zapewne przez niedopatrzenie, restrykcjami nie objęto rodzin wojskowych.

Przyczyną są nieustanne przecieki informacji. Profile rosyjskich żołnierzy w mediach społecznościowych są regularnie monitorowane zarówno przez analityków i dziennikarzy, jak i przez zagraniczne służby specjalne. Dzięki zamieszczanym przez wojskowych setkom pamiątkowych zdjęć udało się m.in. ustalić trasę rosyjskiej wyrzutni rakietowej Buk na Ukrainie i udowodnić Rosji udział w zestrzeleniu malezyjskiego samolotu pasażerskiego w 2014 r. Internetowe wpisy pomogły też namierzyć i zidentyfikować żołnierzy biorących udział w ostrzale Mariupola w 2015 r. oraz potwierdzić uczestnictwo oddziałów kremlowskiej Gwardii Narodowej w walkach na Ukrainie.

Egzotyczne fotografie żołnierzy pozujących w rynsztunku bojowym pod palmami, które zaczęły się pojawiać w mediach społecznościowych na początku września 2015 r., zdradziły z kolei obecność rosyjskich oddziałów w Syrii, pomimo że Rada Federacji wydała zgodę na operację wojskową w tym kraju (ograniczoną zresztą jedynie do działań lotnictwa) dopiero kilka tygodni później.

Profile żołnierzy dają również wgląd do wnętrza rosyjskich koszar. Dramatyczne niekiedy zdjęcia maltretowanych i upokarzanych rekrutów ujawniają ogromną skalę patologii związanych z „diedowszyną" (czyli znaną i u nas „falą"). Wyłaniający się z tych fotografii obraz wojska jest odległy od lansowanego w rosyjskiej propagandzie wizerunku profesjonalnej armii. Jednak walka z niefrasobliwością i brakiem dyscypliny wśród żołnierzy to tylko jedna strona medalu. Nowe zakazy mają bowiem drugie dno. Im więcej w polityce Kremla jest nielegalnych i nieczystych działań, tym większa skłonność, aby je ukryć przed światem. Warto mieć to na uwadze.

Konrad Kołodziejski

Ukraina

Problem lwów w mieście Lwów

Wiele razy po upadku komunizmu stosunki polsko-ukraińskie kształtowane były nie tyle przez chłodną kalkulację polityczną władz w Kijowie i Warszawie, ile przez emocje lokalnych środowisk w Przemyślu i Lwowie. Zaczęło się już w roku 1991, gdy okupacja przemyskiego karmelu sprawiła, iż nie został on przekazany tamtejszym grekokatolikom jako ich tymczasowa katedra. W odpowiedzi władze Lwowa w ostatniej chwili zablokowały oddanie rzymskim katolikom kościoła św. Elżbiety, choć wcześniej podjęły decyzję o jego zwrocie.

Przez następne lata dyżurnym punktem zapalnym we wzajemnych stosunkach był Cmentarz Orląt we Lwowie. W miarę, jak postępowały prace nad rekonstrukcją nekropolii, wybuchały wokół niej kolejne awantury, wszczynane przez miejscowych działaczy, które przyjeżdżali wygaszać politycy z Kijowa.

Obecnie obserwujemy najnowszą odsłonę tego konfliktu. Niedawno Lwowska Rada Obwodowa zażądała usunięcia kamiennych lwów z cmentarza, uznając je za „symbol polskiej okupacji" miasta. Jeden z posągów opatrzony był bowiem herbem Lwowa z napisem „Zawsze wierny", a drugi godłem Polski z inskrypcją „Tobie, Polsko". Obie rzeźby stanowiły integralną część pomnika Chwały, wzniesionego w tym miejscu w 1934 r. i zostały usunięte stamtąd przez władze sowieckie. Wróciły dopiero w 2015 r. zgodnie z podpisanymi wcześniej dwustronnymi ustaleniami. Obecnie radni miasta chcą się pozbyć rzeźb, twierdząc, iż „wspomniane posągi będą wykorzystywane przez polskie koła radykalne do prowokacji na Ukrainie i staną się podstawą pogorszenia stosunków ukraińsko-polskich".

Tego typu działania we Lwowie, gdzie nacjonaliści mają spore wpływy, nie dziwią już od dawna. Ważniejsze pozostaje pytanie, jak zachowają się w tej sprawie władze państwa ukraińskiego. Od znajomych publicystów w Kijowie słyszałem, że przed przyszłorocznymi wyborami na Ukrainie tamtejszej ekipie rządzącej zależy na lekkim, nieznacznym podgrzewaniu temperatury w stosunkach z Polską. Obóz Poroszenki boi się bowiem, że może stracić poparcie nacjonalistów, a nawet 2–3 proc. głosów w skali kraju może okazać się kluczowe dla zwycięstwa. Zdaniem mych kijowskich rozmówców z analogicznych powodów podobnie postępują – nie chcąc stracić głosów elektoratu narodowego – obecne władze w Polsce.

Czas pokaże, czy wybory zmienią tę sytuację.

Grzegorz Górny



Fot. M. Czutko

epapsa.pl 3d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nienawiść ogłupia



Jan Pietrzak

Kampania wyborcza poza podziałami politycznymi i wieloma ciekawymi rezultatami w sposób wyraźny odsłoniła nieformalną partię nienawiści. Nie łączą nienawistników organizacyjne przepisy ani urzędowe statuty, łączy ich obrzydzenie i pogarda do Polaków. Prof. Środa uważa, że mamy tu ciemnogród, bo ludzie chodzą do kościoła. Jakiś czas temu rzuciła projekt przejścia do podziemia, ale coś nie wyszło i w dalszym ciągu plecie głupstwa na powierzchni.

Apetyczna pani Lubnauer tropi zacofanie cywilizacyjne. Schetynę oblazła szarańcza. Sławomir Nowak, gastarbeiter na Ukrainie, narzeka na tępe cepy. Przy okazji wyszydził zegarki od komunii. On ma od komuny. Saramonowicz, jakoby artysta, ogłosił bojkot Podkarpacia, bo cenią tam wartości chrześcijańskie. Holland, reżyserka moralnego niepokoju, szczuje na „dzieci smoleńskie". Prof. Sadurski powołuje Obywatelski Trybunał Stanu, by sądzić plebs, który ma czelność wygrać wybory i rządzić jak gangsterzy. Gangsterów z poprzedniej kadencji, którzy ukradli Polakom 260 miliardów, prof. Bajdurski nie zauważył.

I tak jedno po drugim popisują się obelgami, epitetami, bo argumentów żadnych nie mają, a nienawiść jest paliwem wyborczym dla ich popleczników. W miastach znajdują spore poparcie, bo tu stacjonują wszystkie resortowe pokolenia, tu mieszkają przerażeni aferzyści, zbankrutowani politycy, korporacyjne kasty, agentury wpływu i pajęczyny układów. Oczywiste jest, że przestępców z warszawskiego ratusza i gdańskiego Amber Goldu poprą w każdych wyborach kolesie umoczeni we wspólne interesy. Jest tego towarzystwa niemało. Dociekliwi redaktorzy, macie oto wiarygodny sondaż, jaki procent Polaków dąży do Polski lepszej, uczciwej, zasobnej, a jaki procent drży ze strachu przed zdemaskowaniem, kim są naprawdę. W prostej linii kontynuują przemysł pogardy Tuska i Palikota sprzed 10 lat, bo lepszych pomysłów nie mają.

Legendarny lider „Solidarności" Andrzej Gwiazda mówi o zwycięstwie Adamowicza w Gdańsku: „To obrazuje stan umysłu społeczeństwa... piramidalna głupota".

Śniadanie w nowych dekoracjach

Z Michałem Olszańskim, dziennikarzem telewizyjnym i radiowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Krzemiński Jordan/AKPA

Od paru dni zadajecie „Pytanie na śniadanie" w znacząco zmienionej scenografii. Trudno się było przestawić?

Michał Olszański: Nie ukrywam, na początku byłem sceptyczny wobec ceglanej struktury ścian, ale efekt końcowy bardzo mi się podoba. Świetna jest duża płaszczyzna telebimów, która da nam możliwość odnoszenia się do materiałów filmowych. Trafiony jest pomysł z balkonikiem wśród zieleni. Ciekawy jestem, jak będziemy to miejsce wykorzystywać. Na zmianach zdecydowanie zyskała też scena. Myślę, że wykonawcy, którzy pojawiają się w „Pytaniu na śniadanie", docenią nowe warunki. I jeszcze: dużo lepsze są kanapy.

Niby prozaiczne, ale ważne?

Bardzo. Człowiek się nie zapada, siedzi wygodnie, ale też wygląda dobrze. Może swobodnie wciągnąć brzuch [uśmiech].

Czy dobrze usadowiony gość ciekawiej odpowiada na pytania?

Zdecydowanie lepiej i pewniej. Nasi goście często są bardzo spięci, widać stres spowodowany nową sytuacją. My oczywiście robimy wszystko, żeby ich oswoić, wprowadzić dobrą atmosferę, co się często udaje, ale rzeczywiście, naturalny sposób siedzenia bardzo wpływa na samopoczucie.

Prowadzicie rozmowy na centralnie ustawionym, podświetlonym podeście.

I to dla niektórych gości może być pewna pułapka. W emocjach i świetle łatwo różnicy poziomów nie zauważyć, jak zdarzyło się to żonie Marka Grechuty. Trzeba będzie zwracać na to baczniejszą uwagę, ale i z tym damy radę.

eprasa.pl 3de1d194be

BRONISŁAW WILDSTEIN

Totalitarni liberałowie



Tytuł ten wydać się może oksymoronem. Przecież zwolennicy wolności, otwartości i tolerancji z zasady muszą być wrogami totalitarnego systemu! Jednak i komuniści odwoływali się do – oczywiście „autentycznej" – wolności, i oni propagowali najprawdziwszą, bo „ludową", demokrację. Kiedy dziś słyszymy o liberalnej demokracji, która ma być przeciwieństwem jej trywialnej, „populistycznej" wersji, czy nie przypominamy sobie czegoś? Gdy obserwujemy, jak w imię tolerancji eliminowane są poglądy uznawane za niewłaściwe przez jej rzeczników, kiedy w obronie otwartości z debaty publicznej wypychane są wszelkie racje przeciwników dominującej ideologii, czy nie czujemy déjà vu?

Szczególnie ostro możemy przeżywać to w naszym kraju. Wprawdzie Polacy wybrali władzę, która przeciwstawia się liberalno-lewicowej doktrynie, ale rzecznicy status quo ante robią wszystko, aby zdelegitymizować PiS, zastraszyć jego zwolenników, a w efekcie doprowadzić do paraliżu rządu. Wbrew pozorom to oni ciągle dysponują większymi zasobami: większością mediów, środowiskami opiniotwórczymi, uniwersytetami, wpływowymi korporacjami z prawniczą na czele i przede wszystkim bezwarunkowym poparciem zachodniego establishmentu. Praktykę ich działania prześledźmy na konkretnym casusie niejakiego prof. Wojciecha Sadurskiego.

Zręczne uzasadnianie obiegowych frazesów pozwoliło mu zrobić międzynarodową karierę uniwersytecką. Jego krajowa publicystyka w pierwszym okresie III RP nie odbiegała od obowiązującego, „wyborczego" kanonu. Różniło go nieco podkreślanie swojej „zachodniej" wyższości. Antagonistom z prowincjonalnych polskich uniwersytetów wypominał ich zaściankowość, niewiedzę o tym, że w zachodniej Europie wszystkie problemy zostały już rozwiązane, a liberalna socjaldemokracja jest spełnieniem historii. Z czasem owa pseudoargumentacja przekształciła się w potok obelg i insynuacji pod adresem przeciwników. Nasiliło się to jeszcze po dojściu PiS do władzy. Sadurski nawoływał, aby ludzi o innych opiniach usunąć z instytucji, skreślić z życia publicznego, wreszcie przykładnie, sądowo ukarać – warto pamiętać, że to prawnik. Pozował na Katona i udawał Zolę (komedia bohaterskości w wykonaniu tych, którzy ryzykują co najwyżej kolejną nagrodę od swoich zachodnich mocodawców, jest szczególnie ujmująca); indywidualnie powołał Obywatelski Trybunał Stanu, który ma ukarać polityków i funkcjonariuszy obecnej władzy. Przy całej groteskowości owego przedsięwzięcia i jego autora zastraszenie PiS i jego zwolenników jest realnym celem, który deklaruje cały totalny front.

Jak swoich przeciwników traktuje ów liberał, ilustruje felieton zatytułowany „Po co komu Węgry?" opublikowany, gdy Viktor Orbán bronił norm Unii Europejskiej przed niemieckim dyktatem.

„Małe, złośliwe państewko – przesiąknięte kompleksami i poczuciem żalu do całego świata; tonące w toksycznej atmosferze połączenia smuty z agresywnością wobec słabych. Tłusta, niezdrowa kuchnia, marne wina, przereklamowana stolica z wdziękiem zapyziałych lat 1970-tych, marna muzyka [...]. Jako peryferium europejskiego imperium, biedniejszy kuzyn Wiednia i Pragi. Jako państwo Unii Europejskiej – powód do wstydu i zażenowania".

Ten ulew nienawiści i pogardy znaczący jest w każdym szczególe. Przeciwnika trzeba zohydzić we wszelkich jego aspektach, jego i wszystkich z nim związanych, w tym wypadku cały naród, który przystał, aby rządził nim „kieszonkowy duce". „Ich śmieszny kraik" ma być uznany za odrażający i przeciwstawiony Europie, a zwłaszcza Unii. Znamienny jest kompleks każący natrząsać się z rozmiarów znienawidzonego państwa.

Popis liberała okazuje się identyczny z nazistowskimi bluzgami pod adresem niechętnych III Rzeczy krajów. Sadurski, intelektualny lokaj zachodniego salonu, wie, że do jego obowiązków należy także wymachiwanie kijem, i robi to z bezprzykładną gorliwością. Przy jakichkolwiek intelektualnych kryteriach powinno go to definitywnie skompromitować. W Warszawie spotyka się z przychylnością uniwersyteckiego środowiska. Prof. Jan Majchrowski, który wykazał się dużym nonkonformizmem i cywilną odwagą, podejmując się roli prezesa Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego – co Sadurski określił jako „ześwinienie się" – zwrócił się do rektora UW, aby ukrócił nielicujące z godnością pracownika uczelni ekscesy. W odpowiedzi kierujący Kolegium Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych prof. Marek Wąsowicz złożył wniosek do rektora Uniwersytetu Warszawskiego o wszczęcie wobec Majchrowskiego postępowania dyscyplinarnego za... krytykowanie Sadurskiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3de1d194be

OGNIEM NA WPROST

Jest wyjątek, będzie reguła?



Pani Iga wyszła za mąż/ożeniła się w Anglii z koleżanką. Para zajmuje się wychowaniem dziecka, udając ojca i matkę. Widać w Wielkiej Brytanii pani Iga kariery nie zrobiła i postanowiła wrócić do Polski. Aby wszystko było lege artis, wystąpiła o wpis do polskich ksiąg stanu cywilnego aktu urodzenia dziecka, domagając się, by w dokumencie jako rodzice widniały dwie kobiety. Choć do tej pory nasze sądy nie uznawały „małżeństw" jednopłciowych, tym razem postanowiły zrobić wyjątek. Naczelny Sąd Administracyjny poparł żądania kobiety. I choć polskie prawo tego zabrania, mamy już legalnie zarejestrowaną pierwszą parę wyznania LGBT i coś tam. Problem w tym, że przy okazji z pomocą wymiaru sprawiedliwości ukryto przed dzieckiem prawdę o jego biologicznym ojcu, naruszając jego prawo do tożsamości i wiedzy o pochodzeniu. Czyżby to był kolejny zatruty owoc orzekania sędziowskiej kasty?

Polska ambasada w USA wysłała kuriozalne zaproszenia. Zorganizowała i zaprasza na objazdowe tournée pisarki Olgi Tokarczuk oraz reżysera Krzysztofa Langa. Zacznijmy od tej pierwszej. Pani Tokarczuk napisała przynajmniej dwie książki, które powinny sprawić, że prawicowa, patriotyczna czy choćby porządna redakcja (nie wspominając o Ambasadzie RP w USA) nie powinna się angażować w takie wydarzenia, a co dopiero je promować. Wystarczy wspomnieć jej „Pokot". Polacy zostali ukazani jako podludzie, których można zabijać. Dodajmy do tego „Księgi Jakubowe", w których z polskich biskupów autorka robi żydożerców, a także psychopatycznych fanatyków z mentalnością czekistowskich inkwizytorów. Wypowiedź o Polakach, którzy byli „kolonistami i zabijali w czasie II wojny światowej Żydów", jest też jej autorstwa. Krzysztof Lang natomiast wsławił się obok innych reżyserów cenzorów – Tadeusza Pałki, Pawła Łozińskiego i Andrzeja Fidyka – zakazem emisji w TVP filmu Piotra Zarębskiego o antykomunistycznym bohaterze, patriocie walczącym z bronią w ręku przeciwko komunistycznym rebeliom w Kongu i Jemenie, por. Rafale Gan-Ganowiczu. Rozumiem, że po korytarzach naszej placówki dyplomatycznej w Waszyngtonie dalej snuje się widmo ambasadora Ryszarda Schnepfa, które nie pozwala zamiast Tokarczuk i Langa zapraszać np. prof. Marka Chodakiewicza, Wojciecha Chmielewskiego czy Aleksandry Ziółkowskiej. Świetna zmiana.

Jak sprofanować polski hymn? Wystarczy pozwolić dwóm celebrytkom o ptasich móżdżkach, siostrom Godlewskim, zaśpiewać „swoją wersję" „Mazurka Dąbrowskiego" i wrzucić to do internetu. Wycie kotów w rui jest niczym w porównaniu z możliwościami wokalnymi obu Godlewskich. Do tego celebrytki podpierały się wezwaniem prezydenta RP do odśpiewania „Pieśni Legionów" gen. Dąbrowskiego w dzień 100-lecia odzyskania niepodległości. Obie siostry, ustami napompowanymi poważną ilością kwasu hialuronowego, sugerowały, że to ich odpowiedź na apel głowy państwa. Jest paragraf, który chroni nasz hymn narodowy, i już czas, by niezawisły sąd z niego raczył skorzystać.

CAGE to organizacja muzułmańska z Wielkiej Brytanii promująca radykalne poglądy. Oskarżeniami o islamofobię atakuje nieliczne związki liberalniejszych wyznawców islamu. Podczas wymiany tweetów z portalem Euroislam.pl postanowili zająć stanowisko w kwestii 250-tysięcznego Marszu Niepodległości. Przedstawiciel CAGE, gdy tylko się zorientował, że tweetuje z Polakiem, natychmiast – podobnie jak przedstawiciele PO i Nowoczesnej – stwierdził, iż w Polsce odbył się marsz faszystów. Potem dodał, że w Polsce, Stanach Zjednoczonych i innych zachodnich krajach mamy faszystowskie albo semifaszystowskie rządy. Niebawem do dyskusji dołączyli przedstawiciele brytyjskiej lewicy, którzy poparli stanowisko CAGE wobec naszego kraju, dochodząc do jeszcze słuszniejszych wniosków. Otóż ich zdaniem „faszyzm przynieśli do Polski kapitaliści, po kontrrewolucyjnym obaleniu socjalizmu". Tak to skrajna, europejska lewica idzie światopoglądowo łeb w łeb z radykałami muzułmańskimi. Gdyby nie to, że to wszystko działo się naprawdę i na poważnie, pomyślałbym, iż mamy do czynienia z rozmową kwalifikującą pacjenta do psychiatrycznego oddziału zamkniętego w podwarszawskich Tworkach.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3de1d194be



Ważny wymiar niepodległości

W przededniu obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości w obecności prezydenta Andrzeja Dudy i amerykańskiego sekretarza stanu ds. energii Ricka Perry'ego prezes polskiego koncernu PGNiG Piotr Woźniak i przedstawiciele amerykańskiej spółki Cheniere Marketing International podpisali 24-letni kontrakt na dostawy gazu skroplonego do Polski.

W ramach tej umowy docelowo amerykański surowiec ma zaspokajać 10 proc. zużycia gazu w naszym kraju. Trzeba zaznaczyć, że gaz ten jest tańszy o 20–30 proc. od rosyjskiego, który obowiązani jesteśmy kupować do 2022 r. po cenach wynegocjowanych przez rząd Donalda Tuska, wyższych niż w krajach Europy Zachodniej. Sprowadzanie błękitnego paliwa aż zza oceanu jest możliwe dzięki otwartemu w czerwcu 2016 r. gazoportowi im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu.

Zapewnienie Polsce stałych dostaw skroplonego gazu z USA stanowi realizację polityki bezpieczeństwa energetycznego i podnoszenia pozycji naszego kraju prowadzonych przez tragicznie zmarłego prezydenta. Zdaniem Lecha Kaczyńskiego bezpieczeństwo państwa jest uwarunkowane w szczególności możliwościami jego rozwoju gospodarczego, ten zaś wymaga stałego, swobodnego i pewnego dostępu do surowców energetycznych. Odpowiednie zaopatrzenie kraju w energię było postrzegane przez Lecha Kaczyńskiego jako warunek naszej suwerenności i ugruntowania niepodległości. Prezydent Kaczyński dążył do dywersyfikacji źródeł i kierunków dostaw surowców, takich jak ropa naftowa czy gaz ziemny. Był to jeden z głównych celów jego prezydentury. Zaledwie kilka miesięcy po zaprzysiężeniu, w maju 2006 r., przedstawił koncepcję budowy gazoportu.

Inicjatywa ta została podjęta przez ówczesny rząd Prawa i Sprawiedliwości jako strategiczna dla interesów naszego kraju. Ustalono warunki inwestycji, jej lokalizację w Świnoujściu, a także podjęto działania zmierzające do zawarcia kontraktów na dostawy, które miały się rozpocząć, począwszy od czerwca 2011 r. Za rządów Platformy Obywatelskiej budowa gazoportu zdawała się tracić na znaczeniu i napotykała liczne trudności. Zakończono ją dopiero dzięki determinacji rządu PiS w czerwcu 2016 r. Obecnie planowana jest rozbudowa terminalu do odbierania skroplonego gazu, a także finalizacja innego kluczowego przedsięwzięcia w zakresie energetyki – rurociągu Baltic Pipe.

Znamiennie meandrująca historia tej inwestycji sięga 1999 r., kiedy rząd Jerzego Buzka rozpoczął przygotowania do budowy infrastruktury umożliwiającej sprowadzanie do Polski norweskiego gazu. W 2001 r. rząd Leszka Millera zerwał umowę na dostawy z Norwegii. W latach 2006–2007 starania o budowę gazociągu podjął rząd Jarosława Kaczyńskiego, ale podobnie jak się to zdarzyło w przypadku gazoportu w Świnoujściu, zostały wyhamowane za czasów supremacji PO, by ponownie wrócić na agendę po wygranej PiS w 2015 r.

Rozbudowanie gazoportu w Świnoujściu, sprzężone z uruchomieniem gazociągu Baltic Pipe, będzie w stanie zapewnić Polsce zaopatrzenie w gaz w wymiarze w pełni zaspokajającym nasze potrzeby. Jeśli obie inwestycje uda się zakończyć do roku 2022 (termin wygaśnięcia umowy z Gazpromem), to za cztery lata staniemy się państwem całkowicie niezależnym od dominujących dotychczas rosyjskich dostaw i w ramach europejskiej solidarności energetycznej gotowym do odsprzedaży nadwyżek gazu innym państwom. Idea prezydenta Lecha Kaczyńskiego ma szansę w pełni się ziścić.

Marta Kaczyńska-Zielińska



Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Miłość po japońsku

35-letni Japończyk Akihiko Kondo ożenił się z hologramem wirtualnej piosenkarki Hatsune Miku. To postać nieistniejąca w realu, tylko program komputerowy i bohaterka kreskówek anime. Świeżo upieczony mąż nie ma wątpliwości, że jest przedstawicielem kolejnej mniejszości seksualnej. O sprawie informuje portal tvp.info. „Piosenkarkę podczas »ślubu« reprezentowała szmaciana lalka, z którą Japończyk teraz sypia. Ceremonię oglądało około 40 gości, wśród nich nie było nikogo z rodziny Kondo. »Akt ślubu« wystawił producent urządzenia generującego hologram" – czytamy. Od zawsze wiedziałam, że miłość jest ślepa, ale żeby aż do tego stopnia?





5,1 proc.

– o tyle wzrósł PKB w trzecim kwartale 2018 r. licząc rok do roku – wynika z tzw. szybkiego szacunku Głównego Urzędu Statystycznego.

14 mln

– tyle osób będzie miało w Polsce w 2050 r. powyżej 60. roku życia, co będzie stanowić 40 proc. mieszkańców naszego kraju – wynika z prognoz GUS. W 2050 r. znajdziemy się w dziesiątce państw świata, których obywatele będą mieli najwyższą średnią wieku – dodaje OECD.

2

– za tyle lat będzie w Polsce nowy system poboru opłat drogowych.

Edukacja po szkocku

„Rząd Szkocji uległ sugestiom środowisk LGBT i postanowił wprowadzić nauczanie o mniejszościach seksualnych do programu szkolnego. Lekcje LGBT zostaną zorganizowane na wszystkich poziomach nauczania. Tym samym Szkocja zostanie pierwszym państwem, w którym ideologia LGBT będzie oficjalnie nauczana w szkołach" – informuje Stefczyk.info. Nowe lekcje obejmą wszystkie szkoły państwowe w kraju, niezależnie od opinii rodziców. Sekretarz edukacji Szkocji John Swinney stwierdził, że przed postępem nie da się uciec. A szkoda.



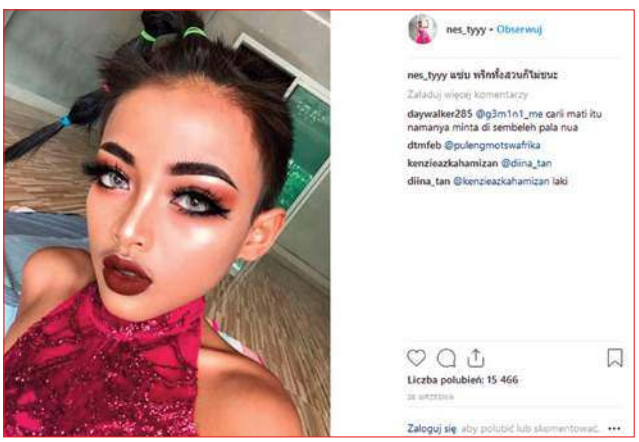
Uczeń po angielsku

Uczniowie Stoke High School w Ipswich w Wielkiej Brytanii od września mieli nowego kolegę. Był nim azylant przybyły z Iranu. Jednak licealiści mieli wątpliwości co do wieku nowego ucznia. Pewnego dnia „nastolatek" wygadał się, że ma dwójkę dzieci. Młodzież znalazła także swojego irańskiego kolegę na Facebooku. Na zdjęciach zobaczyli go z zarostem i butelką piwa w dłoni. „Okazało się też, że »uczeń« jest żonaty i ma dwoje dzieci. Naukę w brytyjskiej szkole średniej poprzedził studiowaniem architektury na Islamskim Uniwersytecie Azad w Teheranie" – informuje „Daily Mail". Azylant z Iranu miał dokumenty, z których wynikało, że ma 15 lat. Gdy sprawa wyszła na jaw, „uczeń" przestał przychodzić do szkoły. Co kraj, to obyczaj. Jedni mają 25-letnich licealistów, inni 125-letnich spadkobierców.

eprasa.pl 3de1d194be

Kariera po tajsku

12-letni Taj robi karierę na Instagramie, przebierając się za dziewczynkę. O sprawie informuje m.in. Pudelek.pl. Nes, bo tak ma na imię chłopak, zaczął od eksperymentowania z kosmetykami mamy. Szybko odkrył, że robienie makijażu świetnie mu wychodzi. Pochwalił się swoją pracą w sieci i dziś na Instagramie śledzi go prawie 300 tys. osób. Okazało się też, że chłopcu udało się na tej zabawie nieźle zarobić. Dzięki licznym kontraktom z producentami kosmetyków kupił rodzinie nowy dom. A światowe lobby pedofilskie piszczy z radości.



Cały świat wyrobił sobie opinię, że Polska jest dzikim, nacjonalistycznym krajem – powiedział Bronisław Komorowski w „Kropce nad i". Biorąc pod uwagę takie incydenty – polski prezydent siedzi, a goszcząca u niego kanclerz Niemiec stoi czy obraźliwe insynuacje pod adresem żony prezydenta Obamy – trzeba przyznać, że coś z tą dzikością może być na rzeczy.

Cena miłości

Sześć lat temu 23-letnia dziś Jane Park wygrała 1 mln funtów (ok. 5 mln zł) w międzynarodowej loterii EuroMillions. Została w ten sposób jedną z najmłodszych milionerek w Wielkiej Brytanii. Dziś ta sama Jane oferuje mężczyznom, którzy zechcą się z nią umówić, 60 tys. funtów (ok. 300 tys. zł) rocznie. W ciągu 24 godzin zgłosiło się do niej aż 10 tys. kandydatów. Po co to wszystko? Ano z samotności. Dziewczyna twierdzi, że wygrana zniszczyła jej życie, które stało się puste. Jane zamierza na drodze sądowej doprowadzić do wprowadzenia zakazu dla osób poniżej 18. roku życia wygranych w loterii. Nie od dziś wiadomo, że miłości nie da się kupić, bo ona nie ma ceny. Choć wszystko inne podobno tak.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), instagram.com/nes_tyyy

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Warto rozmawiać o szczepieniach



Dominik Zdort

Powiedz mi, czy boisz się epidemii odry, a powiem ci, kim jesteś...

Zacznę od tego, że nie należę do partii antyszczepionkowców. Moje dzieci są zaszczepione i uważam, że każdy odpowiedzialny rodzic powinien zadbać o to samo. Nie wiem, jak wielkie jest ryzyko, że zaszczepienie niemowlęcia może spowodować skutki uboczne, a nawet poważne choroby. Dopuszczam taką możliwość, bo wstrzyknięcie wrogich istot w ciałko małego bezbronnego człowieczka musi nieść jakieś – może bardzo niewielkie – ryzyko. Jakie? Chciałbym poznać prawdę.

Jeśli jestem za szczepieniem dzieci, to dlatego, że uważam się za konserwatystę. Kiedyś, gdy byłem liberałem (a nawet i libertarianinem, uwielbiającym przewrotną logikę Janusza Korwin-Mikkego), powiedziałbym, że świętym prawem rodzica jest decydowanie o zdrowiu i życiu swojego dziecka i wara państwu od wtrącania się w moje sprawy. Chcę ryzykować życie syna lub córki? Moja sprawa i niech się Sejm oraz rząd ode mnie odwalą.

Tyle że jakiś czas temu wyrosłem z libertarianizmu („kto za młodu nie był korwinistą, ten na starość będzie świnią", prawda Filip?). Cenię wspólnotę. Rodzic musi (wedle „ordo amoris") najpierw być odpowiedzialny za swoich najbliższych, ale zaraz potem – za swój naród. A odmowa zaszczepienia jednego dziecka to już ryzyko dla wielu, dla tej drugiej, większej wspólnoty.

Gdyby w Polsce obowiązywała jakaś logika ideowa, antyszczepionkowcy mieliby wsparcie Platformy Obywatelskiej, partii wywodzącej się z nurtu liberalnego i deklarującej wspieranie indywidualizmu oraz wolności osobistej obywateli. No cóż, ale dla tego ugrupowania od poglądów znacznie ważniejsza jest opinia ich medialnych i europejskich patronów.

Idee z czynami od dawna nie mają nad Wisłą wiele wspólnego. Także z tego powodu przeciwnicy szczepień mogą liczyć na wsparcie niektórych polityków PiS – partii odwołującej się wszak do polskiej wspólnoty.

Tak czy inaczej zwolennicy szczepień mogą dziś powiedzieć: gdyby epidemii odry nie było, należałoby ją wywołać. A przynajmniej mało znaczące symptomy nadmiernie nagłośnić. I niewykluczone, że tak właśnie było.

Co najbardziej jednak w tej historii przeraża, to pogarda, z jaką traktuje się przeciwników szczepień, niechęć do zrozumienia ich wrażliwości i do racjonalnego przekonywania. Zamiast tego jest argument siły i naciąganie faktów. Oraz moralny szantaż.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 3de1d194be

RZECZY POSPOLITE

Czarna kredka



Tomasz Łysiak

Zosia, lat 7. Na rysunku zrobionym dziecięcą ręką polska rodzina z podpisami: „MAMA", „BRAT", „JA" i „TATA". Ten tata jest ubrany na czarno, ma straszną twarz w kominiarce, na rękach dwie opaski (na prawej zieloną, na lewej biało-czerwoną) i trzyma wysoko uniesioną rację. Cały rysunek, utrzymany w dziecięcej konwencji, jest zapełniony flagami polskimi. U góry napis: „Święto Niepodległości". A w tłumie (który mimo bardzo uproszczonej, stylizowanej na dziecięcą kreski zachowuje perspektywę) widać transparenty. Na nich pisane bez żadnego błędu hasła, które musiały na „Zosi, lat 7" zrobić szczególne wrażenie: „Śmierć wrogom ojczyzny", „J...ć Żyda" (wykropkowanie moje, siedmioletnia „Zosia" napisała, nie cenzurując) oraz „Forza Nuova" (także bez błędu, co wskazuje na ponadprzeciętne zdolności dziecka w percepcji języków obcych).

Taka właśnie potworna fałszywka została zamieszczona na stronie facebookowej Komitetu Obrony Demokracji. Na pierwszy rzut oka widać, że rysunek został wykonany nie przez „Zosię, lat 7", tylko przez „Janusza z KOD, lat 57". Co więcej, w komentarzach pod tym dziełem znaleźli się tacy zwolennicy obrony demokracji, którzy zaczęli sugerować, by jednak podobnych kompromitujących „wrzutek" nie dawać. Ale nawet wobec ewidentnego fałszerstwa i tak usiłowano bronić kłamstwa, w stylu: „I co z tego, że nieprawdziwe, gdyby mogło być prawdziwe". Pani Joanna pisze: „To nie jest manipulacja, taki obrazek widziały dzieci na marszu i absolutnie nie ma znaczenia, kto go narysował".

Sęk w tym, że w „siedmioletnią Zosię" bawili się nie tylko kodziarze na FB, lecz zrobiły to również media opozycyjne, z TVN na czele – komentując Marsz Niepodległości w zmanipulowany sposób, a także dziennikarze i politycy, którzy nadali wielkiemu, patriotycznemu przemarszowi, w którym wzięło udział ćwierć miliona ludzi, wymiar manifestacji „faszystów", „nacjonalistów" i „neonazistów". Ten sam ton powtarzali usłużni lewicowi dziennikarze na Zachodzie. Że prawda nie zgadza się z przyjętą z góry tezą? Tym gorzej dla prawdy. Rysunek „Zosi, lat 7" – tak można by nazwać cały sposób opisywania nie tylko marszu, lecz w ogóle współczesnej Polski przez zachodnie media. Najgorsze, że to od nas, z kraju, ktoś podaje im kredki.

PS Z ostatniej chwili – do autorstwa rysunku Zosi przyznała się na FB pani Gabriela, dodając „Zosia to polska dziewczynka. Może być dzieckiem każdego z nas."

Seks to zdrowie...



Piotr Cywiński

Tuż za Odrą w niektórych szkołach ponoć co druga uczennica jest w ciąży – doniósł bulwarowy „Bild". Podał nawet, że gdzieś tam z 470 uczennic 54 powiły. Wnioski, jako że było ich kilka? Po pierwsze, trzeba więcej uczyć, jak uprawiać seks i nie zajść. Po drugie, należy uświadamiać z pomocą Baby Puppen, czyli lalek niemowląt, które płaczą głośno, bez powodu i długo, którym trzeba zmieniać pieluchy itp., co będzie, gdy będzie. Ma to być dla uczennic działanie odstraszające. Wszystko przy tych lalkach trzeba zrobić, żadnego wylegiwania się, żadnego disco, każde zaniedbanie będzie zapisane na specjalnym chipie. Po niemiecku nazywa się to Babybedenkzeitkurs, czyli kurs dający do myślenia, z końcową konstatacją: jeśli nie uważałyście, jak robiłyście, to teraz róbcie, jak uważacie.

Wszystko dla dobra młodych. Aaa, żeby było im dobrze, powinni codziennie uprawiać seks, który służy zdrowiu i daje radość, o czym naucza specjalna broszura wprowadzona już parę lat temu do obiegu wśród brytyjskiej młodzieży. Owa publikacja została opracowana na zamówienie tamtejszej służby zdrowia – National Health Service. Codzienne praktykowanie seksu przez młodzież poprawia muskulaturę, samopoczucie i w ogóle wszystko. Rymowane hasło przewodnie tej pozycji: „An orgasm a day keeps the doctor away" (przez codzienny orgazm oszczędza się na lekarzu). Jest w tym opracowaniu parę zdań krytycznych, że np. mówi się o zdrowym jedzeniu, a nie mówi, że seks to samo zdrowie, że „seks czy samozaspokajanie są w życiu równie ważne", przypomina pewnie znawca w tej materii Steven Slack z NHS. Jak stwierdził autorytatywnie ów aktywista z Sexual Health w Sheffield na użytek „Times Online": „Młodzi mają takie samo prawo do seksu jak dorośli".

Skoro mają, uprawiają... Widać jednak nie dotarł jeszcze do wyspiarzy niemiecki porządek, który musi być, i lalki z importu, które dźwiękowo i organoleptycznie obligują do przemyśleń w ramach Babybedenkzeitkurs, gdyż – co doniosła gazeta „The Star" – tylko w Sheffield, mieście pana Slacka, rocznie zaciąża około pół tysiąca uczennic w wieku 15–17 lat, zaś w całej Anglii liczba ciężarnych nieletnich wynosi plus minus 50 tys. rocznie. No, ale najważniejsze, żebyśmy zdrowi byli i bez polityki...

eprasa.pl 3de1d194be

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ALEXANDROS MICHAILIDIS/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.COM, TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

eprasa.pl 3de1d194be



Marzenie o żyrandolu

epraca.pl:3de1d194b

Kampanię wyborczą Donalda Tuska możemy uznać za rozpoczętą. Robi coraz mniej zwodów, a coraz jaśniej sugeruje: „Wracam, bójcie się!". Raz już wybory prezydenckie przegrał. Dlatego tym razem do ostatniej chwili będzie kalkulował swoje szanse, zanim oficjalnie ogłosi start. Kto niepokoi się planami szefa Rady Europejskiej i co musi się stać, aby za dwa lata stanął naprzeciw Andrzeja Dudy?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Kiedyś wykpiwał prezydenturę jako zajęcie polegające na pilnowaniu pięknego żyrandola. Dziś sam chciałby pod nim zasiąść. Świadczy o tym jego zachowanie przed komisją śledczą w sprawie Amber Gold, występ na „Igrzyskach Wolności" w Łodzi czy obszerny wywiad dla „Gazety Wyborczej". Jeśli dołożyć do tego sondaż IBRiS, według którego cieszy się największym zaufaniem Polaków, wyrasta na murowanego kandydata do prezydenckiego wyścigu. Nie mają co do tego wątpliwości ani jego polityczni oponenci, ani macierzyste środowisko, które wręcz marzy o „prezydencie Tusku".

PLATFORMY PLAN „A"

– Tusk 2020 to scenariusz, który sam się narzuca. Ale do tego potrzeba jeszcze, by sam zainteresowany coś w tym kierunku zrobił – mówi nam nieco kokieteryjnie jeden z ważnych polityków PO. Stara się studzić emocje i dodaje, że oficjalnie w partii jeszcze nie ma tematu wyborów prezydenckich. Nieoficjalnie natomiast słyszymy, że dawnym partyjnym kolegom aż świecą się oczy, gdy pomyślą o Tusku w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu.

– On jest nam potrzebny, żeby odbudować pozycję Polski w Europie – twierdzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Sławomir Neumann, szef klubu PO. Deklaruje, że partia na pewno wesprze byłego premiera w boju o najwyższe stanowisko w państwie, ale zastrzega, że nasza rozmowa odbywa się przedwcześnie. – Przed nami jeszcze wybory europejskie i parlamentarne. Nie patrzymy na 2020 r., jeśli nie załatwimy sprawy w roku 2019 – mówi Neumann.

Ten warunek pojawia się często. – Jeśli znów przegramy parlament, szalenie trudno będzie wygrać prezydenturę. Wtedy o Tusku możemy zapomnieć. Nie zaryzykuje i w ostatniej chwili będziemy zmuszeni szukać innego kandydata – mówi nam anonimowo parlamentarzysta PO.

Pod nazwiskiem sytuację analizuje Paweł Piskorski, który Tuska doskonale zna, razem zakładali Platformę. – PO na dziś nie ma nikogo lepszego, kto mógłby stawić czoło prezydentowi Dudzie. Ani wśród swoich polityków, ani poza partią. Co prawda Grzegorz Schetyna ma swoje historyczne, ciężkie przejścia z Tuskiem, ale w takiej układance nie powinien się obawiać „odbicia" PO. Zwolennicy powrotu starego szefa na czoło partyjnych struktur są dziś w Platformie w mniejszości. Grzegorz ma silną pozycję lidera opozycji, widać to po tym, co zrobił z Nowoczesną. Przy Tusku zmalałby, co nie byłoby dla niego wygodne, ale mogłoby się okazać skuteczną drogą do przejęcia pełni władzy. A skuteczność w polityce jest najważniejsza.

Według byłego prezydenta Warszawy obecny szef RE nie ma już wielkiej przyszłości w strukturach unijnych, więc będzie próbował namieszać w polskiej polityce. Jak przewiduje, Tusk nie skróci swojej kadencji w Brukseli i jeśli wspomoże opozycję w eurowyborach, to co najwyżej jako jej symboliczny patron.

Nasi rozmówcy w samej Platformie drapią się po głowach pytani, czy wszyscy w partii ucieszyliby się z powrotu byłego premiera do krajowej polityki. Były minister w rządzie Tuska: – Faktycznie, być może nie wszyscy, ale celem nadrzędnym jest odsunięcie PiS od władzy, dlatego warto zacisnąć zęby. Jakikolwiek by był dla Platformy, to jest dla nas o wiele lepszy niż prezydent Duda. Na dziś tylko Tusk daje gwarancję zwycięstwa – słyszymy. Kolejny rozmówca zapewnia nas, że miałby to być również sukces Platformy, nikogo innego. – Jest wielu ludzi, którzy marzą o jakiejś „liście Tuska", ale to osoby najczęściej z marginesu polityki – mówi nam osoba z kierownictwa PO i znacząco wskazuje na drzwi z tabliczką Unii Europejskich Demokratów. – To są jakieś ich mrzonki. Donald jest osobą przytomną i wie, że musi mieć zaplecze w silnej partii, a nie w jakichś ruchach składających się z kilkunastu przegranych polityków.

Choć to tylko spekulacje, czuć, że sprawiają one przyjemność politykom PO. Opowiadają o tym w trybie dokonanym, jakby Tusk prezydentem już został. – Donald był, jest i zawsze będzie politykiem samodzielnym. Teraz jest poza partią i jako prezydent też będzie poza partią. Ale to nie będzie głowa państwa ze słabą pozycją, znów stanie się ważnym graczem. On politykę rozumie, czuje, zna i nie zamyka sobie scenariuszy. Ma możliwość otwarcia pięciu pól, to otwiera pięć, a z którego skorzysta, zdecyduje gdy przyjdzie na to czas – mówi Sławomir Neumann, który zauważa, że obecna aktywność Tuska, to także sondowanie gruntu, na którym miałby za dwa lata wylądować.

Po kilku spotkaniach jesteśmy pewni – politycy PO emocjonalnie sporo zainwestowali w myśl o powrocie Donalda Tuska. W kuluarowych rozmowach pojawia się co prawda kandydat alternatywny, Rafał Trzaskowski, ale poza kurtuazyjnym wywiadem, w którym pochwalił go Grzegorz Schetyna, w partii nie słychać głosów umieszczających go w dużym pałacu. – Naszym kandydatem jest Tusk. Rafał co

Fot. AFP PHOTO/Dario Pignatelli

eprasa.pl 3de1d194be

prawda wygrał w Warszawie, a w wielu krajach jest tak, że mer stolicy zostaje potem prezydentem kraju, ale to jest na ten moment nasz plan B – mówi wysoko postawiony działacz PO. Dopytujemy o tę alternatywę. Jaka przyszłość czeka byłego premiera, wciąż przecież młodego polityka (61 lat), jeśli nie prezydentura Polski? – Myślę, że takie scenariusze też ma. Ale to raczej nie w Polsce, tylko tam. Ma mnóstwo możliwości... – słyszymy od posła PO, który wyobrażając sobie Tuska pozostającego w Brukseli, w oczach ma szczery smutek.

BUDOWA FRONTU

Wbrew apetytom działaczy PO wiele wskazuje, że swój powrót Tusk widzi tylko w formule lidera całej opozycji. 11 listopada gościł w domu Leszka Millera. Panowie odbyli „refleksyjną rozmowę o Polsce w dniu 100-lecia odzyskania niepodległości", jak podawał na Twitterze były szef SLD, który później słodził w jednym z wywiadów: „Kandydowanie Donalda Tuska byłoby bardzo korzystne, ale też bardzo potrzebne dla polskiej polityki i dla mojego kraju, w którym żyję. Donald Tusk miałby szansę na tę prezydenturę i byłby znakomitym prezydentem, który oprócz takiego bardzo poważnego traktowania polityki wewnętrznej, miałby też niezwykłe możliwości poruszania się na arenie międzynarodowej".

> Wbrew apetytom działaczy PO wiele wskazuje na to, że swój powrót Tusk widzi tylko w formule lidera całej opozycji

Rozmowa z Millerem była jednym z kilku sygnałów wysłanych przez Tuska Schetynie, jakby chciał mu przekazać: nie tylko od ciebie wszystko zależy, jesteś tylko jedną z figur w mojej partii szachów, a warunki do zadania mata zbuduję sobie szersze, niż ci się wydaje.

Nie bez powodu kilkanaście dni wcześniej media obiegła plotka, że Tusk myśli o prezydenturze pod warunkiem objęcia funkcji premiera przez Władysława Kosiniaka-Kamysza. Tusk to zdementował, ale jednocześnie skomplementował prezesa PSL jako polityka „utalentowanego i zdeterminowanego". Schetyna nie mógł plotki zbagatelizować. Dobrze wie, że jego dawny kolega z boiska będzie chciał zbudować jak najszerszy front antypisu. Jak mówi Paweł Piskorski: – Znacznie bardziej atrakcyjne jest bycie liderem wszystkich niż liderem części. Będzie na to grał.

KŁOPOT DLA PiS

Co na to wszystko rządząca partia? – Nie wiem, jaki dziś jest układ sił w Platformie. Pojawienie się na scenie Tuska mogłoby być co najwyżej zagrożeniem dla pozycji Grzegorza Schetyny. Dla nas – nie za duże – mówi nam wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości Adam Lipiński.

Ale już Tadeusz Cymański, poseł PiS z Gdańska, jest przekonany, że Tusk to groźny przeciwnik. – Wolę go przeceniać, niż nie doceniać – mówi i przyznaje, że rzeczywiście ostatnia aktywność byłego premiera powinna być odczytywana jako chęć powrotu. – Jeśli zdecydował się użyć mocnych słów i nazwać nas „bolszewikami", to nie po to, by przeszło to bez echa. Zaznaczył tym swoją gotowość wejścia do gry – dodaje Cymański.

Jeszcze lepiej Tuska zna Jarosław Gowin, był w jego rządzie ministrem sprawiedliwości. – Nie mam wątpliwości, że to jest zawodnik wagi ciężkiej. Gdy przyglądam się dzisiejszym politykom europejskim, mogę powiedzieć, że nawet tam jest postacią liczącą się. Nie należy go lekceważyć. A mówię to dlatego, że uważam jego powrót do krajowej polityki za duże zagrożenie dla Polski. Byłaby to recydywa rządów ciepłej wody w kranie, czyli zamiatania problemów pod dywan, kontynuacji tego, co najpierw długoletni doradca, a potem minister w jego rządzie Bartłomiej Sienkiewicz nazwał państwem teoretycznym. Mamy takie położenie geopolityczne i znajdujemy się w takiej fazie historii świata, że musimy budować silne państwo, a nie państwo na niby – mówi nam wicepremier.

Świadom tych zagrożeń Cymański zaznacza, że zamiast skupiać się na przeciwniku, należałoby skłonić do refleksji własny obóz polityczny. Ostatnie wybory, szczególnie wynik w miastach, pokazały, że pojawia się pole, w które Tusk mógłby wejść. Jak go tam nie wpuścić? – Zjednoczona Prawica ma co prawda twardy elektorat, ale nie tylko tam powinniśmy działać. Musimy przeanalizować wyniki, ocieplić wizerunek, otworzyć się na ludzi. Wybory to w dużej mierze emocje i kwestie wizerunkowe, w tej materii mamy jeszcze spore rezerwy – zapewnia poseł Solidarnej Polski.

Od innego parlamentarzysty słyszymy obawy, że sama plotka o możliwości startu Tuska w wyborach prezydenckich może podziałać na elektorat obecnej opozycji bardzo mobilizująco. – Platforma się uaktywni, bo po zdobyciu miast poczuli krew. Gdyby pojawił się ktoś taki jak Tusk, ruszyliby z nową siłą – mówi jeden z posłów PiS. Dodaje, że efekty bardzo potrzebnych reform społecznych słabną. Nie chce używać stwierdzenia „brak wdzięczności", ale „ludzie się przyzwyczaili do tego, że rząd im coś dał i czasem już nie pamiętają, że kiedyś tego nie było". – O wynikach w dużych miastach mówi się, że program Cela+ poszedł głosować, a 500+ siedziało przed telewizorem i oglądało seriale – zżyma się polityk.

EWOLUCJA

Ryszard Czarnecki, europoseł PiS: – Tusk już idąc do Brukseli, miał dalekosiężną wizję, która pokrywała się z kalendarzem wyborów prezydenckich w Polsce. Po dwóch kadencjach Komorowskiego, które uważał – jak i pozostała część Platformy – za pewne, miał wrócić jak rycerz na białym koniu i kontynuować tę prezydenturę. Wygrana Andrzeja Dudy i PiS trochę te plany pokrzyżowały, ale plan Tusk 2020 jest wciąż aktualny.

Były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego zwraca uwagę na ewolucję w przemówieniach szefa Rady

eprasa.pl 3de1d194be

> Jeśli znów przegramy parlament, szalenie trudno będzie wygrać prezydenturę. Wtedy o Tusku możemy zapomnieć – mówi polityk PO

Europejskiej, która dokonała się w ostatnich latach. – Najpierw to były bardzo proeuropejskie odezwy, wzbudzające tutaj aplauz. Grał w oczywisty sposób na reelekcję w RE. Druga kadencja to już zmiana i kontestowanie wielu zasadniczych ustaleń unijnych. A teraz już kompletnie nie szuka poklasku w UE, lecz ze swojej pozycji prowadzi grę obliczoną na polskie boisko – podkreśla Czarnecki.

Rzeczywiście, choćby 24 października, tuż po pierwszej turze wyborów samorządowych w Polsce, gdy w kilku miastach jeszcze nie była rozstrzygnięta prezydentura, Tusk nagle uznał za stosowne poruszenie wątku imigranckiego, i to w tonie zdecydowanie odmiennym od tego, co do tej pory mówili unijni liderzy. „Jeśli chodzi o kryzys migracyjny, to od samego początku apelowałem o to, by reakcja Europy opierała się na tym, co nas łączy: na ochronie naszych granic zewnętrznych. Dążyłem do tego, wiedząc, że są również koncepcje, które pogrążają państwa członkowskie w permanentnym konflikcie" – mówił Tusk w Strasburgu.

GRA O WSZYSTKO

Gołym okiem widać, że część środowisk już teraz stawia na tego konia w wyścigu, który rozegra się dopiero w 2020 r. W niedawnym wydaniu „Gazety Wyborczej" ukazał się bardzo obszerny wywiad z szefem Rady Europejskiej. Tusk już nie udaje w nim tylko obserwatora polskiej polityki, lecz staje się ostrym recenzentem obozu rządzącego. Wkłada sporo wysiłku, by utrzymać naszkicowaną wcześniej narrację opozycji, że władza Zjednoczonej Prawicy to nieustanny niepokój i droga do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej. Wreszcie Jarosław Kurski pyta wprost: „Dziś jesteś jedynym Polakiem na tyle rozpoznawalnym na świecie, że najszybciej zdołasz posprzątać ten bałagan. Nikt nie ma takiego notesu ani wiarygodności – telefonu do umownej Merkel czy Macrona. Ktokolwiek zostanie prezydentem po tym niepowtarzalnym Andrzeju Dudzie, nie odbuduje pozycji Polski tak szybko. Czy z tego nie wynika dla ciebie jakiś imperatyw?". Kolega z Brukseli odpowiada redaktorowi z Warszawy: – Nie lekceważę argumentów międzynarodowych, są uzasadnione. Rzeczywiście tak się złożyło, że mam najwięcej instrumentów i kontaktów i dobrą opinię tutaj. Więc byłbym przydatny.

Przypomina się tweet Tuska z 14 czerwca 2014 r., gdy wybuchła afera taśmowa: „Przykra sprawa. Nie lekceważę jej. W poniedziałek o 15 odniosę się do niej publicznie na konferencji prasowej." Ani się do sprawy nie odniósł zgodnie z zapowiedziami, ani jej „nie zlekceważył". W końcu uciekł do Brukseli, a przygnieciona skandalem jego partia po roku dwukrotnie przegrała wybory.

Dziś Tusk sprawy nie zlekceważy, bo dotyczy jego kariery. A tę wyniósł na taki poziom, że nie może pozwolić sobie na upadek. – Drugi raz prezydenckiej porażki politycznie by nie przeżył, musiałby się udać na emeryturę – mówi nam poseł PO, nawiązując do zwycięstwa Lecha Kaczyńskiego w wyborach 2005 r. Wtedy na plakatach w całej Polsce wisiała podobizna lidera PO z hasłem „Prezydent Tusk". Jak wieść niesie, to dlatego, że PR-owcy uznali, iż imię Donald przy funkcji głowy państwa części Polaków wydawało się mało poważne, co mogłoby przesądzić o wyniku wyborów.

Nie udało się wygrać, choć brano pod uwagę nawet takie drobnostki – dokładnie w stylu Tuska, co potwierdzają słowa Gowina: – Wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia, mają świadomość, że jest politykiem niezwykle ostrożnym. Podejmuje decyzje w ostatniej chwili po bardzo uważnym, precyzyjnym bilansie szans i zagrożeń. Znam go od lat i jestem przekonany, że stanie w szranki z Andrzejem Dudą w roku 2020, a być może wcześniej, już podczas wyborów do europarlamentu, będzie patronował wspólnej, ponadpartyjnej – nazwijmy ją umownie – liście zjednoczonej opozycji. Ale myślę, że jeszcze tych decyzji nie podjął. Do ostatniej chwili będzie trzymał wszystkich w niepewności.

REKLAMA





51/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be



Fot. East News/Andrzej Zbraniecki

Plan Tuska

Były lider Platformy Obywatelskiej, a obecnie przewodniczący Rady Europejskiej, musi umocnić swój status kandydata na pogromcę Jarosława Kaczyńskiego i na prezydenta RP do maja 2019 r. Dlaczego? Bo w nowym europarlamencie zapewne będzie bardzo ostro atakowany



STANISŁAW JANECKI

Jeszcze rok temu Donald Tusk mógł żonglować powrotem do polskiej polityki i przekonywać, że może w niej zrobić wszystko. Mógł, gdyż powrót był tylko straszakiem. Obecnie uznał, że musi wrócić, gdyż jeśli tego nie zrobi, będzie tylko dobrze opłacanym emerytem bądź takim „zabytkiem" czy „atrakcją turystyczną" jak Lech Wałęsa. Bez wielkiego uszczerbku dla ego Tusk mógłby być „zabytkiem", gdyby po 2019 r. nie rządziło Prawo i Sprawiedliwość i jego emerytura wyglądała jak wolny wybór, jego promotorzy zaś mogliby mu w każdej chwili pomóc tak, jak pomogli w 2014 r. Zwłaszcza jeśli na emeryturze mógłby liczyć na wysoko opłacane wykłady albo specjalne misje w imieniu Unii Europejskiej. Ale na to nie ma już żadnej gwarancji. Podobnie jak na odsunięcie PiS od władzy w 2019 r.

Po zakończeniu kadencji (30 listopada 2019 r.) Tusk nie może więc być na przemian i wedle woli „atrakcją turystyczną" albo europejskim mędrcem, z możliwością dyrygowania polską polityką i statusem, jakiego nie miał żaden były polski premier. A skoro tak, Tusk byłby już tylko „zabytkiem" bez realnego wpływu na polską politykę, podczas gdy starszy od niego osiem lat Jarosław Kaczyński, główny poli-

eprasa.pl 3de1d194be

tyczny rywal, wciąż rozdawałby karty. To byłoby dla Donalda Tuska nie do zniesienia. Przede wszystkim dla jego wizerunku niepokonanego. Dlatego obrał kurs na realny powrót, zmianę niekorzystnego dla siebie scenariusza i czynne przeciwstawienie się Jarosławowi Kaczyńskiemu.

ZBĘDNY CZŁOWIEK

Do niedawna Donald Tusk miał gwarancje, że po zakończeniu kadencji przewodniczącego Rady Europejskiej będzie mógł wybierać spośród kilku dobrze płatnych ofert. A nawet mógł liczyć na stworzenie specjalnie dla niego jakiegoś mało absorbującego stanowiska bądź synekury w europejskich instytucjach. Obecnie te gwarancje to tylko wspomnienie. Przede wszystkim dlatego, że jego wieloletnia promotorka, czyli Angela Merkel, niewiele już może. Ma ona ogromne kłopoty w Niemczech i we własnej partii, dlatego już w grudniu 2018 r. przestanie być przewodniczącą CDU. I nie ma żadnych gwarancji, że dotrwa do końca kadencji (do września 2021 r.) jako kanclerz Niemiec. Pomaganie czy opiekowanie się Donaldem Tuskiem nie tylko nie jest dla Merkel ważne, lecz zwyczajnie przekracza już jej możliwości. Skoro Merkel walczy o polityczne życie, pomaganie Tuskowi mogłoby jej tylko zaszkodzić. To dlatego już kilka miesięcy temu Donald Tusk zaczął wykonywać różne gesty pod adresem Emmanuela Macrona, uznając w ten sposób, że to prezydent Francji jest teraz „cesarzem Europy". Tyle że Macron nie ma żadnego interesu w tym, żeby się Tuskiem opiekować, skoro za chwilę skończy on urzędowanie w Brukseli.

Z wielu sygnałów oraz informacji płynących z Paryża i Brukseli wynika, że Tusk jest Macronowi obcy kulturowo (jest dla niego tylko reprezentantem przedsionka prawdziwej Europy) i osobowościowo. A nawet gdyby nie był, Macron liczy się tylko z silniejszymi od siebie, czyli z prezydentem USA oraz kanclerzem Niemiec. Politycznie i prestiżowo mający perspektywę tylko roku w Brukseli Donald Tusk jest dla niego nikim. I nie tylko dla Macrona, skoro na ostrą i bezwzględną krytykę działań obecnego przewodniczącego Rady Europejskiej pozwolił sobie szef grupy liberalnej w europarlamencie, były premier Belgii Guy Verhofstadt.

Tusk ma już w Brukseli status „spadającej kaczki" – jak Amerykanie nazywają polityków, którym kończy się kadencja i nie mają szans na reelekcję. To wszystko nie znaczy jednak, że Macron czy Verhofstadt nie chcieliby widzieć Donalda Tuska w polskiej polityce. Chcieliby, gdyż Tusk gwarantuje, że Polska przestałaby być przeszkodą w realizacji federacyjnej wizji UE, lansowanej przez Macrona. Tak jak Polska nie była żadnym problemem dla niemieckiej dominacji w UE wtedy, gdy Donald Tusk był przez siedem lat premierem.

Macron doskonale wie, że wobec leczącego europejskie kompleksy Tuska prawie bez ograniczeń można stosować politykę „paciorkową". Gdyby jakimś cudem wygrał wybory prezydenckie w 2020 r., Donald Tusk zrobiłby wszystko, żeby nie wypaść z kręgu „roześmianych i poklepywanych", czyli tej kategorii europejskich przywódców, którzy są wymarzeni dla Niemiec, Francji czy Holandii.

DEKLARACJA ŁÓDZKA

Donald Tusk nieprzypadkowo 10 listopada 2018 r. na „Igrzyskach Wolności" w Łodzi złamał wszelkie zasady nieingerowania najwyższych urzędników UE w sprawy wewnętrzne poszczególnych państw, także tych, z których pochodzą. Zrobił to nie po raz pierwszy (pierwsze było wystąpienie we Wrocławiu 17 grudnia 2016 r.), ale najbardziej zdecydowanie i z wyraźnym przesłaniem. To przesłanie to powrót do polskiej polityki i start w wyborach prezydenckich. A przynajmniej sprawdzenie, czy i jakie szanse na wygraną da mu taka decyzja. Tusk jest ostrożny, dlatego powiedział: „Spróbujcie, nie wykluczając nikogo i pokazując, czym naprawdę jest Polska solidarność, pokazać, że wiosna może być wasza, nasza, polska. Nie oczekujcie jeźdźca na białym koniu. Liczcie przede wszystkim na siebie". Nie zamierza mieć statusu zbawcy i „jeźdźca na białym koniu", gdyż nie chce, żeby wyłącznie na nim oparte były kampanie do parlamentu i prezydencka. Mając taki status, odpowiadałby bowiem za ewentualną porażkę. Ale wyraźnie zagrzewał do konfrontacji, sugerując, że to wojna na śmierć i życie.

Nieprzypadkowo Tusk powiedział w Łodzi: „Józef Piłsudski, kiedy pokonywał bolszewików, a więc bronił Zachodu, miał trochę trudniejszą sytuację niż my dzisiaj. Kiedy Lech Wałęsa pokonywał bolszewików w symbolicznym sensie, miał o wiele trudniejszą sytuację. Skoro oni dali radę pokonać bolszewików, dlaczego wy nie mielibyście pokonać współczesnych bolszewików. Dlatego brońcie Polski, brońcie wolności, brońcie niepodległości".

Jako urzędnik UE Tusk nie mógł powiedzieć „brońmy", ale w istocie zapewnił, że w tej obronie weźmie udział, i to w roli „komendanta". Potwierdzają to następujące słowa: „Jeśli naprawdę pragniemy, aby Polska była niepodległa przez kolejne 100 lat i dłużej, wszyscy musimy ustanowić wspólnotę celów politycznych, jak wtedy w 1918 i 1989 r. To wolność, silna Europa, wolne, niezawisłe sądy, media. Warto też pamiętać o szczepieniu dzieci". Tu już była forma „my", czyli „musimy", i porównanie wojny z PiS do lat 1918 oraz 1989. Pojawiła się też typowa dla Tuska małostkowość, owo „szczepienie dzieci", demonstrowana nawet w stanie wyjątkowego zadęcia. Było też obecne w wystąpieniu Tuska odniesienie polskiej wojny do wojny światów wartości, żeby podkreślić wyjątkowość tego, w co się były premier angażuje, bo przecież jest on ponad zwykłą polityczną rąbankę. Tusk jest od zadań herkulesowych: „Na naszych oczach dzieje się historia i na naszych oczach może wydarzyć się dramat. Tym bardziej że za kilka miesięcy wybierzemy europarlament. Tam mogą pojawić się dwa nurty polityczne. Jeden coraz bardziej brunatny, jednoznacznie antyeuropejski, stawiający coraz bardziej na nacjonalizm. I drugi nurt – tych, którzy chcą UE integrować tak długo, jak się da. W obu scenariuszach może dla Polski nie być miejsca, jeśli w Warszawie będzie polityka stawiająca na resentymenty narodowe. To nie kwestia dekad, tylko najbliższych miesięcy".

RYCERZ EUROPY

Donald Tusk od co najmniej dwóch lat wysyłał sygnały, że może wrócić do

eprasa.pl 3de1d194be

polskiej polityki, tylko bardzo się bał ewentualnej porażki, rujnującego jego mit niepokonanego. Dlatego chciał doprowadzić do najkorzystniejszej dla siebie sytuacji, w której mógłby skonfrontować swoje atuty z szansami na reelekcję Andrzeja Dudy. Taka sytuacja powstała, gdy rząd Mateusza Morawieckiego i prezydenta Andrzeja Dudę zaczęto oskarżać (bez znaczenia, że absolutnie bezpodstawnie) o chęć wyprowadzenia Polski z UE. Tusk stał się automatycznie głównym rycerzem walki o pozostanie w Unii oraz gwarantem, że nie będą wobec naszego kraju prowadzone żadne postępowania, skoro wrócimy do głównego nurtu i radośnie oraz ochoczo zaczniemy płynąć z prądem. Któż jak nie ustępujący przewodniczący Rady Europejskiej byłby lepszym strażnikiem okopania się Polski w UE, z szybkim przyjęciem euro jako dowodem na oddanie europejskiej idei i wolę pogłębiania integracji. Polexit stał się tym czynnikiem, który uczynił jego misję historyczną, bo tu przecież nie chodzi tylko o banalną chęć samego Tuska, by stanąć do walki z Jarosławem Kaczyńskim.

Z moich informacji wynika, że Tusk był od kilku miesięcy namawiany przez Angelę Merkel i Emmanuela Macrona do startu w wyborach prezydenckich w 2020 r., bo to jedyny sposób na „odzyskanie" Polski, na jej przywrócenie Europie. Tym chętniej go do tego namawiali, że nie mieli mu nic do zaproponowania w instytucjach UE, a nawet już nie chcieli mu niczego proponować.

W podjęciu decyzji o powrocie Tuska do polskiej polityki istotny jest też wątek osobisty. Chodzi o znacznie większe poczucie bezpieczeństwa kandydata na prezydenta od emerytowanego czy nawet odchodzącego przewodniczącego Rady Europejskiej. Jako kandydat na prezydenta Tusk będzie mógł używać argumentu, że jest prześladowany przez obecnie rządzących (przez sejmowe komisje, prokuraturę, wzywanie do sądu), gdyż jest bardzo groźnym przeciwnikiem PiS i Andrzeja Dudy, jedynym politykiem opozycji zdolnym poprowadzić ją do zwycięstwa i odzyskania władzy. Donald Tusk liczy, że podkreślanie takiego statusu da mu swego rodzaju immunitet i zmobilizuje ulicę, gdyby ten immunitet nie był skuteczny.

Tusk celowo miał bardzo ostre wystąpienie w Łodzi, gdyż chciał sprawdzić, czy i jak będzie broniony w razie takich sytuacji, jak zeznawanie przed sejmową komisją śledczą. Przy okazji chciał się zemścić (to typowe dla niego) za sposób wzywania go i przesłuchiwania przez komisję ds. Amber Gold oraz materiał TVP o jego ewentualnym lobbowaniu za OLT Express. Ale ostrość wystąpienia wynikała głównie z chęci mobilizacji zwolenników i ich policzenia. Tusk przekonał się po łódzkim wystąpieniu, że PO, a raczej Koalicję Obywatelską ma na pewno za sobą, ale niewiele więcej. I to spowodowało, że już w następnych dniach złagodził swój komunikat (nieudolnie tłumaczył, kogo nazwał bolszewikami), żeby nie był on kierowany tylko do Koalicji Obywatelskiej. Z moich informacji wynika, że w najbliższych tygodniach i miesiącach Tusk będzie grał raz ostro, raz miękko. Ostro, żeby przekonać ewentualnych wyborców, że jest twardym graczem. Miękko, żeby zachęcić do głosowania na siebie ludzi spoza Koalicji Obywatelskiej.

Tusk był od kilku miesięcy namawiany przez Angelę Merkel i Emmanuela Macrona do startu w wyborach prezydenckich w 2020 r., bo to jedyny sposób na „odzyskanie" Polski, na jej przywrócenie Europie

ZDĄŻYĆ PRZED NOWYM EUROPARLAMENTEM

Donald Tusk musi umocnić swój status kandydata na pogromcę Jarosława Kaczyńskiego i na prezydenta RP do maja 2019 r. A to dlatego, że po wyborach do europarlamentu może mieć duże kłopoty zarówno w Komisji Europejskiej, jak i w europarlamencie. Szczególnie w Parlamencie Europejskim sondaże przepowiadają duże zmiany w składzie i proporcjach między poszczególnymi frakcjami. Jeśli do spodziewanych zmian dojdzie, do końca swojej kadencji, czyli od czerwca do 1 grudnia 2019 r. Donald Tusk może być bardzo ostro atakowany. Za swoją nieudolność w kwestiach brexitu i imigracji, za niewielką aktywność, brak jakiejkolwiek wizji rozwoju UE, za taką marginalizację stałego urzędu przewodniczącego Rady Europejskiej, że po zaledwie 10 latach może on przestać istnieć.

Nowa Komisja Europejska, choćby na jej czele stanął Niemiec Manfred Weber z CSU, nie będzie miała żadnego powodu, żeby Tuska bronić czy choćby go wspierać, skoro będzie on w Brukseli przedstawicielem ancien régime'u. A ataki na Tuska i bardzo krytyczna ocena jego pięciu lat w roli przewodniczącego Rady Europejskiej przede wszystkim popsułyby jego wizerunek w Polsce. Cóż to bowiem za „król Europy", skoro w PE „darto by z niego łacha" i nie zostawiano na nim suchej nitki.

Plotki o możliwości rezygnacji ze stanowiska kilka miesięcy przed upływem kadencji wedle moich informacji pochodzą od samego Donalda Tuska. Ma on rzeczywiście taki wariant poważnie brać pod uwagę, żeby uniknąć fali krytyki od deputowanych nowego europarlamentu. To zmniejszyłoby bowiem jego szanse wyborcze i zepsuło wizerunek prymusa, cenionego i chwalonego w całej Europie. Uciekając ze stanowiska przed końcem kadencji, Tusk ratowałby się podobnie, jak zrobił to w krajowej polityce w 2014 r., uciekając do Brukseli. Wtedy mógłby się włączyć w kampanię parlamentarną, a w razie dobrego czy choćby niezłego wyniku opozycji ogłosić się ojcem sukcesu i naturalnym kandydatem na prezydenta. Kłopot powstanie, gdy wynik wyborów parlamentarnych będzie zły. Wtedy Donald Tusk ze swoim statusem może zostać tym, kim Jan Himilsbach ze swoim angielskim.

15/0818/F

eprasa.pl 3de1d194be



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl 3de1d194be



Ludzie opozycji mają dziś poczucie, że atakowanie pamięci o prezydencie Lechu Kaczyńskim jest już kompromitujące. W tym sensie jest to wygrana

Domknięcie historii

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, eurodeputowanym PiS, wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego

10 listopada, w wigilię Święta Niepodległości, na pl. Piłsudskiego odsłonięto pomnik Lecha Kaczyńskiego. Domyka się jakaś historia. Z drugiej strony wciąż są tacy, którym prezydent przeszkadza. Nawet tę uroczystość próbowano zakłócić.

Zdzisław Krasnodębski: To była mała, krzykliwa grupa, która – choć irytowała – nie była w stanie zepsuć podniosłej, patriotycznej atmosfery. Ale ma pan rację: ten spór, który w 2010 r. wybrzmiał tak strasznym i tragicznym akordem, trwa. Tym ważniejsze jest to, że udało się oddać cześć prezydentowi, że ma on swój pomnik w stolicy. Trzeba też zauważyć, że Lech Kaczyński nie jest już tak ostro atakowany jak kiedyś, a nawet zdarza się, że opozycja powołuje się na jego słowa, instrumentalnie, ale jednak. Jestem też przekonany, że ci, którzy kiedyś nakręcali przemysł pogardy, dziś woleliby o tym zapomnieć. Mają już inne cele, ale te same metody, mierzą przede wszystkim w Jarosława Kaczyńskiego.

Media głównego nurtu nie zaatakowały frontalnie pomnika Lecha Kaczyńskiego. Wybrały ciszę.

Tak, gdzieś na marginesie pojawiły się jakieś głosy w stylu „nie przesadzajmy", ale nie było wybuchu tej pogardy, która towarzyszyła tej prezydenturze od pierwszego dnia. Ci ludzie mają dziś poczucie, że atakowanie pamięci o Lechu

eprasa.pl 3de1d194be

Kaczyńskim jest już kompromitujące. W tym sensie jest to wygrana. Wygrana w sporze, który w sumie toczy się już 30 lat, ale którego gorąca faza rozpoczęła się w 2005 r.

Czy ta forma upamiętnienia – a więc okazały pomnik na pl. Piłsudskiego – jest pana zdaniem dobrym wyborem?

Tak, to dobry wybór. On wyraża pewną ciągłość idei politycznej. Lech Kaczyński zawsze definiował się jako spadkobierca myśli Józefa Piłsudskiego, kontynuował ją, choć rzecz jasna w odmiennych warunkach. Kawałek dalej jest pomnik smoleński, a po drugiej stronie Grób Nieznanego Żołnierza. Mam nadzieję, że odbudujemy też Pałac Saski i inne reprezentacyjne budynki zniszczone w czasie wojny.

Prezydent Andrzej Duda powiedział podczas uroczystości, że od czasów marszałka Józefa Piłsudskiego nie było tak wielkiego przywódcy państwa polskiego jak Lech Kaczyński.

Bardzo trudno porównywać epoki. Czasy marszałka wymagały innych umiejętności, to był przede wszystkim czas walki zbrojnej o niepodległość i granice. Współcześnie zagrożenie twardo militarne nadal występuje, ale Polacy potrafią się w tych sprawach zjednoczyć. Dziś głównym problemem są inne zagrożenia, nie przez wszystkich Polaków dostrzegane. Można przecież utracić niepodległość w wyniku procesów gospodarczych, kulturowych, politycznych, także tych przebiegających pokojowo. Lech Kaczyński rozumiał oba rodzaje niebezpieczeństwa. W Tbilisi pokazał, że w obliczu ataku militarnego trzeba wystąpić odważnie i solidarnie, mobilizując, kogo się da, wymuszając na Zachodzie, co się tylko da. Sprzeciwiał się także zagrożeniom bardziej subtelnym. Tu jako receptę wskazywał budowę siły naszego państwa.

Na wielu poziomach.

Na wszystkich możliwych poziomach. Nieprzypadkowo symbolami jego prezydentury są obok Tbilisi polityka historyczna, Muzeum Powstania Warszawskiego i inne inicjatywy. Zapoczątkował także wiele kluczowych procesów gospodarczych.

Prezydent Duda przypomniał, że to Lech Kaczyński zainicjował budowę gazoportu, który dziś sprawia, iż niezależność energetyczna od Rosji staje się rzeczywistością.

Gazoport to obecnie podstawowy filar naszej polityki energetycznej. To narzędzie, które sprawia, że nasza niezależność jest w ogóle możliwa. Bo jeśli zależy się od energii płynącej z państwa nieprzyjaznego, to nie można być realnie niezależnym. Nie będzie wolnej Rzeczypospolitej przy tego typu powiązaniach. Bo co innego dobrowolna współpraca z sąsiadami, a co innego sytuacja, w której wymusza się na nas różne decyzje. Lech Kaczyński dostrzegał też groźne konsekwencje Nord Streamu, dziś widoczne doskonale w związku z budową drugiej nitki tego gazociągu.

Gdy czytamy przemówienia Lecha Kaczyńskiego, to uderza nas ich aktualność. To są mowy nadal pasujące do Polski, także do tego konkretnego czasu, który obecnie przeżywamy.

Zasady są te same, zagrożenia również, nasze wartości i interesy też się nie zmieniły. A Lech Kaczyński wyrażał to wszystko w sposób dobitny. To był pierwszy prezydent po 1989 r., który w taki sposób mówił do Polaków. Stąd też wzięła się ta ogromna fala nienawiści. Widziano w tych jego słowach wielkie zagrożenie.

> Można utracić niepodległość w wyniku procesów gospodarczych, kulturowych, politycznych, także tych przebiegających pokojowo

W swoim głośnym i ważnym artykule „Już nie przeszkadza", opublikowanym w „Rzeczpospolitej" 14 kwietnia 2010 r., podkreślił pan, że kpiono nawet z nazwiska prezydenta: „typowego, szacownego polskiego nazwiska – wyśmiewano się w Polsce, jakby to nie była już Polska, jakby to było miejsce na Polenwitze lub Polish jokes". To sformułowanie: „jakby to nie była Polska", jest diagnozą bardzo poważnej choroby. Czy jesteśmy już wyleczeni? Czy „to" może wrócić?

W przeddzień Święta Niepodległości 40 tys. ludzi zaśpiewało wraz z Janem Pietrzakiem „Żeby Polska była Polską". To jest wciąż postulat do zrealizowania. Dziś mamy się z czego cieszyć, ale wiemy, że do pełnego rozstrzygnięcia tej walki jeszcze daleko. Po trzech latach rządów PiS przyzwyczailiśmy się już do innego podejścia do polskości; takiego, w którym polskość nie jest żadną nienormalnością, ale jest podstawą naszego życia publicznego. Dziś to myślenie wyraża się także w działalności instytucji państwowych, mimo oporu różnego rodzaju „złogów". Jeśli jednak dojdzie do zmiany władzy, a tego wykluczyć nie można, to patriotyzm znów zostanie zepchnięty na margines, i to z jeszcze większą brutalnością. Co więcej, ten proces spotka się z aprobatą elit europejskich i światowych. Za pierwszego rządu PiS, potępiając Kaczyńskich, LPR i Samoobronę, nie mówiono jednak wprost o zagrożeniu faszyzmem, nie porównywano sytuacji bezpośrednio z latami 30. XX w., jak to czyni prezydent Macron. A przecież z „faszystami" można zrobić wszystko.

„Nie ma wolności dla wrogów wolności".

Nie ma. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wróciła w formie soft instytucja w typie Berezy Kartuskiej – dla pisowców, faszystów i im podobnych.

Nie ma już powrotu do tego, co było. Albo pójdziemy dalej, ale będzie jeszcze gorzej. Bo jeśli wróci III RP, to zrobi ona wszystko, co możliwe, by już nigdy więcej nie musieć

eprasa.pl 3de1d194be

się bać. Przed 2015 r. obóz III RP wyraźnie nie docenił zasobów kulturowych i politycznych prawicy.

Tak, oni już wcześniej uważali, że zrobili wszystko, co trzeba, ale jednak się pomylili. To nie jest tylko polska specyfika; w Europie pojawiło się zjawisko krytyki wyborów ze strony polityków głównego nurtu. Są politolodzy, którzy stawiają tezę, że właściwie można „robić demokrację" bez wyborów. Bo w prawdziwej demokracji zawsze są czynniki ryzyka. Nie wiadomo, co ludzie zadecydują. Brexit i niektóre wybory, takie jak te ostatnie we Włoszech, coraz bardziej obrzydzają liberałom instytucję wolnych, bezpośrednich wyborów. Dla nas, okrzykniętych mianem populistów, są one aktem wolności i źródłem nadziei. Pamiętam, że po stronie prawicowej przed rokiem 2015 wielu ludzi zaczęło wątpić, czy kiedykolwiek jeszcze możemy wygrać. Trzeba było przekonywać, że to naprawdę zależy od nas, od każdego głosu.

Druga strona była tak bardzo przekonana o swoim panowaniu, że nawet cieszyła się z istnienia PiS, uważając, iż ta partia jest – jako dobre tło – gwarancją wiecznych rządów PO.

Pamiętamy te wszystkie słowa o „sekcie smoleńskiej", o „szaleńcach". Oni już wówczas uważali, że domknęli system. Gdy będą mieli możliwość, ten cel z pewnością powróci. To zresztą charakterystyczne, że wiele z zarzutów kierowanych pod naszym adresem przez PO to w istocie zamordystyczne ciągoty tej partii. Oskarża się PiS o coś, co samemu chciałoby się zrealizować. To są chyba, sięgając do Freuda, podprogowe, podświadome zbiorowe tęsknoty tej formacji.

Tu pojawia się pytanie, czym był rok 2015. Nie brakowało nadziei, że tak spektakularna przegrana starego systemu będzie oznaczała trwałą kompromitację niektórych sił, procesów, metod. Tymczasem mieliśmy chwilowy szok, przegrupowanie i powrót do tego, co zwykle.

Nie miałem takich złudzeń. Siła tamtej strony jest ogromna, rządzili nie osiem lat, ale – realnie patrząc – ponad ćwierć wieku. To jest także duch instytucji, który można zmienić, ale wymaga to czasu, siły woli, nacisku. A po pewnym czasie, gdy władza trochę się zużyje, zmęczy, straci nieco energii – co jest nieuchronne – stare znów podnosi głowę.

Może zmiany powinny być głębsze?

Tak, zmiany kadrowe powinny być głębsze, ale na kadry lepszej jakości. Powinniśmy sięgnąć szerzej po młodych, wykształconych, wykwalifikowanych ludzi, którzy pod odpowiednim politycznym kierownictwem będą z poświęceniem i skutecznie pracować dla Polski.

Może w końcu i w Niemczech ktoś powie, że król jest nagi, że tu nie ma żadnego zamordyzmu?

W mediach zachodnich pojawił się już pewien rodzaj konsternacji. Dziś, gdy mówi się o zagrożeniu dla demokracji, wymienia się jednym tchem Salviniego, Orbána, Erdoğana, prezydenta Filipin...

...i Kaczyńskiego?

Nie, właśnie Kaczyński już z tej listy wypadł. Być może na chwilę, w związku z ostatnimi wyborami. Bo skoro opozycja była z nich zadowolona, to trudno twierdzić, że nie były one demokratyczne, że panuje u nas dyktatura. Gdyby zwycięstwo PiS było miażdżące, natychmiast uderzono by w bębny, że w Polsce demokracji nie ma. Wysłuchałem niedawno fragmentu wywiadu Tomasza Lisa z Aleksandrem Smolarem o wyborach samorządowych. I tam redaktor zauważył, że Polska to jednak nie są Węgry, gdzie władza Orbána jest znacznie bardziej skonsolidowana, ja bym powiedział: mocniej zakorzeniona w instytucjach i mająca szersze poparcie społeczne. Na to Smolar odpowiada: tak, przecież w Polsce są wolne media, jest pluralizm. Wylicza wszystko, czego – jak twierdziła opozycja totalna – nie ma już rzekomo od trzech lat. Przy jej pomocy zagraniczne media zbudowały narrację o dyktaturze Kaczyńskiego w Polsce, którą można uznać za największe oszustwo medialne naszych czasów.

> Tusk należy do tego gatunku ludzi, którzy sądzą, że są nad Wisłą rozsadnikami oświecenia, że reprezentują lepszy świat. Paradoks polega na tym, że ci ludzie tam, w Europie, są jednymi z wielu. Tusk tylko tu może być „królem"

Jaka była rola Donalda Tuska w tym wszystkim, co opisał pan w swoim eseju „Już nie przeszkadza"? Czy to on nakręcił przemysł pogardy? Na pewno umie nakręcać różne procesy społeczne.

Tak, Tusk posiada pewne zdolności. Jest też w stanie powiedzieć wszystko, zrobić wszystko. Bo przede wszystkim jest nihilistą narodowym i nie chodzi tylko o ten nieszczęsny młodzieńczy tekst. Po prostu on tak widzi historię Polski. W tym są również elementy wizji komunistycznej, bo nieprzypadkowo wielu polityków PO wciąż mówi o groźbie „powrotu do średniowiecza", a więc wyznaje wiarę w linearny postęp, zdradzając przy okazji ogromne pokłady ignorancji. Nie możemy wskazać żadnego przemówienia Donalda Tuska z czasów premierostwa, w którym odnosiłby się w sposób przepełniony dumą i miłością do polskiej tradycji.

Pewne przebieranki jednak były.

Ale nic więcej. To nigdy nie była istota jego sposobu sprawowania władzy. On nie jest moim zdaniem politykiem w pełni samodzielnym. Jest bardzo zależny od pewnych ośrodków zewnętrznych, które go potem wykreowały na przewodniczącego Rady Europejskiej. Podczas wyboru na drugą

eprasa.pl 3de1d194be

kadencję nie był kandydatem państwa polskiego, złamano wówczas reguły. Był kandydatem Angeli Merkel.

Czy w sprawach wewnętrznych był kreatorem? Z pewnością miał spory margines swobody.

Z pewnością tak. Pamiętam, że zaraz po wyborach 2005 r., gdy nie powstał PO-PiS, zaczęto manipulować faktami. Cały czas oskarżano PiS o brak dobrej woli. A wiemy przecież, że było odwrotnie, to była reakcja PO na przegrane wybory prezydenckie. Później Tusk korzystał instrumentalnie z Palikota w celu, jak przyznał ten ostatni, niszczenia „godnościowych fundamentów" prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Od samego początku grano na jak najgłębszy podział. Są mohery, ludzie zasługujący jedynie na pogardę i na marginalizację, jest wataha, którą trzeba dorżnąć. Zgadzam się z osobami, które uważają, że o ile Lech Kaczyński, w braterskim związku ze swoim bratem Jarosławem, był największym politykiem przynajmniej ostatniego 30-lecia po stronie opowiadającej się za podtrzymywaniem polskości, o tyle Donald Tusk odgrywa równie wybitną rolę po drugiej stronie, stronie polskość tępiącą.

Czy Tusk już podjął decyzję o powrocie? Wysyła sygnały, później się cofa, milknie, znów się pojawia. Tylko się bawi czy może bada grunt, albo wciąż się waha?

Tusk należy do tego gatunku ludzi, którzy sądzą, że są u nas, nad Wisłą, rozsadnikami oświecenia, że reprezentują lepszy świat, świat Zachodu, Europy, Brukseli. Cały sens naszych dziejów postrzegają w kroczeniu w tym kierunku, w stronę światła. Ostatecznie mamy się roztopić w większej całości i to będzie spełnienie historyczne, zwycięstwo nad wszystkim, co ciemne, nad faszyzmami, nacjonalizmami, sarmatyzmami. Paradoks polega na tym, że ci ludzie czują się dobrze tylko u nas, w Polsce. Tylko tu mogą odgrywać rolę liderów, jako namiestnicy Kraju Nadwiślańskiego. Tam, w Europie, są jednymi z wielu. To dotyczy także Tuska, który nie jest przecież jakimś wybitnym przewodniczącym Rady Europejskiej; jest wręcz słabą, niewiele znaczącą figurą. Czasem wygłosi jakiś tekst przygotowany przez swoich urzędników, który ma jakieś znaczenie polityczne, bo wyraża cele całej instytucji. Ale nic więcej. Tylko tu może być „królem", może być gwiazdą. Moim zdaniem on chciałby wrócić. Tym bardziej że opozycja nie ma dziś innego przywódcy, który jednoczyłby wszystkie środowiska i który mógł imponować miejscowym brukselskim sznytem.

W eseju „Już nie przeszkadza", który przewija się przez naszą rozmowę, pisał pan o tym, jak opacznie interpretowano słowa Lecha Kaczyńskiego: „Melduję wykonanie zadania", wygłoszone po wyborczym zwycięstwie. Jaka była polityczna relacja braci Kaczyńskich? Ktoś kogoś inspirował? Uzupełniali się?

Różnili się temperamentem. Jarosław Kaczyński łączy w sobie, co jest niezwykle rzadkie, dwie bardzo różne cechy.

REKLAMA



32/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be

Z jednej strony ma w sobie żoliborską inteligenckość, bardzo szerokie zainteresowania, wykazuje słabość wobec intelektualistów, może nawet nadmierną. A z drugiej strony umie rozmawiać i przekonywać ludzi z zupełnie innych środowisk, także – w najlepszym znaczeniu tego słowa – dość prostych. To bardzo rzadkie połączenie, ponieważ elitaryzm zazwyczaj oddala od „zwykłych" ludzi. To Jarosław budował partię, budował poparcie społeczne. Z kolei Lech był człowiekiem instytucji. Ale także człowiekiem debaty. Już jako prezydent znajdował czas, by w Lucieniu rozmawiać godzinami o historyzmie i prezentyzmie i nie uważał tego za marnowanie czasu. Nie był mówcą wiecowym, jego siła brała się z kompetencji intelektualnych, z pracy w instytucjach, ze świetnej pamięci historycznej. Był typem profesora prawa, który odgrywał ważną rolę polityczną. Być może to było także podglebie niektórych ataków: po Aleksandrze Kwaśniewskim oczekiwano od głowy państwa wypowiadania gładkich, okrągłych zdań. A Lech Kaczyński mówił zawsze z głowy, mówił na wysokim poziomie. Nie był biurokratą, nie był sztucznym produktem, jakich pełno dziś w polityce europejskiej.

Wspominając prezydenta, nie sposób nie przywołać wielkiej dzielności, z jaką stawiał czoło tej nawale. A często nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, tak bardzo te ataki bywały absurdalne.

Był bardzo dzielnym człowiekiem. W obliczu ataków nie zastanawiał się, co powiedzieć, żeby się przypodobać pewnym środowiskom. Dla niego te ataki rzeczywiście bywały trudno zrozumiałe, bo atakowali go ludzie, z którymi kiedyś się przyjaźnił. Prezydent wciąż chciał z nimi rozmawiać, zapraszał do Lucienia i poświęcał więcej czasu niż innym, bo chciał utrzymać jakąś ludzką relację. Ale odpowiedzi nie było. Atakowano go brutalnie za wszystko, także za sprawy drobne, które zasługiwały co najwyżej na małą wzmiankę, czasem życzliwą, czasem ironiczną. Konsekwentnie budowano wizerunek osoby nieporadnej, oderwanej od życia, która nie wie, jak się nazywa bramkarz, która źle trzyma szalik. To były manipulacje zmierzające do ośmieszenia. To nie był spór ideowy, lecz świadoma ohydna wojna hybrydowa.

Prezydent Lech Kaczyński zginął w katastrofie smoleńskiej. Sporo wiemy o jej przyczynach, ale też trudno uznać, że postawiliśmy kropkę nad i. Czy ta sprawa już na zawsze pozostanie w pewien sposób niedopowiedziana? Temat przyczyn tragedii wyraźnie zszedł z agendy.

Myślę, że niedobrze się stało. Wyjaśnienie tej sprawy jest naszym obowiązkiem, nie możemy o nim zapomnieć. Niezależnie od tego, ile trzeba będzie czekać. Może aż do zmiany układu sił w Rosji. To jest w jakiejś mierze nasza niespełniona obietnica. Być może ludzie, którzy zajmowali się tą sprawą przed 2015 r., byli zbyt pewni, że mają już niezbite dowody. Być może należało być ostrożniejszym. Na pewno udało się udowodnić, że oficjalne wytłumaczenie przyczyn katastrofy, z brzozą w roli głównej, było fałszywe. To wiemy. Ale nie mam poczucia, że jesteśmy pewni przebiegu zdarzeń. Zespoły badawcze pracują, ale dla nas to już nie jest sprawa numer jeden. A być powinna, bo było to centralne wydarzenie w historii Polski.



Fot. Zuzanna Kruschewska

Ten czas – od tragedii 10 kwietnia do odsłonięcia pomnika – to okres, w którym było wszystko: ciemność, żałoba, elementy powstania, samoorganizacja, walka, zwycięstwo.

Jest także element zdrady sojuszników.

I w ogóle zdrady. To trochę historia Polski w miniaturze.

Tak. Są epoki, gdy dobro idzie w górę, gdy zmienia świat na lepsze. Tak było w czasach „Solidarności", trochę w 1989 r. Ale są też epoki mroczne. Gdybym miał wskazać okres najciemniejszy, najgorszy, jaki pamiętam, to nie byłby to nawet stan wojenny, okres tragiczny, ale czytelny, nieprowadzący do znieprawienia. Najmroczniejszym okresem byłby czas przed 10 kwietnia i tuż po. To szarganie prezydenta, a w istocie szarganie Rzeczypospolitej, było deptaniem godności nas wszystkich. A później jeszcze straszniejszy okres, śmierć tych ludzi i ten fałsz, ta obłuda, ta zdrada pierwszych miesięcy. I ta przyjaźń z Rosją na tych zwłokach naszej elity, wizyta Miedwiediewa, przemówienie Komorowskiego, wspólna deklaracja z Cyrylem... To było przeniesienie się w epokę cara Mikołaja II. Jeżeli komuś należy się w Polsce Trybunał Stanu za cokolwiek, to Donaldowi Tuskowi za ten okres.

Swój esej z 2014 r. zakończył pan słowami: „Gardzę wami". Czy dziś to słowo wciąż pasuje?

Wciąż pasuje w odniesieniu do tych ludzi, których miałem wtedy na myśli i którzy nadal mają wpływ na życie publiczne w Polsce. Napisałem ten tekst bardzo świadomie. To mój najbardziej emocjonalny artykuł. Dziś, na chłodno, pisałbym inaczej. Ale wówczas chciałem przelać na papier moje ówczesne silne uczucia, ze świadomością, że to zostanie utrwalone. I pod wszystkim ponownie się podpisuję.

1/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be

Zosia kontra Tosia.

Animowani bohaterowie o prawdziwym bezpieczeństwie

Zosię i Tosię różni prawie wszystko. Tak samo jest z Jackiem i Wackiem. Cała czwórka to bohaterowie animacji, którzy pomogą młodym internautom ustrzec się przed niebezpieczeństwami na drodze i nie tylko. Kreskówka powstała w ramach ogólnopolskiej akcji „Dobrze Cię widzieć"



Seria krótkich filmów trafi do internetu jeszcze w listopadzie, a jej głosem jest Cezary Pazura, będący równocześnie ambasadorem całej akcji. To jego słyszymy w reklamach w radiu, oglądamy na billboardach i w krótkim informacyjnym wideo akcji, emitowanym w internecie i telewizji. Teraz głos popularnego aktora, jako narrator, towarzyszy czwórce bohaterów edukacyjnej kreskówki.

W poszczególnych odcinkach występują Zosia i Tosia oraz Jacek i Wacek. Dzieciaki się przyjaźnią, ale różnią od siebie temperamentem. Zosia i Jacek noszą kamizelki odblaskowe, są przyjacielscy i otwarci na pomoc innym. Tosia i Wacek to ich przeciwieństwo. Skoncentrowani na sobie, nierespektujący reguł, nieuważni, wpatrzeni w swoje smartfony. I to im najczęściej przytrafiają niemiłe historie, będące skutkiem ich własnej nierozwagi. Kiedy Wacek idzie po zmierzchu niewłaściwą stroną jezdni, nic dziwnego, że kierowca nadjeżdżającego auta go nie widzi. Tosia biegnąca poboczem po zmierzchu bez kamizelki ma więcej szczęścia – nie wpada pod samochód tylko dlatego, że za kierownicą siedzi matematyczka – znana z niespiesznej jazdy. Natomiast Tosia i Jacek nigdy nie korzystają z telefonu na środku jezdni i zawsze pomagają swoim przyjaciołom wykaraskać się z tarapatów.

Humorystyczne komentarze, często dalekie od szkolnej poprawności, mają zwrócić uwagę nastoletnich odbiorców na problemy, o których normalnie nie chcą ani myśleć, ani rozmawiać.

Do dorosłych kampania przemawia przez film czy stronę internetową, z kolei do najmłodszych poprzez szkoły podstawowe. Uczniowie otrzymują nie tylko solidną porcję wiedzy, lecz także kamizelki odblaskowe. Dzieciaki dowiadują się między innymi, jak działają odblaski albo którą stroną trzeba iść, kiedy obok drogi nie ma chodnika. Uczą się, jak bezpiecznie przechodzić przez jezdnię, i odkrywają, że korzystanie z telefonu komórkowego na ulicy może być szalenie niebezpieczne. Wszystkie te rady i nauki zebrane w prosty przewodnik-przypominajkę w formie planu lekcji uczniowie zabiorą do domów wraz z kamizelką.

Gigantyczne przedsięwzięcie obejmie do końca roku wszystkie szkoły podstawowe w kraju, a finansowane jest z Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest minister sprawiedliwości.

Na razie odblaskowe wsparcie dostały dzieci z wybranych podstawówek w województwach: podkarpackim, małopolskim, świętokrzyskim, łódzkim, śląskim czy lubelskim.

– Jednak żadne wyposażenie nie zastąpi myślenia o innych i uważności – mówi Jacek Sapa, prezes Fundacji Narodowego Dnia Życia, organizator kampanii „Dobrze Cię widzieć". – A przecież wystarczy pamiętać, że wszyscy uczestnicy ruchu drogowego mają wspólny cel, którym jest sprawne przemieszczenie się z punktu A do punktu B, co najłatwiej osiągnąć przy wzajemnym pozytywnym nastawieniu – podkreśla i dodaje, że właśnie dlatego „Dobrze Cię widzieć" to nie tylko odblaski w różnych formach, lecz przede wszystkim akcja edukacyjna i praca nad zmianą postaw wszystkich uczestników ruchu drogowego.

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl
WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI
DOBRZE CIĘ WIDZIEĆ

eprasa.pl 3de1d194be

Jeden marsz, dwie rzeczywistości

Ćwierć miliona osób maszerujących wspólnie dla uczczenia stulecia odzyskania niepodległości, co poczytywaliśmy sobie w Polsce za ogromny sukces, stało się dla liberalnych elit dowodem na to, że Polska zorganizowała u siebie największy zlot faszystów w Europie. Kłamstwa i manipulacje wokół marszu, które przewinęły się przez światowe media, były dodatkowo podkręcane przez antypisowską opozycję



KONRAD KOŁODZIEJSKI



Fot. Zuzanna Kruschewska

„Zatrważające: 200 tys. nacjonalistów i neonazistów maszeruje w Warszawie” – napisał na Twitterze szwajcarski dziennikarz Fabian Eberhard. Amerykański politolog, autor równie słynnej, co chybionej, wizji końca historii, Francis Fukuyama, piętnował z kolei polskie władze za „przyłączenie się do faszystowskiego marszu”.

To tylko dwa – choć dość typowe – przykłady zagranicznych komentarzy, które pojawiły się po tegorocznym marszu z okazji obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Oczywiście ani nikomu szerzej nieznany dziennikarz ze Szwajcarii (przedstawiający się jako specjalista od ekstremizmu prawicowego), ani chyba słusznie nieco dziś zapomniany gwiazdor amerykańskiej politologii sprzed 30 lat nie mieli bladego pojęcia, o czym piszą. Swoją wiedzę czerpali bowiem z doniesień zagranicznych mediów i agencji prasowych, a te nie pozostawiły na marszu suchej nitki.

Wokół marszu utworzył się bowiem rodzaj antypolskiego frontu w zagranicznych mediach, począwszy od brytyjskiej lewicy, skończywszy na Kremlu i arabskich szejkach naftowych.

„Nacjonaliści, którzy odpalają race i niosą flagi ekstremistycznych grup, idą za prezydentem” – alarmował brytyjski „The Guardian”. „Najbardziej ekstremalna i nacjonalistyczna Europa pokazuje swoją siłę w Polsce” – to z kolei cytat z hiszpańskiego „El País”. Nawet arabska Al-Dżazira donosiła o polskich politykach idących ramię w ramię z nacjonalistami, a propagandowy kremlowski kanał Russia Today bezczelnie łgał w tytule, sugerując, że marsz odbył się pod hasłem „Europa będzie biała”. Na wyżyny kłamstwa wzniósł się niejaki Ben Norton, amerykański komentator m.in. Al-Dżaziry, który napisał, że w marszu wzięły udział „dziesiątki tysięcy faszystów, którzy w centrum Warszawy wzywali do pozbycia się Żydów i muzułmanów, skandowali rasistowskie hasła, domagając się białej Europy, oraz dumnie wymachiwali symbolami nazistowskich kolaborantów” (!).

ODDZIELENI ŚCIANĄ

Wielu Polaków, a już na pewno ci, którzy brali udział w marszu, poczuło się dotkniętych falą insynuacji pod ich adresem. Dali temu wyraz, wysyłając na Twitterze liczne sprostowania, odpowiedzi – nierzadko bardzo emocjonalne – oraz zdjęcia przedstawiające całe rodziny, starszych ludzi, a nawet afrykańskich studentów biorących udział w marszu. „To są ci wasi faszyści?”, „To oni krzyczeli, że Europa będzie biała?” – pytali zagranicznych komentatorów. Prof. Stanisław Żerko, historyk nieukrywający swoich lewicowych poglądów, zapytał wprost Fabiana Eberharda: „Czy dla ciebie jestem nacjonalistą czy neonazistą?”.

Większość adresatów tych pytań milczała, ignorując głosy oburzenia z Polski.

eprasa.pl 3de1d194be



Nieliczni, którzy zareagowali na polskie protesty, nie tylko nie przepraszali, lecz – przeciwnie – oburzali się, że „faszyści" ośmielają się ich jeszcze atakować. Nie było mowy o żadnej refleksji, próbie porozumienia ani – co teoretycznie powinno być dla dziennikarzy standardem – o wysłuchaniu opinii drugiej strony. Zamiast tego wyrosła ściana. „Obieg zamknięty informacyjnej kloaki" – rzucił dosadnie w odpowiedzi na tę ścianę dziennikarz Dawid Wildstein.

Jego komentarz jednak nie wyjaśnia do końca fenomenu totalnego zamknięcia się większości zagranicznych mediów we własnej bańce informacyjnej. Innych, głębszych przyczyn tego zjawiska należy zapewne szukać w zideologizowanym obrazie rzeczywistości, skrajnie zniekształconej przez kilkadziesiąt lat dominacji lewicy na Zachodzie. Liczący ćwierć miliona osób tłum pokryty morzem narodowych flag byłby dziś w większości krajów Europy nie do pomyślenia. Odwoływanie się – i to w takiej skali – do symboli narodowych uważane jest tam za przejaw niedopuszczalnego szowinizmu, a maszerujące w świetle rac i flag tłumy kojarzą się – i to często bezwiednie – z wtłaczanymi przez lata do głów obrazkami z nazistowskich parteitagów. Jeśli dołożyć do tego kolportowane szeroko na Zachodzie doniesienia o rzekomo autorytarnym i nacjonalistycznym zabarwieniu obecnych władz w Polsce (w czym największe zasługi ma antypisowska opozycja), to staje się jasne, dlaczego nikt nie zadaje tam sobie trudu, aby poznać rzeczywisty obraz sytuacji. Najbardziej prostackie klisze nie burzą ułożonych już w głowach schematów i dlatego okazują się najbardziej skuteczne.

Z tego punktu widzenia wysyłane przez wielu oburzonych Polaków zdjęcia tłumu maszerującego pod narodowymi flagami stanowiły dla tamtejszych komentatorów dowód na to, że mają – w swoim mniemaniu – rację. Nie trzeba im było nawet żadnych nazistowskich emblematów ani kolportowanych masowo fałszywek z hajlującymi rzekomo w Warszawie włoskimi młodzianami, aby utwierdzić się w przekonaniu, że zorganizowany przez polskie władze marsz był faszystowski. W końcu rodziny z dziećmi i staruszki też kiedyś wiwatowały na cześć Hitlera. 250 tys. uczestników marszu, co poczytywaliśmy sobie w Polsce za ogromny sukces, stało się dla liberalnych elit dowodem na to, że Polska zorganizowała u siebie największy zlot faszystów w Europie i stanowi tym samym wielkie źródło zagrożenia dla demokratycznego porządku na kontynencie.

KOLPORTAŻ KŁAMSTW

Skala łgarstw, które przewinęły się przy okazji obchodów Święta Niepodległości przez zagraniczne media, była tak porażająca (choćby rzekomo skandowane na marszu hasła wzywające do oczyszczenia Polski z Żydów i muzułmanów), że każdy – nawet największy przeciwnik PiS – jeśli miałby odrobinę uczciwości, powinien głośno przyznać, iż nic takiego nie miało miejsca. Na taką reakcję próżno jednak było czekać. „Pisowskie państwo" nie jest przecież uznawane za polskie, zatem nie ma sensu stawać w jego obronie, przeciwnie – należy je zwalczać za pomocą wszystkich dostępnych środków.

Obok niekiedy chamskich ataków na uczestników marszu i różnych form presji („biorąc udział w marszu, podpisujesz się pod każdym transparentem i wykrzyczanym tam hasłem", „przyłączając się do demonstracji współorganizowanej przez środowiska skrajnej prawicy, wspierasz te organizacje") posługiwano się – zapewne dla wzmocnienia tej argumentacji – również fałszywkami. Najsłynniejszą z nich było zdjęcie hajlujących włoskich neofaszystów z Forza Nuova, których licząca kilkanaście osób grupka rzeczywiście pojawiła się na marszu. Szybko się jednak okazało, że zdjęcie, które rzekomo miało być zrobione w Warszawie, w rzeczywistości wykonano rok temu we Włoszech. Fałszywkę kolportował m.in. Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej". Trudno uwierzyć, aby ktokolwiek o zdrowych zmysłach mógł

eprasa.pl 3de1d194be

w Polsce dać wiarę temu, że w Warszawie na oczach dziesiątków tysięcy ludzi ktoś mógłby bezkarnie pozdrawiać tłumy hitlerowskim gestem. A jednak znaleźli się tacy, którzy najwyraźniej uwierzyli. Wśród nich egzaltowana na antypisowską modłę pisarka Maria Nurowska, która podzieliła się swoimi „jak najgorszymi" skojarzeniami: „Płonąca Warszawa na oczach jeszcze żyjących świadków jej zagłady. Wykrzykiwane hasła, które świadomym ludziom kojarzą się z tym okrutnym czasem. Porażający jest cynizm obecnej władzy, która widzi w tych nieszczęsnych głupcach potencjalny elektorat. Bardzo to smutne".

Bzdury o hajlujących faszystach i płonącej Warszawie były tu prawdopodobnie jakąś projekcją wcześniejszych nadziei opozycji na zadymę i skompromitowanie uroczystości. Do niczego takiego nie doszło. To musiało zaboleć i mocno zabolało, zwłaszcza gdy przyrównać rozmiary marszu z żałosną garstką pokrzykujących Obywateli RP u zbiegu Al. Jerozolimskich z Nowym Światem. Państwowe obchody zostały zbojkotowane przez antypisowską opozycję, nie wpłynęło to jednak na zmniejszenie zainteresowania opinii publicznej. Przeciwnie, można sądzić, że próby zakazania Marszu Niepodległości podjęte przez prezydent Warszawy Hannę Gronkiewicz-Waltz i towarzysząca tym próbom nagonka na uczestników uroczystości zwiększyły poparcie dla rządowo-prezydenckiej inicjatywy zorganizowania państwowego pochodu oraz znacząco podwyższyły jego frekwencję.

Nawet tak oczywiste fakty były jednak twardo kwestionowane przez antypisowskich publicystów. „Władza chciała być w swoim gronie, sama, każdy inny przeszkadzał, zawadzał. Nie można było jaśniej i dobitniej dać dużej części Polakom do zrozumienia, że są niepotrzebni, że są wrogami" – napisała Katarzyna Kolenda-Zaleska z TVN.

ŻADNYCH FLAG, ŻADNYCH MARSZÓW

Jak zatem powinno wyglądać świętowanie stulecia niepodległości, aby Katarzyna Kolenda-Zaleska i jej środowisko poczuli się choć trochę usatysfakcjonowani? Przede wszystkim żadnych marszów i żadnych flag. „To wstyd, że prezydent bądź premier Polski nie pofatygował się do Paryża. Po prostu wstyd" – pouczała rządzących Dorota Wysocka-Schnepf na łamach „Gazety Wyborczej". Bo przecież 11 listopada w Paryżu światowi przywódcy spotkali się przy okazji rocznicy zakończenia I wojny światowej, gdzie wysłuchali proroczego wystąpienia prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który „przestrzegał Europę przed nacjonalizmem". Według „Gazety Wyborczej" były to słowa skierowane m.in. do rządu Prawa i Sprawiedliwości. Jeśli PiS tych słów nie posłucha, „Polska – kraj, który

> Wokół marszu utworzył się rodzaj antypolskiego frontu w zagranicznych mediach, począwszy od brytyjskiej lewicy, skończywszy na Kremlu i arabskich szejkach naftowych

był europejskim prymusem – stanie się czarnym ludem" – bił na trwogę niezastąpiony Bartosz Wieliński. Niestety PiS nie przyjechało do Paryża ani nie posłuchało nauk, bo wolało – nie wiedzieć czemu – świętować rocznicę odzyskania niepodległości w Polsce.

Janusz Lewandowski z PO umieścił w internecie zdjęcie z wzorcowych obchodów w Gdańsku, komentując, że – w odróżnieniu od oficjalnych uroczystości w Warszawie – „nie cała Polska jest Kaczyńska". Rzeczywiście obchody w Gdańsku – jak wynika ze zdjęcia zamieszczonego przez Lewandowskiego – zdecydowanie się różniły od warszawskich. Czym? Brakiem polskich flag. Widzimy setki głów w kolorowych czapkach i niemal ani jednej flagi. Tak właśnie ma wyglądać świętowanie odzyskania niepodległości według opozycji. Inną formę obchodów zaproponował stały komentator TVN Kazimierz Marcinkiewicz, który stulecie niepodległości Polski uczcił ugotowaniem rosołu.

Platforma Obywatelska i jej akolici dobrze odczytują ideologiczne prądy obowiązujące dziś w Europie. Żadnych flag, żadnych narodowych symboli, one przecież dzielą ludzi, a nie łączą. Dopuszczalne są jedynie barwy tęczy, wspólnej Unii Europejskiej i – ewentualnie – rosół ugotowany w domu.

Symboliczne było tu zdjęcie wykonane w dawnym hotelu Forum w Warszawie, na którym widać kobietę siedzącą w zaciszu hotelowego pokoju na łóżku, a za oknem błyskające race uczestników marszu. „Chciałam w jednym kadrze pokazać dwie Polski" – mówiła w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" autorka zdjęcia Ada Zielińska. Rzeczywiście widać dwie Polski – jedną spokojną, wręcz bezradną, a drugą dziką i agresywną. Tyle że nie ma to żadnego związku z rzeczywistością. Ale przecież nie o rzeczywistość chodzi.

PO CO KOPAĆ SIĘ Z KONIEM

A jaka była rzeczywistość? Kto był na marszu, ten widział. Choćbyśmy jednak po stokroć pokazywali normalnych ludzi, którzy stanowili przytłaczającą większość uczestników, choćbyśmy podawali statystyki pokazujące, że podczas przemarszu ćwierć miliona osób nie doszło do żadnego poważnego incydentu, do żadnej zadymy, uszkodzenia samochodu czy witryn sklepowych, to i tak liberalne media będą pisać o setkach tysięcy zdziczałych faszystów defilujących przez Warszawę. A ich czytelnicy, coraz bardziej odseparowani od rzeczywistości, będą głęboko wierzyć w te brednie.

Dlatego trzeba dziś na to machnąć ręką. Każdy uczcił święto, jak chciał i potrafił. Jeden, biorąc udział w uroczystościach, inny z rodziną, jeszcze inny – dławiąc się jadem przy smartfonie albo samotnie gotując rosół. Jak kto wolał, mamy w końcu wolny kraj. I to jest najważniejsze.

1/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be



Daj się pokazać z jak najlepszej strony.

www.dobrzeciewidziec.org

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Leszek Czarnecki

Gra va banque

Szum wokół afery Getin Banku przybiera na sile każdego dnia. Dziś już wiadomo, że Leszek Czarnecki, publikując nagrania swoich rozmów z przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Chrzanowskim, pogrążył swoje bankowe imperium. Akcjonariusze całkowicie stracili zaufanie do biznesów dawnego miliardera, który karierę zaczynał, współpracując ze Służbą Bezpieczeństwa PRL. Imperium Czarneckiego ma nadal potężne zaplecze za granicami Polski. Stamtąd wciąż może szkodzić krajowemu rynkowi

Rynek finansowy, media i polityka, ale także akcjonariusze grający na polskiej GPW oraz zwykli Polacy oszczędzający na lokatach żyją dzisiaj aferą rozpętaną przez Leszka Czarneckiego. Stenogramy rozmów między szefem koncernu Getin należącym do grona najbogatszych Polaków a przewodniczącym KNF Markiem Chrzanowskim analizowane są na każdy możliwy sposób. Dotychczas nikt się jednak nie zatrzymał i nie zadał dwóch podstawowych pytań.

KLUCZOWE PYTANIA

Pierwsze z nich brzmi: dlaczego Leszek Czarnecki w listopadzie ujawnia nagrania rozmów, które odbyły się pół roku wcześniej – jaki cel przyświecał biznesmenowi, któremu polityczne niuanse nie są obce i który jest w stanie oceniać wpływ swoich działań na świat polityki oraz gospodarki?

Drugie pytanie, jakie dotychczas rzadko przewijało się w opinii publicznej, brzmi: jakie będą skutki rozpętanej przez Czarneckiego afery dla krajowej gospodarki, dla konsumentów? Na to zagadnienie poniekąd znamy już odpowiedź, obserwując pikujące akcje spółek związanych z Czarneckim i notowanych na warszawskiej GPW.

NIC NIE DZIEJE SIĘ PRZYPADKIEM

Leszek Czarnecki to postać o niezwykle bogatej, acz niekoniecznie chlubnej biografii. Z powielanych chętnie doniesień medialnych wynika, że założyciel Getin Banku w wieku 18 lat podpisał zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa jako TW „Ernest". Był wtedy uczniem III Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu.

W połowie 1982 r. Czarnecki podpisał zobowiązanie do współpracy, tym razem z wywiadem PRL. W październiku 1983 r. założono mu teczkę pod numerem 15538 jako kontakt operacyjny o pseudonimie Ternes. Do podpisania tych zobowiązań i współpracy ze służbami PRL Czarnecki się przyznaje. Unika zatem piętnowania i pozostaje gwiazdą, cudownym dzieckiem środowisk lewicowo-liberalnych.

ZAGADKOWY DEBIUT LC CORP

Jedną z największych i najbardziej zagadkowych transakcji przeprowadzonych z udziałem podmiotów grupy Getin była emisja w 2007 r. akcji LC Corp związana z wejściem spółki na giełdę. Debiut LC Corp nastąpił 29 czerwca 2007 r. Wyemitowano 57 mln nowych akcji serii J, wartość emisji to 1,06 mld zł.

Jak wynika z medialnych archiwów, przed debiutem nowej spółki Czarnecki wywołał duży szum wokół jej akcji. Sztucznie napompował w ten sposób ich wartość. W tym czasie Getin Bank udzielił swoim klientom pokaźnych kredytów na zakup akcji LC Corp SA. Kredyty udzielane były w kwotach sięgających wielu milionów złotych na jedną osobę. Akcje sprzedawał Dom Maklerski IDM SA, posiadający rachunek bankowy w Getin Banku. Dziś sprawa opisywana jest w mediach na

Fot. MACIEJ KULCZYŃSKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 3de1d194be

przykładzie emerytki, która przy emeryturze wynoszącej ok. 1,7 tys. zł otrzymała kredyt wysokości do 20 mln zł (po redukcji zleceń kupna w praktyce było to 99 tys. zł).

Dzięki dużemu zainteresowaniu akcje LC Corp zadebiutowały z maksymalnym kursem 6,5 zł (a nie przewidywanym ok. 5 zł). Dzień zakończyły ze stratą 7 proc., co uniemożliwiło już spłatę zaciąganych kredytów. Klienci po raz pierwszy, ale nie ostatni, tracą na inwestycjach w biznes Leszka Czarneckiego.

GETIN, IDEA I WĄTEK HOLENDERSKI

Rozmowa Czarnecki–Chrzanowski została nagrana w marcu, a dopiero w listopadzie sprawa trafiła do prokuratury. W tym czasie, czyli od marca do listopada, doszło do wielu zdarzeń, które miały związek z aktywami Leszka Czarneckiego, a co najważniejsze – w znacznym stopniu wpłynęły na interesy miliardera.

Grupa Idea Bank zakończyła rok 2017 zyskiem netto – po wyłączeniu zdarzeń jednorazowych – na poziomie 151 mln zł i był to wynik porównywalny z rok wcześniejszym. Ale dlaczego akurat Idea Bank? Przecież to właśnie ten bank znalazł się na liście ostrzeżeń KNF 13 listopada tego roku.

Idea Bank był mocno zaangażowany w sprzedaż obligacji GetBacku. Już w marcu było wiadomo, że GetBack się sypie, a osławiony komunikat, że spółka prowadzi rozmowy z PKO BP i PFR, który okazał się oszustwem, ukazał się w kwietniu. Wówczas ruszyła machina śledcza, której część stanowiła Komisja Nadzoru Finansowego. Wkrótce KNF zaczęła m.in. kontrolować, jak sprzedawano obligacje tej spółki. Kontrolerzy nadzoru weszli do Idea Banku i szybko pojawiły się informacje, że w dokumentach firmy zostały ślady po niespecjalnie uczciwym podejściu do całej operacji.

W celu ratowania swojego imperium Leszek Czarnecki poważnie rozważa dokapitalizowanie swoich firm lub fuzję Getin Banku i Idea Banku. Zablokowania fuzji chcieli – jak donosił portal Money.pl – poszkodowani w sprawie GetBacku. Portal informuje, że Idea Bank był zaangażowany w sprzedawanie – jak się później okazało – trefnych inwestycji. Obligatariusze GetBacku sugerują, że może to utrudnić odzyskanie pieniędzy utopionych w trefnych papierach windykatora.

W konsekwencji czołowe agencje ratingowe Fitch i Moody's obniżają Getinowi ratingi. Moody's Investors Service obniżył rating indywidualny Getin Noble Banku do b3 z b2 oraz długookresowy rating depozytów do B1 z Ba3, zmieniając jednocześnie perspektywę długookresowego ratingu depozytów z „negatywnej" na „pod obserwacją", a Fitch obniża rating IDR Getin Noble Banku do B- z B+, rating VR zaś do b- z b+. A w listopadzie KNF wpisuje Idea Bank na listę ostrzeżeń.

CZARNECKI WIE O PLANACH KNF I KUPUJE AKCJE

W październiku 2018 r., a zatem tuż przed opublikowaniem nagrań z rozmów Czarneckiego z Chrzanowskim, holenderska spółka LC Corp BV kupuje za 100 mln zł prywatną emisję akcji Getin Noble Banku serii E. To podwyższenie kapitału zakładowego banku, ale jednocześnie kolejny tajemniczy ruch Czarneckiego, na który biznesmen decyduje się tuż przed rozpętaniem medialnej afery.

Czy twórca upadającego dziś bankowego imperium, wiedząc o planach Komisji Nadzoru Finansowego i potencjalnym przejęciu jego banku przez jednego z dużych graczy na polskim rynku, zabezpieczył się i wzmocnił swoją pozycję negocjacyjną? A może zamierzał zbyć akcje po kursie znacznie wyższym niż wartość ich zakupu i z pełną premedytacją wymyślił mechanizm wyprowadzenia pieniędzy do Holandii?

Odpowiedź na te pytania pozostaje niejasna. Faktem jest, że Czarnecki się przeliczył. Efektem oskarżeń kierowanych przez niego w stronę Chrzanowskiego jest spadek kursu akcji spółek należących do oskarżyciela. 14 listopada na zamknięcie dnia jeden walor Idea Banku kosztował 2,3 zł, co oznaczało spadek o 18,15 proc. Pogłębiły się także spadki akcji Getin Noble Banku – 0,39 zł, czyli spadek o 23,53 proc., kurs Getin Holding zaś wynosił 16 gr, po spadku o 15,79 proc.

BIERECKI: „NIGDY NIE BYŁEM W GETIN BANKU"

W rozmowie prowadzonej w siedzibie KNF padło także hasło SKOK, którym dziś szafuje opozycja, lekceważąc wyraźnie kolejki, jakie ustawiają się przed placówkami chwiejącego się Getinu. Natychmiast po publikacji stenogramu do sprawy odniósł się Grzegorz Bierecki, którego nazwisko pada z ust Czarneckiego w kontekście rzekomego depozytu, jaki senator RP miałby próbować wpłacić do Getin Banku. – Według tego zapisu miałem przyjść do Getin Banku i próbować ulokować w nim 70 mln zł. To jest całkowicie wyssana z palca historyjka. Nigdy nie byłem w Getin Banku. A środki, którymi dysponuję, od siedmiu lat są w całości ujawniane w moim oświadczeniu majątkowym, które składam jako senator – podkreślał Bierecki.

Polityk zażądał przeprosin od wydawnictwa Agora i wystosował do Leszka Czarneckiego list, w którym informuje o konieczności sprostowania nieprawdziwych informacji dotyczących prób lokowania środków „w wysokości 60 czy 70 mln zł" w Getin Banku.

Jak wynika z naszych informacji, „Gazeta Wyborcza", przygotowując materiały poświęcone rozmowom Chrzanowskiego i Czarneckiego, nie weryfikowała pojawiających się tam stwierdzeń.

Co więcej, Grzegorz Bierecki zaznacza, że nigdy się nie ubiegał o składanie w żadnej instytucji finansowej należącej do Leszka Czarneckiego depozytu w kwocie 60 czy 70 mln zł. Nie mógł się zatem spotkać z żadną odmową ze strony biznesmena.

Bierecki odnosi się także do padających w stenogramie słów Czarneckiego dotyczących rzekomych wątpliwości w kwestii finansów senatora RP. – Wygłaszanie treści zawierających obraźliwe insynuacje i sugestie o możliwym nielegalnym czy wręcz przestępczym pochodzeniu tego majątku, to wygłaszanie pomówień rażąco i bezprawnie naruszających dobra osobiste – kwituje Bierecki, deklarując, że chce ugodowego zakończenia sprawy, ale gotów jest podejmować kroki prawne w celu ochrony swojego dobrego imienia.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 3de1d194be

Lewandowski sam meczu nie wygra



Uważam, że w polityce jest jak w sporcie drużynowym. Jeśli nie ma drużyny, nie ma zwycięstwa

Z wicepremier Beatą Szydło, szefową Komitetu Społecznego Rady Ministrów, rozmawia Dorota Łosiewicz

Szła pani w Marszu Niepodległości. Jaka była atmosfera?

Beata Szydło: Wspaniała. To był piękny marsz szczęśliwych ludzi, dumnych z tego, że są Polakami, że żyją w kraju niepodległym, tolerancyjnym i bezpiecznym. Do teraz pozostaję pod ogromnym wrażeniem sprawnego i bezpiecznego przebiegu tej uroczystości. Gratulacje należą się organizatorom. Liczyliśmy, że na 100-lecie niepodległości stawi się co najmniej 100 tys. ludzi. A przyszło ćwierć miliona! Pokazaliśmy światu, że Polacy potrafią być razem. Zrobiliśmy piękny prezent naszej ojczyźnie.

Jednak światowe media zobaczyły co innego: polski nacjonalizm.

Szłam w tym niekończącym się tłumie. Widziałam uśmiechniętych ludzi, którzy całymi rodzinami demonstrowali przywiązanie do ojczyzny. To nie pasowało do tez, wcześniej ukutych i z wielką powagą głoszonych, przez różne „światowe media" i „światowe elity". Po zakończeniu uroczystości wcześniej napisane artykuły i komentarze powinny wylądować w koszu. Jednak wbrew faktom sporo takich publikacji się ukazało.

Dlaczego tak się dzieje?

Odpowiedź jest prosta. Zmiany wprowadzane w Polsce od trzech lat nie są na rękę środowiskom, które korzystały z tego, że mieliśmy słaby, uległy rząd. Prawo i Sprawiedliwość upomina się o polskie interesy. To oczywiście bolesne dla grup traktujących naszą ojczyznę jak swoistą kolonię. Wielu nie chce zaakceptować sytuacji, że u nas żyje się bezpiecznie, godnie, że mamy coraz lepsze wyniki gospodarcze, wspieramy własną gospodarkę, chcemy, żeby pieniądze zarabiane i wydawane w Polsce pozostawały nad Wisłą. Nie jest to na rękę ludziom, którzy w poprzedniej rzeczywistości robili tu świetne interesy. Stąd narracja o braku demokracji i wolności mediów, faszystach na ulicach. To oczywiste kłamstwa!

Były prezydent Bronisław Komorowski stwierdził: „Cały świat wyrobił sobie opinię, że Polska jest dzikim, nacjonalistycznym krajem". Skąd ta niechęć do polskości?

Takie słowa nie powinny paść z ust człowieka, który był prezydentem Polski. Bronisław Komorowski już kiedyś pokazał, jak wyobraża sobie świętowanie rocznic ważnych dla Polaków: z orłem z czekolady, bez biało-czerwonych flag, za to w różowych okularach. My po prostu różnimy się w wizji Polski. Dla nas nie może być Polski bez barw narodowych. Tymczasem niektórym wystarczy czekoladowy orzeł. Byłemu prezydentowi przypomnę tylko, że Polacy wybrali naszą wizję. Potwierdzają to wszystkie wybory przeprowadzone od 2015 r. Polacy pokazali czerwoną kartkę takiemu czekoladowemu świętowaniu oraz samemu prezydentowi. Dlatego na bocznym torze znalazł się sam Bronisław Komorowski. Myślę, że to taki krzyk rozpaczy człowieka, który do dziś nie może się pogodzić z tak bolesnym upadkiem – z najwyższego świecznika gdzieś do najdalszego kąta.

Opozycja nie wzięła udziału we wspólnym świętowaniu.

Szkoda. Mam wrażenie – i to pokazał marsz 11 listopada – że Polacy tęsknią za wspólnotą. Zbyt często zapominamy, że wspólne państwo to wartość, o którą trzeba się nieustannie troszczyć. To nasza zbiorowa odpowiedzialność. Na marsz zapraszaliśmy wszystkich, bo 11 listopada to święto wszystkich Polaków. Są bowiem takie chwile, kiedy należy przedłożyć interes wspólnotowy nad interes partyjny. Opozycja tego nie rozumie.

Tymczasem padły słowa Donalda Tuska o pokonaniu bolszewików.

Myślę, że im mocniej Donald Tusk się wypowiada, tym większe wzbudza przerażenie u obecnych liderów opozycji. Jego powrót będzie oznaczał spore przetasowania na szczytach zarówno

eprasa.pl 3de1d194be



Fot. Andrzej Wiktor

Platformy Obywatelskiej, jak i orbitujących wokół niej środowisk opozycyjnych. Tak więc oficjalne komplementowanie Donalda Tuska przez obecnych liderów jest jak radość karpi z okazji nadchodzącej wigilii. Słuchając bredni o bolszewikach, mam też gorzką satysfakcję. W PiS od dawna uważamy, że Donald Tusk nie ma moralnych kompetencji do sprawowania wysokich stanowisk w Europie. Pełni funkcję, która zobowiązuje go do bezstronności, tymczasem on otwarcie i jednoznacznie zaangażował się we wsparcie opozycji w jednym z krajów członkowskich UE. Występuje przeciw rządowi wybranemu w demokratycznych wyborach. Chciałoby się zapytać: gdzie poszanowanie konstytucji? Mam satysfakcję, że w czasie głosowania nad jego wyborem na obecne stanowisko byłam przeciw. Czas pokazał, że racja była po mojej stronie. Donald Tusk udowodnił bowiem, że nie powinien piastować tej funkcji. Widząc, że grubo przesadził z historycznymi odniesieniami, wyjaśnił, iż mówiąc o bolszewikach, nie myślał o PiS. Skoro nie prawicę, to kogo obraził? Lewicę? Kolegów partyjnych?

Donald Tusk wróci do polskiej polityki? A może już wrócił?

Donald Tusk czuje pokusę, by wrócić. Do niedawna wydawało mi się, że na dobre porzucił polską politykę i będzie tylko od czasu do czasu włączał się w nią, aktywnie wspierając opozycję. Tak było np. w 2016 r. podczas tzw. puczu sejmowego. Wówczas wystąpił z przemówieniem we Wrocławiu. Od tamtej pory pojawia się coraz częściej, ale nie jako polityk wspierający Polskę, tylko jako polityk kibicujący opozycji. Wygląda więc na to, że z aktywności w polskiej polityce nie zrezygnował, a teraz sonduje, czy byłby akceptowalny dla całej opozycji.

Jako kandydat na prezydenta?

Niewykluczone. Każde pojawienie się Donalda Tuska w Polsce, choćby z powodu przesłuchań przed komisją śledczą, wiąże się z organizacją spektakularnego show. Ponawiam pytanie: czy PO z Grzegorzem Schetyną na czele jest w stanie zaakceptować Donalda Tuska jako swojego kandydata? To na szczęście problemy opozycji. My mamy swojego kandydata – Andrzeja Dudę – który wygra wybory, bo pokazał się jako bardzo dobry prezydent.

Rzecznik Andrzeja Dudy twierdzi, że prezydent nie podjął jeszcze decyzji, czy kandydować.

Życzyłabym sobie, żeby kandydował. Jeśli tylko będę miała taką okazję, będę namawiała Andrzeja, żeby podjął decyzję o kandydowaniu na kolejną kadencję.

Mówiła pani o problemach opozycji, a czy dla partii rządzącej problemem jest wynik wyborów samorządowych?

Nie ma wątpliwości, że te wybory wygraliśmy. Poprawiliśmy wyniki PiS z poprzednich wyborów samorządowych. Z tego trzeba się cieszyć. Moim osobistym sukcesem jest wynik w sejmiku małopolskim. Będziemy w nim rządzić samodzielnie. Wprowadzimy tam rządy sprawiedliwe, uczciwe i mądre.

Jednak w miastach nie było sukcesu.

I to jest coś, nad czym trzeba się teraz dogłębnie zastanowić, wyciągnąć wnioski. Nie można nad tym wynikiem przejść do porządku dziennego. Wybory pokazały, że nasza oferta dla miast musi zostać zweryfikowana. Trzeba się teraz zastanowić, jakie są oczekiwania i wyjść z ofertą do mieszkańców dużych miast.

Co pani ma na myśli, mówiąc o weryfikacji oferty? Przecież wiemy, że ofertą dla dużych miast miał być premier Mateusz Morawiecki.

Chodzi przede wszystkim o sprawy programowe. Po gruntownym namyśle przedstawimy ofertę programową dla mieszkańców miast. Z refleksją i wnioskami nie możemy czekać do wyborów europejskich i parlamentarnych. Nie ma czasu na dywagacje. Wybory do PE nie będą dla PiS łatwe. Dziś sytuacja nie jest zła, bo wygraliśmy, poprawiając wszystkie wyniki. Natomiast, jak z każdej kampanii, trzeba wyciągnąć wnioski.

A jakie błędy popełniono w kampanii?

Nie chcę recenzować sztabu, gdyż w nim nie pracowałam. Odpowiedzialność biorę za pracę sztabu, w którym byłam, czyli za rok 2015. Mam za sobą dwie wygrane kampanie. Wcześniej, w 2014 r., pracowałam z Tomaszem Porębą. Wysoko oceniam jego kompetencje jako szefa sztabu. Podczas obecnej kampanii sporo jeździłam po Polsce. Słuchałam ludzi, wiem, jakie są nastroje. Klimat jest dla naszej partii sprzyjający. To nie znaczy jednak, iż można spocząć na laurach. Potrzebna jest pokora i refleksja nad tym, co dalej. Czas nie znosi próżni.

eprasa.pl 3de1d194be

Jeśli się zatrzymamy – zaczniemy się cofać i stracimy szansę na zwycięstwo.

Mówi pani o nastrojach. Czy tzw. taśmy Morawieckiego, które pojawiły się w kampanii, mogły zaszkodzić?

W czasie moich spotkań z wyborcami nie padały pytania o taśmy. Z doświadczenia wiem jednak, że każdy niekorzystny wątek wzbudzający dyskusje i złe emocje, zmuszający do udzielania wyjaśnień – może powodować wyhamowanie tempa kampanii, może skomplikować prowadzenie aktywnego i pozytywnego przekazu. Wielu ludzi mogło mieć dylematy, jak interpretować doniesienia mediów. Jednak każda kampania ma swoją dynamikę. W efekcie spokojnej analizy przeprowadzonej z perspektywy czasu widać niekiedy, że decyzje, które wcześniej wydawały się dobre, oceniamy inaczej. Podsumowując całą kampanię i jej wynik wyborczy – należy pogratulować Tomaszowi Porębie.

Czyje notowania po tej kampanii wzrosły, a czyje spadły. Mam na myśli poszczególnych polityków.

To już ocenią wyborcy.

Chodzi mi o ocenę, którą wystawi politykom prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Musiałaby pani jego zapytać. Ja uważam, że w polityce jest jak w sporcie drużynowym. Jeśli nie ma drużyny, nie ma zwycięstwa. Nawet jeżeli ktoś się uważa za świetnego lidera i czuje w polityce jak Robert Lewandowski na boisku, powinien pamiętać, że sam Lewandowski meczu nie wygra. W polityce jest jak na boisku: nie ma współpracy – nie będzie zwycięstwa. Nie mówię, że drużyna musi się lubić. Ale musi grać do jednej bramki. Tylko wtedy można więcej osiągnąć. Dlatego wygraliśmy w 2015 r. Zbudowaliśmy wtedy świetny zespół. Od sztabu poczynając, na współpracy w terenie kończąc.

Rozumiem, że ta współpraca szwankuje, skoro wspominała pani o „zleceniu na siebie”.

Trudno nie mieć wrażenia, że ktoś takie zlecenie wydał, skoro tuż po ogłoszeniu wyników przeczytałam w tabloidach, że Szydło przyniosła pecha, bo gdzieś pojechała i przez Szydło ktoś tam przegrał. W tych samych miastach byli również inni politycy PiS, łącznie z panem premierem. Gdyby taką logikę stosować, to należałoby się zastanawiać, kto przynosił większego pecha? To prowadzi do dość zabawnych rozważań. Z drugiej strony są też smutne refleksje. Jeżeli na naszym zapleczu funkcjonują osoby nierozumiejące, że wartością nadrzędną jest biało-czerwona drużyna, to nie jest powód do radości. Bardzo często myślę, że to nawet nie są ludzie związani z polityką, tylko tacy, których celem jest zagranie komuś na nosie. Oczywiście to szkodzi całemu obozowi. Dlatego się takiemu zachowaniu sprzeciwiam. Tu nie chodzi o Beatę Szydło. Plotki, przecieki, anonimowi informatorzy – to nie jest poważna polityka.

> Co rusz uruchamiany jest festiwal publikacji anty-Szydło. Patrząc na precyzję i specyfikę wielu pytań, ciężko nie mieć wrażenia, że to próby inspirowane

Mocno to zabrzmiało. Rozumiem, że to powyborcza refleksja.

Nie tylko powyborcza. Od kilkunastu miesięcy co rusz uruchamiany jest festiwal publikacji anty-Szydło. Patrząc na precyzję i specyfikę wielu pytań, ciężko nie mieć wrażenia, że to próby inspirowane. Komitet Społeczny Rady Ministrów jest na celowniku zdecydowanie częściej niż podobne międzyresortowe ciała funkcjonujące w ramach rządu. Nie mam nic przeciw krytyce, jeśli jest oparta na faktach, a nie na wyssanych z palca opiniach anonimowych informatorów. Rozumiem, że pełniąc wysokie funkcje, jestem na świeczniku. Jednak to dotyczy prywatności mojej oraz mojej rodziny. Ktoś ujawnił mój prywatny warszawski adres, jeden z tabloidów opublikował fotografie z osiedla, na którym mieszkam. Czemu to miało służyć? Chyba tylko temu, żeby utrudnić życie mnie i moim sąsiadom. Dostaję pytania dotyczące moich dzieci. Nachodzą nas dziennikarze w moim rodzinnym domu, fotografują z ukrycia. Niekiedy nosi to znamiona nękania, bo nie ma nic wspólnego z moją aktywnością publiczną – tę prześwietlajcie na wszelkie sposoby. Ale pozwólcie mojej rodzinie zachować prywatność.

A jaki ma pani wpływ na kierowców, z którymi pani jeździ? Może ich pani poprosić, by jeździli wolniej?

Jestem osobą ochranianą i za to, jak ta ochrona ma wyglądać, odpowiadają ci, którzy mnie chronią. To oni decydują. Podobnie jak o liczebności ochrony, jej wzmocnieniu itp. Ja muszę się podporządkować. Ale znowu dochodzimy do paradoksu. Media najpierw publikują zdjęcia z mojego osiedla, a potem się oburzają, że ochrona towarzyszy mi do drzwi.

Podobno będzie rekonstrukcja rządu. Z pracy w nim muszą zrezygnować ci, którzy będą kandydować do europarlamentu. Nie szkoda pani zostawiać rząd i przenosić się do Brukseli?

Nic tak nie szkodzi normalnej pracy rządu jak podsycanie plotek o rekonstrukcji. To ma negatywny wpływ na pracę w KPRM, w ministerstwach. Fatalnie wpływa na wizerunek rządu – opinia publiczna dostaje sygnały, że są jakieś poważne problemy, które uwiarygodniają „anonimowi informatorzy” z wewnątrz. To śmieszne i jednocześnie niebezpieczne. Za rząd odpowiada premier, a nie „anonimowe źródła” czy nasi koledzy partyjni chętnie wypowiadający się w mediach. Dlatego nikt w naszym środowisku, kto dobrze życzy PiS, nie powinien się bawić w takie gierki.

49/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

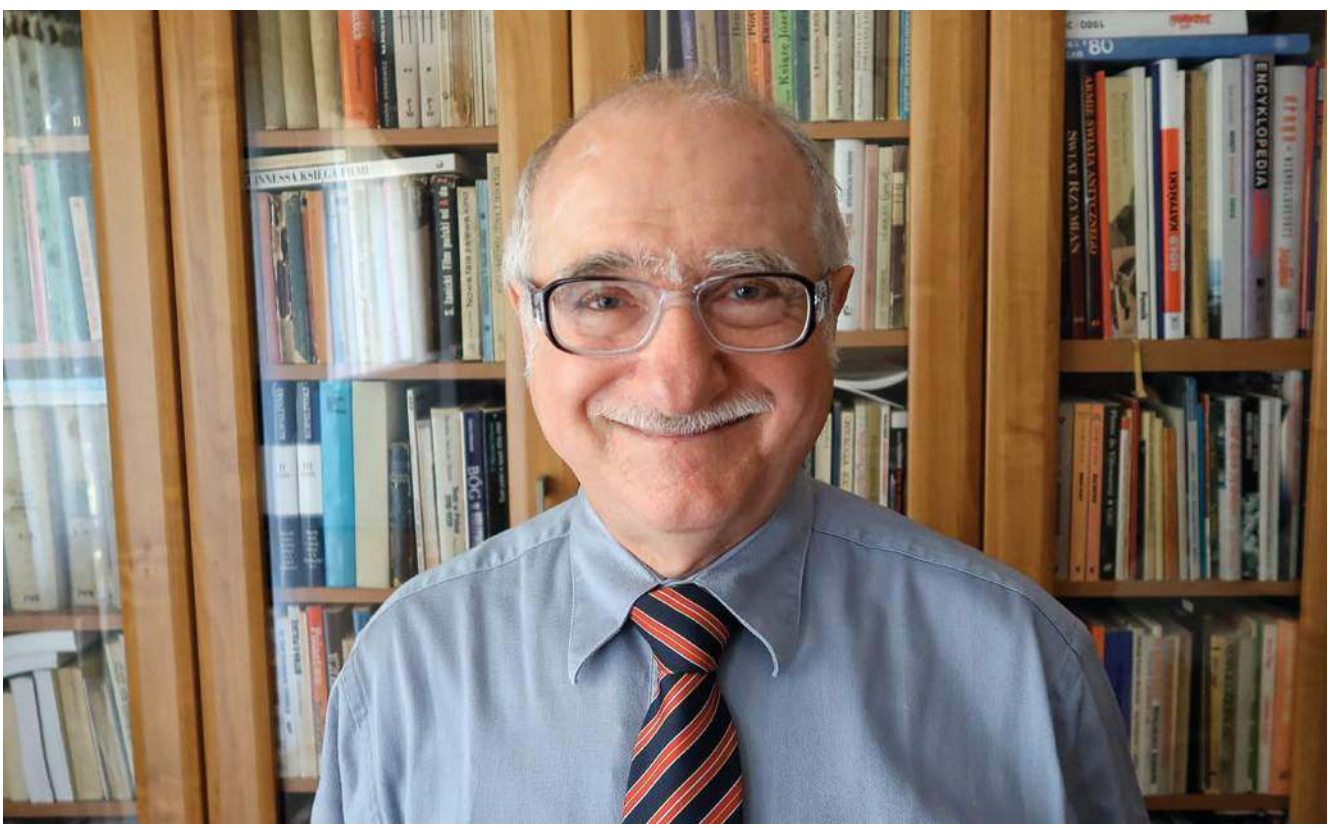
Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 3de1d194be

Prezesem się bywa, wiedzę się ma



Fot. Jaromir Kwiatkowski

Wielki finał 108. edycji teleturnieju „Jeden z dziesięciu" w TVP1 wygrał, zdobywając nagrodę główną w wysokości 50 tys. zł, 68-letni Stanisław, nauczyciel z Rzeszowa. Zapewne tylko nieliczni telewidzowie rozpoznali w nim Stanisława Alota, prezesa ZUS z czasów AWS. Odwiedziliśmy go, by porozmawiać o życiu po polityce



JAROMIR KWIATKOWSKI

Stanisław Alot przyznaje, że do wzięcia udziału w teleturnieju zmobilizowała go rodzina, którą podczas oglądania kolejnych odcinków denerwowały jego komentarze pod adresem grających. „Może byś sam spróbował?" – proponowali najbliżsi.

– W końcu zdecydowałem się, ale postanowiłem to zrobić po swojemu – opowiada Alot. – Wysłałem zgłoszenie i zostałem zaproszony do Krakowa na eliminacje. Akurat żona wyjechała do córki, a ja pod jej nieobecność pojechałem do Krakowa. Stanąłem w kolejce kandydatów, a w końcu usiadłem przy stole i odpowiedziałem na pytania. Po jakimś czasie otrzymałem telefon z zaproszeniem do nagrania odcinka.

eprasa.pl 3de1d194be

W domu się nie przyznałem, tylko pojechałem do Lublina na nagranie. Wróciłem akurat w czasie, kiedy żona... oglądała w telewizji „Jeden z dziesięciu". Wniosłem do mieszkania sporą paczkę, bo jedną z nagród był duży robot kuchenny. Żona zapytała: „A ty skąd?". „A stamtąd" – pokazałem na telewizor. No i sprawa się rypła – śmieje się Alot.

Odcinek był nagrywany we wrześniu, a został wyemitowany 26 października. Alot pojechał na nagranie przeziębiony, z 39-stopniową gorączką. – Odpowiadałem na pytania w koszuli z krótkim rękawem, tak mi było gorąco – opowiada. – Parę razy przerywano nagranie, żeby moja odpowiedź była słyszalna, bo miałem zatkany nos.

Na jedną edycję składa się 20 odcinków (ten z udziałem Alota był 19.). Po każdej „dwudziestce" 10 graczy, którzy osiągnęli najlepsze wyniki, kwalifikuje się do wielkiego finału. Mimo przeziębienia Alot osiągnął tak dobry wynik, że nie tylko wygrał odcinek, lecz i znalazł się w tej dziesiątce. Finał był nagrywany 3 października, a został wyemitowany w przedostatnim dniu tego miesiąca.

CZY NATO MA HYMN?

Alot uważa wynik osiągnięty w finale – 344 punkty – za przyzwoity, choć – jak przyznaje – byli w historii tego teleturnieju uczestnicy, którzy osiągnęli znacznie lepszy rezultat.

Zapytany, czy do podjęcia takiej rywalizacji wystarczy przygotowanie ogólne, odpowiada: – Wszystko zależy od tego, co rozumiemy pod tym pojęciem. Jeśli jest to wykształcenie ogólne na poziomie peerelowskiej matury, to niewiele więcej potrzeba, ponieważ wymagano wtedy, żeby zapamiętać, umieć kojarzyć i wykorzystać bardzo wiele szczegółowych informacji. Teraz tego się nie wymaga, stąd tak wielu młodych ludzi ma kłopoty z podstawami wykształcenia ogólnego.

Zdaniem Alota na przykładzie uczestników tego teleturnieju wyraźnie widać pęknięcie cywilizacyjne pomiędzy osobami z jego pokolenia i młodymi. – Wcale nie jestem pewien – twierdzi – czy to pęknięcie da się łatwo zniwelować. Wydaje mi się, że raczej nie. W PRL obowiązywała, i tak już złagodzona, zasada, że do matury powinni przystąpić ci, którzy prawie na pewno pójdą do pracy tam, gdzie jest ona wymagana, albo na studia. Jeszcze za moich czasów był to odsetek na poziomie 1,5 proc., w tej chwili maturę zdobywa ponad 70 proc. pokolenia. To może oznaczać tylko jedno: gwałtowne zaniżenie poziomu nauczania i spadek jakości myślenia.

W ankiecie do teleturnieju na pytanie, jak przygotować się do gry w „Jeden z dziesięciu", odpowiedział: „Oglądać teleturniej, a nieznane odpowiedzi i pytania zapisać".

Na udzielenie odpowiedzi zawodnik ma trzy sekundy. Alot przyznaje, że odpowiadanie podczas nagrania jest znacznie trudniejsze niż w domu przed telewizorem. Największy stres jest wtedy, gdy nie odpowie się na bardzo proste pytanie. – Ale generalnie sama rywalizacja była dla mnie przyjemnością – podkreśla. Dodaje, że bardzo pomocny zawodnikom w pokonaniu stresu jest prowadzący Tadeusz Sznuk. – Podczas nagrania finału byli uczestnicy, którzy się bardzo stresowali, mieli kłopot z ustawieniem się do kamery, z odpowiedziami na pytania – wspomina Alot. – Sznuk potrafił wtedy uspokoić zawodnika, wprowadzał ciepłą, miłą atmosferę.

W finale miał kłopot z dwoma pytaniami. Pierwsze brzmiało: czy NATO ma hymn? – Naprawdę tego nie wiedziałem. Myślałem, że nie ma. Okazało się, że jednak ma, choć bez słów – opowiada Alot. W innym pytaniu – chodziło o wiersze dla dzieci – pomylił autorstwo Brzechwy i Tuwima: – Rodzina do tej pory się ze mnie śmieje [pewnie dlatego, że jest on z wykształcenia polonistą – przyp. J.K.]. Byłem nawet trochę zły na siebie, ale przyznaję, że za twórczością dla dzieci jakoś nigdy nie przepadałem.

Zwycięstwo w finale to dla niego powód do satysfakcji. Tym większy, że tempo programu było na tyle szybkie, iż Sznukowi udało się zadać uczestnikom wszystkie 40 pytań, co wcale nie jest takie częste: – Poczułem satysfakcję nie tylko ze zwycięstwa, lecz także z tego, że okazało się, iż nie tylko siedziałem przed telewizorem i się mądrzyłem, ale udało mi się sprawdzić siebie i potwierdzić moją wiedzę w o wiele trudniejszych warunkach – w telewizji.

SYSTEM KOMPUTEROWY ZUS? NAJLEPSZY W EUROPIE

W prezentacji emitowanej podczas programu nie podał, że 20 lat temu był prezesem ZUS. Jak twierdzi, nie było takiej potrzeby. W finale zaprezentował się jako nauczyciel, związkowiec i urzędnik: – Przedstawienie siebie jako związkowca wcale nie jest takie oczywiste, a może nawet byłem pierwszym uczestnikiem, który zaprezentował się w ten sposób.

Rzeczywiście, jego życiorys związkowca jest niezwykle bogaty. W 1980 r. zaangażował się w działalność NSZZ „Solidarność". W 1981 r. został sekretarzem regionalnych struktur związku w Rzeszowie, powrócił na tę funkcję na początku lat 90. W latach 1992–1998 był sekretarzem Prezydium Komisji Krajowej i jednym z najbliższych współpracowników przewodniczącego Mariana Krzaklewskiego. W tamtym czasie był też jednym ze współautorów obywatelskiego projektu konstytucji, firmowanego przez NSZZ „Solidarność".

Podczas wygranych przez AWS w 1997 r. wyborów parlamentarnych do Sejmu się nie dostał. Został natomiast prezesem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych (wcześniej był przez dwa lata w radzie nadzorczej tej instytucji). Po odwołaniu go z tej funkcji jesienią 1999 r. był m.in. szefem spółki wydającej „Tygodnik Solidarność" i – po wyborach samorządowych w 2006 r. – wiceburmistrzem Piwnicznej (– Koleżanka, która pracowała ze mną w ZUS, została wtedy wybrana na burmistrza i zaproponowała mi tę funkcję – wyjaśnia).

Najwięcej emocji budziło jego kierowanie ZUS. Do dziś można przeczytać, że przyczyną jego odwołania były kłopoty z komputeryzacją tej instytucji. Alot zaprzecza. Twierdzi, że rzeczywistą przyczyną jego odejścia z ZUS było to, iż zakwestionował projekt budżetu tej instytucji na rok 2000, który zakładał, że ZUS będzie od razu „skazany" na zaciąganie kredytów lub dodatkowe finansowanie z budżetu. – Byłem wtedy jedynym urzędnikiem z kręgów rządowych, który kwestionował udatność

eprasa.pl 3de1d194be

reformy OFE – podkreśla. – Chodziło mi o to, że z jednej składki nie da się zbudować dwóch systemów emerytalnych, a lukę w budżecie ZUS państwo będzie pokrywało z pożyczek.

Co dziś myśli o problemach z komputeryzacją ZUS? Odpowiada nie wprost: – W 2009 r. ówczesna prezes ZUS pojechała do Liverpoolu po odbiór nagrody dla najlepszego systemu informatycznego na styku sfery publicznej i prywatnej w UE. To była nagroda za system informatyczny, który budowałem, a że informacja na ten temat nie znalazła się na czołówkach gazet, nie jest moją winą. Komputeryzacja ZUS była według mnie niezbędna, bo jako związkowiec pamiętałem, ilu ludzi miało kłopoty z powodu zagubienia czy zniszczenia ich dokumentów płacowych z zakładów pracy. Dzięki informatyzacji ZUS dane tych wszystkich, którzy pracują legalnie, nie zginą. Uważałem i uważam to za wartość.

Obecnie nie pełni żadnych funkcji politycznych ani samorządowych. Jest natomiast szefem Regionalnej Sekcji Emerytów i Rencistów NSZZ „Solidarność" w Rzeszowie i choćby z tego powodu przynajmniej raz w tygodniu odwiedza siedzibę Zarządu Regionu. – Niedawno byłem w Gdyni u córki, więc przy okazji odwiedziłem Komisję Krajową, by porozmawiać o niektórych aspektach związanych z polityką związku – opowiada. – Moi koledzy sprzed lat dobrze mnie pamiętają, choć młodsi działacze mogą już nie wiedzieć, że byłem w Prezydium KK czy kierowałem ZUS – przyznaje.

Stara się bywać na odbywających się w Rzeszowie spotkaniach z posłami i ministrami, z których – jak podkreśla – wielu zna osobiście. Zabiera wtedy głos na tematy polityczne, a także związane ze szkolnictwem, bo ta tematyka jest mu najbliższa. – Ale to wcale nie znaczy, że to, o czym mówię, zostanie zrealizowane – podkreśla. – Zwłaszcza że mówię na przykład, iż dla oświaty byłoby lepiej, gdyby młodzież szła do szkół po egzaminach wstępnych, że nie wszyscy uczniowie muszą mieć maturę, ale też że nie jest dobrze, kiedy wójt, burmistrz czy prezydent decyduje, kto będzie dyrektorem szkoły.

Dużo czyta, zwłaszcza książki historyczne. Redaguje „Kalasancjusza Rzeszowskiego" – gazetkę wydawaną przez jego parafię pod wezwaniem św. Józefa Kalasancjusza; jest członkiem rady parafialnej. – Kilkadziesiąt razy w roku odwiedzam różne szkoły, do których jestem zapraszany, by opowiedzieć uczniom o tym, o czym oni nie mają często pojęcia – opowiada. – Dla młodych ludzi, przymusowo obdarowanych maturą, egipski faraon, Kazimierz Wielki czy Józef Piłsudski to czasy zamierzchłe, o których wiedza jest, jak im się wydaje, do niczego niepotrzebna. A szkoła od nich tak naprawdę prawie niczego nie wymaga.

Jako dziadek sporo czasu spędza też na zabawie z wnukami. W ankiecie do „Jeden z dziesięciu" napisał, że marzy o podróży dookoła świata.

CYWILIZACJA BYLEJAKOŚCI

Jest bardzo krytyczny wobec dzisiejszej klasy politycznej. – Ona jest, niestety, bardzo marnej jakości – przekonuje. – Dlaczego? Bo często politykami zostają ludzie wtedy, kiedy dostają się do parlamentu. I nie wnoszą żadnej wartości dodanej. Kiedyś politykami zostawali profesorowie uniwersyteccy, inżynierowie czy przedsiębiorcy, a więc ludzie, którzy mieli na swoim koncie pewne dokonania i chcieli zrobić coś dobrego w Polsce, bazując na własnych doświadczeniach, zapleczu, wiedzy i autorytecie. Teraz tego jest mało. Stąd w polityce zapotrzebowanie na „znanych", np. sportowców czy celebrytów.

Jego zdaniem, z ludzi przypadkowych, którzy weszli w ostatnich latach do polityki, obronił się, co dla niego było wielkim zaskoczeniem, praktycznie jeden Liroy.

W ankiecie do teleturnieju zadeklarował, że nie odpowiada mu „nowa cywilizacja – bez wartości" oraz poprawność polityczna. Przekonuje, że taka właśnie cywilizacja jest największym przeciwnikiem PiS.

– Telewizje w czasie wakacji wyświetlają filmy o Bożym Narodzeniu, za to w okolicach listopada tylko o Halloween. Programy w stacjach komercyjnych pokazują niezbędność eutanazji, a środowiska rządzące jakby nie dostrzegały naporu „cywilizacji antywartości". PiS dotąd nie wypracowało



Fot. facebook.com/jedenzdziesieciu

zasad „kontrrewolucji cywilizacyjnej", choć przywraca polską politykę historyczną – twierdzi Alot. – Obecny obóz władzy wspaniale przypomina zapomnianych polityków, natomiast pisarzy i poetów – słabiej, a to przecież kultura pozwoliła Polakom przetrwać i rozbiory, i PRL. PiS niszczy białe, częściej krwawe plamy w historii, ale w szkole są młodzi nauczyciele, których własna wiedza ogólna została skrzywiona przez system gimnazjalny. Oni nie tylko nie mają wiedzy na odpowiednim poziomie, lecz także nie mają umiejętności zachęcania uczniów do poszerzania wiedzy w myśl tego, o czym mówił Jan Paweł II: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od Was nie wymagali".

Zdaniem Alota człowiek między 7. a 14. rokiem życia ma się uczyć, bo na to idą podatki nas wszystkich. I ma być wychowywany, czyli ma się nauczyć, jak się zachować. – To są jego obowiązki. Pilnowanie praw ucznia, który nie spełnia swoich obowiązków, jest antywychowawcze, to urzędowe zniechęcanie do wysiłku – przekonuje. – Jeżeli PiS nie będzie o tym pamiętało, to jego rządy mogą być jedynie krótkim epizodem odepchnięcia tej fali, która stoi tuż za naszymi drzwiami. A po tych rządach mogą znów wrócić „Europejczycy" wprowadzający ustawami cywilizację, którą Jan Paweł II nazywał „cywilizacją śmierci", a ja – cywilizacją bylejakości. W tej chwili jest ona jeszcze w Polsce powstrzymywana. Pytanie jak długo.

28/1118/F

eprasa.pl 3de1d194be

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna



fot. ze zbiorów Narodowego Centrum Cyfrowego

NAC

25 LISTOPADA
ŚWIĘTO KOLEJARZA

Kolejarzom z Grupy PKP oraz wszystkim pracownikom branży kolejowej z okazji ich Święta życzymy, aby wykonywana przez nich praca była źródłem satysfakcji, spełnienia zawodowych ambicji i poczucia dumy.

Życzymy Państwu, aby podczas Święta Kolejarza, mimo iż wielu z Państwa spędzi go w pracy, nie zabrakło czasu na wspomnienia, podsumowania oraz spotkania w gronie koleżanek i kolegów – pracowników, emerytów i rencistów.

Zarząd PKP S.A.

- polskie święto obchodzone corocznie przez kolejarzy i pracowników kolei 25 listopada (od 1981) w dniu wspomnienia św. Katarzyny Aleksandryjskiej, patronki kolejarzy. Obchody Dnia Kolejarza to tradycja sięgająca XIX wieku. W dniu tym prezentowana jest m.in. historia kolei, to również okazja do awansowania i odznaczenia pracowników za wzorowe i sumienne wykonywanie obowiązków wynikających z pracy zawodowej Krzyżem Zasługi czy odznaką honorową Zasłużony dla Kolejnictwa ustanowioną przez Radę Ministrów w 2000 roku.

eprasa.pl 3de1d194be



DOROTA ŁOSIEWICZ

Dla dobra dzieci?



Polski sąd zdecydował, że dwójka dzieci posiadających wyłącznie polskie obywatelstwo i mówiących wyłącznie po polsku musi wyjechać do Irlandii, ponieważ taka jest wola ich ojca – Hindusa. Matka chłopców walczy o normalną przyszłość dla swoich synów

Agnieszka Savara po studiach wyjechała do Irlandii. Tam poznała przyszłego męża – kucharza pochodzącego z Indii. Owocem związku jest dwójka dzieci. – Początek tej historii jest banalny. Po prostu się zakochałam. Mój mąż wydawał się człowiekiem kulturalnym, dobrze ułożonym, wszyscy go lubili. Miałam klapki na oczach, nie zauważałam sygnałów ostrzegawczych. Pobraliśmy się, zaszłam w ciążę i bardzo szybko mąż zaczął się nade mną znęcać. Najpierw psychicznie, później fizycznie, nawet gdy byłam w ciąży – wspomina swój koszmar pani Agnieszka. – Mówił, że mnie zostawi z dzieckiem, że będę starą panną i nikt mnie nie zechce. Trafił w czułą strunę. Przecież żadna kobieta w ciąży nie chce zostać sama – relacjonuje.

Prawdziwa jazda bez trzymanki zaczęła się, gdy syn pani Agnieszki przyszedł na świat. – Mąż mnie przyduszał, regularnie bił. Moja mama widziała siniaki na ramionach, na plecach – wspomina Savara.

Do prawdziwego dramatu doszło w maju 2014 r. – Uderzył mnie w głowę z taką siłą, że pękła mi błona bębenkowa, krew zalała ucho. Poszłam na obdukcję. Lekarz powiedział, że na szczęście nerw nie został uszkodzony, ale byłam o włos od utraty słuchu. Po tym już często życzył mi śmierci, często wpadał w szał, swoje frustracje wyładowywał na mnie – opowiada pani Agnieszka.

Sześcioletni dziś Artur urodził się w Polsce, ma polskie obywatelstwo. Podobnie jego młodszy, trzyipółletni brat. – Nie planowaliśmy mieszkać w Irlandii na stałe. Chcieliśmy wrócić do Polski, takie snuliśmy plany. Mąż chciał otworzyć restaurację hinduską. Mój tata miał nam wybudować dom. Planowaliśmy ślub w Polsce i w Indiach, ten irlandzki był tylko cywilny. Nasze plany się nie ziściły, bo mąż zaczął mnie zastraszać i się nade mną znęcać w każdy możliwy sposób – relacjonuje Savara.

Pani Agnieszka wystąpiła w Irlandii na drogę prawną. Sąd wydał oprawcy dwuletni zakaz zbliżania się, ustalił kontakty dzieci z ojcem oraz zabronił pani Agnieszce wyprowadzenia się na stałe do Polski. W 2016 r. sąd wyraził jednak zgodę, by Savara z dziećmi przyjechała do Polski na święta Bożego Narodzenia. Kobieta miała zostać w kraju do 6 stycznia 2017 r. Po świętach pani Agnieszka do Irlandii nie wróciła.

– Po prostu nie miałam dokąd wrócić. W tym czasie zostałam w Irlandii pozbawiona dachu nad głową. Mąż wyrzucił nas na bruk. Gdy odeszłam od męża, odkryłam, że mnie zdradzał, kłamał, okazał się nałogowym hazardzistą – opowiada Savara.

Kiedy synowie nie wrócili do Irlandii, mąż pani Agnieszki złożył wniosek w trybie konwencji haskiej w związku z cywilnym uprowadzeniem dzieci, o ich powrót na teren Irlandii, ponieważ na terenie Polski pozostawały nielegalnie – wbrew orzeczeniu sądu irlandzkiego. Polski sąd potwierdził, że tak jest, nakazując dzieciom powrót do Irlandii. Apelacja Agnieszki Savary, prokuratury, Ordo Iuris i Rzecznika Praw Dziecka zostały oddalone.

– Moje dzieci urodziły się w Polsce, mają polskie obywatelstwo, nie mówią po angielsku, młodszy syn był w Irlandii tylko pół roku, a sąd nakazał im powrót na obcą ziemię, do ojca, który nie chce się nimi zajmować – dziwi się Savara.

Kobieta przedstawia dowody na to, że jej synowie uczyli się i byli leczeni w Polsce. Jej mąż twierdzi natomiast, że mieszkali na stałe w Irlandii. Według pani Agnieszki to zwykłe kłamstwo.

„Jeżeli sami podejmujemy dobrowolnie taką decyzję, że zamieszkujemy na terenie innego państwa Unii, to automatycznie oddajemy się pod sądy tego państwa" – tłumaczyła w TVP Wrocław Sylwia Jastrzemska z Sądu Okręgowego we Wrocławiu tuż po ogłoszeniu wyroku.

Pani Agnieszka nie ma wątpliwości, że mężowi dzieci są potrzebne wyłącznie do załatwienia stałego pobytu w Irlandii.

eprasa.pl 3de1d194be



Fot. Bartek Sadowski

Po rozwodzie jego prawna sytuacja ulegnie zmianie. Nie będąc małżonkiem obywatelki Unii Europejskiej, traci prawo pobytu, jednak mając dzieci fizycznie przy sobie, mógłby wciąż pracować i przebywać w Irlandii. I właśnie o to mu chodzi.

– Kiedyś mąż wykrzyczał mi w twarz, że jestem głupią, polską dziwką i już niczego ode mnie nie potrzebuje, bo wszystko sobie załatwił – opowiada Savara. – Przed sądem mąż przyznał, że nie chce łożyć na dzieci, wystąpił nawet o zmniejszenie alimentów. Stwierdził też, że nie chce ich wychowywać. Polski sąd nie dopuścił do sprawy żadnych moich dowodów. Co więcej, powołał biegłą psycholog, która była żoną pełnomocnika męża – żali się Savara.

Pani Agnieszka wykonała jednak postanowienie sądu pierwszej instancji, gdyż groziła jej utrata władzy rodzicielskiej. Wróciła do Irlandii, próbowała znaleźć pracę i wynająć mieszkanie. Niestety nie była w stanie się utrzymać. W trybie art. 577 Kodeksu postępowania cywilnego („Sąd opiekuńczy może zmienić swe postanowienie nawet prawomocne, jeżeli wymaga tego dobro osoby, której postępowanie dotyczy") prokuratura wystąpiła do sądu o zmianę prawomocnego wyroku. W połowie października bieżącego roku miało w tej sprawie zapaść orzeczenie, jednak rozprawa się nie odbyła. Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło swój punkt widzenia. Pani Agnieszka liczy na to, że sąd pójdzie po rozum do głowy i weźmie pod uwagę przede wszystkim dobro jej dzieci.

– Boję się, co będzie dalej. Sąd irlandzki, wydając mojemu mężowi zakaz zbliżania się do mnie, nie miał wątpliwości, że to „przemocowiec", a polski sąd wydaje polskich obywateli na pastwę kogoś takiego, nie biorąc pod uwagę tego, że dzieci mogłyby mieszkać na ulicy, bo w Irlandii panuje kryzys mieszkaniowy. Gdzie tu jest dobro dzieci? W RFN byłoby nie do pomyślenia, by sąd odesłał do innego kraju niemieckie dziecko, które mówi wyłącznie po niemiecku i ma niemieckie obywatelstwo. Wniosek z konwencji haskiej nie byłby nawet rozpoznany – wzdycha pani Agnieszka.

Agnieszkę Savarę w jej walce o dzieci wspiera Ministerstwo Sprawiedliwości. – Zapoznałem się z tą historią, rozmawiałem z panią Savarą. Ta sprawa budzi emocje, a orzeczenie głębokie wątpliwości, dlatego cieszę się, że prokuratura zadziałała – mówi wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik.

Warto przypomnieć, że 27 sierpnia 2018 r. weszła w życie ustawa, która reformuje postępowanie z wnioskami o przekazanie dziecka za granicę. Nowe prawo zakazuje m.in. wydawania dziecka z terytorium Polski do czasu uprawomocnienia się postanowienia sądu. Ustanawia także instrumenty prawne, które pozwolą reagować na odebranie dziecka polskiemu obywatelowi za granicą.

> Pani Agnieszka nie ma wątpliwości, że mężowi dzieci są potrzebne wyłącznie do załatwienia stałego pobytu w Irlandii

– W tej sprawie chodzi tylko o bezpieczeństwo i dobro dzieci. Od 27 sierpnia takimi sprawami zajmują się wyspecjalizowani sędziowie i sądy po odpowiednim przeszkoleniu. Już nie ponad 300 sądów rejonowych, ale 11 sądów okręgowych. Sprawy przestaną trafiać do sędziów, którzy nigdy nie mieli styczności z taką materią i musieli nagle zgłębiać konwencję haską oraz przepisy międzynarodowe – informuje wiceminister Wójcik.

– Moja sądowa trauma trwa już dwa lata. Dwa lata wyjęte z życiorysu. Gdyby nie terapia dla ofiar przemocy, nie wiem, co by się ze mną stało. Starszy syn też potrzebuje pomocy. Boi się. Wszystkim mówi, że jego domek jest w Polsce, tu jest jego rodzina. Sądowi powiedział, gdzie chce mieszkać, ale ten nie wziął jego zdania pod uwagę. Zrobił za to wszystko, by wydalić polskich obywateli do innego kraju – zawiesza głos pani Savara. – Mam nadzieję, że ten koszmar się wreszcie skończy i że to będzie happy end.

eprasa.pl 3de1d194be



W Europie mamy dwa modele systemu ochrony dobra dziecka. Na przykład w Norwegii uznaje się, że dla dziecka najważniejsze jest „optymalne środowisko rozwojowe", czyli możemy odebrać dziecko rodzicom, jeżeli stwierdzimy, że w innym środowisku, np. bogatszym, będzie ono miało lepsze warunki rozwoju

Fot. Mariusz Gaczyński/East News

*Z mecenasem **Jerzym Kwaśniewskim**, prezesem Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, rozmawia Aleksandra Jakubowska*

Wyrok wydany na rodzinę

Norweska matka ucieka do Polski, żeby chronić swoją rodzinę, a polska, która wywozi swoje dzieci z Włoch i przyjeżdża do naszego kraju w tym samym celu, dostaje prawomocny wyrok oddania swojej córki ojcu Marokańczykowi. Coś mi tu zgrzyta, panie prezesie.

Jerzy Kwaśniewski: To są dwie zupełnie różne sprawy. Pierwsza dotyczy systemu prawa krajowego, w tym przypadku norweskiego, który ma dbać o dobro dziecka. Druga wynika z systemu międzynarodowych zobowiązań, dotyczących bardzo wrażliwych i trudnych kwestii związanych z opieką nad dzieckiem rodziców, którzy pochodzą z różnych krajów, a często nawet z różnych kręgów kulturowych. Trudno porównywać sytuację norweskiej matki, która ucieka do Polski przed opresyjnym systemem swojego państwa i wybiera kraj o prawie bardziej korzystnym dla rodziny oraz ją chroniącym, z przypadkiem, kiedy rodzice wywodzący się z dwóch różnych krajów podczas sporu rodzinnego kłócą się o opiekę nad dzieckiem. Te międzynarodowe zobowiązania często – na co zwracamy uwagę od lat – prowadzą do rozstrzygnięć niedobrych zarówno dla tych rodziców, jak i dla samego dziecka.

Do sprawy pani Katarzyny N. z Nysy za chwilę wrócimy, ale porozmawiajmy jeszcze o pani Silje Garmo. Po raz pierwszy w tak dużym zakresie opinia publiczna w Polsce dowiedziała się o działalności norweskiego urzędu do spraw dzieci, czyli Barnevernet. Głośne były przypadki związane z niemieckim urzędem Jugendamt i Ordo Iuris wielokrotnie w takich sprawach interweniował.

eprasa.pl 3de1d194be

Czy to tylko te dwa kraje stosują tak represyjny system odbierania dzieci rodzicom, bez kontroli sądowej? W Polsce to sąd decyduje, czy dziecko zostanie odebrane rodzicom i umieszczone w rodzinie zastępczej albo w domu dziecka.

W Europie mamy dwa modele systemu ochrony dobra dziecka. Jeden narodził się w Skandynawii i jego najbardziej rygorystycznym przykładem jest Norwegia oraz urząd Barnevernet. Został on przyjęty w Niemczech, jest również obecny w Holandii, do pewnego zakresu w Belgii, Anglii i Walii. Państwo przyznaje sobie tam uprawnienia do dyktowania rodzicom modelu wychowawczego i według niego ocenia, czy dobro dziecka jest chronione, a także bardzo głęboko ingeruje w wykonywanie władzy rodzicielskiej. Ten system rezygnuje z pojęcia „władzy rodzicielskiej", zastępując je „rodzicielską odpowiedzialnością", czyli zobowiązaniem rodziców wobec państwa do właściwego wykonywania opieki nad ich dzieckiem.

A drugi model?

Polski, włoski, francuski, hiszpański... Model, w którym pierwszeństwo przyznane jest rodzinie. Państwo wspiera rodzinę tam, gdzie ona rzeczywiście sobie nie radzi. Istnieje bardzo wyraźnie wytyczona granica pomiędzy sferą rodzinnej autonomii a sferą publicznej administracji. Zachowany jest także rozdział pomiędzy administracją publiczną, która wspiera rodzinę świadczeniami, a instytucjami, które interweniują i regulują rodzinne relacje w sposób władczy. W tych krajach – czy to na poziomie konstytucyjnym, czy ustawowym – istnieje gwarancja, że nie zostanie odebrana władza rodzicielska, nie zostaną zerwane relacje rodzinne, czyli prawo do ochrony życia rodzinnego, bez wyroku sądu.

Czyli w krajach stosujących pierwszy model urzędnicy decydują o odebraniu dziecka rodzicom, następnie inni urzędnicy to kontrolują i nic już nie można zrobić?

Odwołanie do sądu jest tam możliwe dopiero na późnym etapie postępowania. Stąd sytuacje takie jak te w sprawach przeciwko Norwegii przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka (ETPC), w których dziecko poza rodziną było już tak długo, że sąd co prawda uznał, iż jego odebranie było bezzasadne, ale ono już swoje więzy emocjonalne z rodzicami zatraciło i teraz byłoby dla niego krzywdą odebranie go nowej, zastępczej rodzinie.

Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy przyjęło ostatnio rezolucję w sprawie Barnevernetu. Ten dokument związany jest z dramatycznymi losami rumuńskiej rodziny Bondariu...

Młodemu mołdawskiemu deputowanemu do Rady Europy, Valeriu Ghiletchiemu, powierzono sporządzenie raportu na temat systemu norweskiego Barnevernet. Miało to swoje korzenie w głośnej sprawie rumuńskiej rodziny Bondariu, imigrantów, którym odebrano pięcioro dzieci, najmłodsze było jeszcze karmione piersią. Dopiero gwałtowna reakcja opinii publicznej na całym świecie wymusiła na władzach norweskich przyznanie, że odebranie tych dzieci było bezzasadne, i muszą one wrócić do rodziców. Niezwłocznie po tym, jak to się stało, państwo Bondariu uciekli z Norwegii i wrócili do Rumunii. Ta sprawa uświadomiła wielu ludziom na całym świecie, jaka jest w Norwegii sytuacja nie tylko imigrantów, lecz również samych Norwegów. Od tego czasu zaczęły się inne głośne sprawy i składano kolejne skargi do ETPC. W ostatnich latach Trybunał przyjął do rozpoznania 10 spraw przeciwko Norwegii. Na tej podstawie Valeriu Ghiletchi sporządził raport opisujący, w jaki sposób powinien wyglądać właściwy system pieczy zastępczej, czyli opieki nad dziećmi, które zostały odebrane rodzicom. Zadał w nim pytania o uzasadnione przesłanki odebrania dzieci, o cel pieczy zastępczej, o czas jej trwania oraz o prawa rozłączonych dzieci i rodziców.

Jakie są główne ustalenia raportu?

Definiuje on, że elementem dobra dziecka, czyli nadrzędnej zasady w prawie międzynarodowym, jest biologiczna więź między dzieckiem a jego rodzicami. Od tej pory władze nie będą już mogły twierdzić, że więzi biologiczne, pokrewieństwo nie mają znaczenia dla dobra dziecka. A przecież były takie orzeczenia, w których władze norweskie stwierdzały, że dla dziecka najważniejsze jest „optymalne środowisko rozwojowe", czyli możemy odebrać dziecko biologicznym rodzicom, jeżeli stwierdzimy, że w innym środowisku, być może bogatszym, a być może bardziej norweskim, będzie ono miało lepsze warunki życia. Po drugie, raport stwierdza, że piecza zastępcza ma na celu przywrócenie dziecka do rodziny, a nie jego odseparowanie i oczekiwanie na wygaśnięcie relacji emocjonalnej z rodzicami po to, aby można było dziecko oddać do adopcji albo na stałe zostawić w rodzinie zastępczej. Zarówno rodzina zastępcza, jak i cały aparat państwa zaangażowany w kryzysową sytuację w rodzinie powinny robić wszystko, żeby rodziców przygotować do ponownego przyjęcia dziecka, pomóc pokonać sytuację kryzysową, ale również utrzymywać w dziecku przywiązanie do jego biologicznych rodziców. Dla Niemców i Norwegów to rzeczywiście nowość – u nich odebranie dziecka to wyrok wydany na rodzinę i zerwanie więzi dziecka z rodzicami. W Norwegii przyznawano przeciętnie możliwość godzinnego kontaktu rodziców z dzieckiem cztery razy rocznie, a w wielu sytuacjach nawet takiego kontaktu nie było. Dosyć szybko dziecko trafiało do kolejnej rodziny, już na stałe, skazane na zapomnienie swoich biologicznych rodziców.

Co jest siłą niemieckiego Jugendamtu i norweskiego Barnevernet? Pieniądze, zaprzyjaźnieni politycy, którzy je chronią? Głos opinii publicznej nie ma żadnego znaczenia?

Norwegowie mówią, że specyficzna kultura skandynawska wyklucza otwartą krytykę władz. Poczucie lojalności wobec administracji publicznej uniemożliwia otwartą dyskusję o patologiach społecznych. A tę krytykę mającą miejsce od kilku lat zawdzięczają imigrantom. W kraju, który liczy sobie 4–5 mln rdzennych Norwegów, mamy w tej chwili 500 tys.

eprasa.pl 3de1d194be

imigrantów, w tym 200 tys. Polaków. I to imigranci uświadomili Norwegom, że dzieje się coś złego, to oni ośmielili norweskie media do piętnowania zła systemu Barnevernet. A system ten jest w połowie prywatnym przedsięwzięciem. Rodziny zastępcze są swoistymi przedsiębiorstwami, które za samą gotowość przyjęcia dzieci dostają 500 tys. koron rocznie, czyli 250 tys. zł, drugie tyle dostają za opiekę nad dwójką dzieci, do tego państwo pokrywa wszystkie rachunki związane z ich utrzymaniem.

Niezły interes.

Tak, to jest wyłączne źródło zarobkowania dla wielu tysięcy Norwegów. Do tego nad tymi rodzinami funkcjonują prywatne spółki, które mają nadzorować system. I na poziomie tych spółek istnieje system patologiczny, bo liczy się wyłącznie czysty, ekonomiczny bilans zysków i strat. W ich interesie leży lobbowanie za pozostawieniem bez zmian systemu Barnevernet, a przede wszystkim odbieranie jak największej liczby dzieci.

Pani Silje Garmo, której Barnevernet oznajmił już w czasie ciąży, że odbierze jej dziecko, czeka w Polsce na azyl.

Szef Urzędu ds. Cudzoziemców wydał korzystną decyzję, MSZ – negatywną. Uznano, że nie jest w interesie Polski udzielenie takiej pomocy azylowej. Przesłanki tej decyzji były trudne do zaakceptowania. Dotyczyły m.in. rzekomego zagrożenia dla interesów spółek skarbu państwa współpracujących z podmiotami norweskimi. Złożyliśmy odwołanie od tej decyzji, niestety wskutek specyficznej struktury postępowania administracyjnego będzie to rozpatrywał również minister spraw zagranicznych.

Wróćmy do sprawy Katarzyny N. z Nysy, która uciekła z Włoch, od partnera Marokańczyka z ich ośmioletnią córką, powołując się na to, że czuła się zagrożona, mężczyzna stosował przemoc fizyczną i psychiczną wobec niej oraz dziecka. W Polsce Marokańczyk odwołał się do polskiego sądu i w wyniku prawomocnego wyroku w ciągu 14 dni matka miała wydać córkę ojcu. Jak to się stało, jeżeli już we Włoszech sąd zdecydował, że córka ma mieszkać z matką, a ojciec ma widywać dziecko pod nadzorem? Coś złego musiało się dziać w tej rodzinie. Ale polscy biegli stwierdzili, że dziecko kocha ojca i ma z nim więź emocjonalną. Sąd powołał się na konwencję haską.

Stosowanie konwencji haskiej od lat budzi ostre emocje i mocne głosy sprzeciwu. Zasada konwencji z 1980 r. stanowi, że jeżeli dziecko zostanie przez jedno z rodziców wywiezione za granicę wbrew woli drugiego rodzica posiadającego władzę rodzicielską, wówczas sąd państwa, do którego ten rodzic z dzieckiem pojechał, ma je zwrócić opuszczonemu rodzicowi. Miało to usprawnić międzynarodowe procedury dotyczące dzieci porywanych przez rodziców. Wprowadzono jednak do konwencji pewien wentyl bezpieczeństwa w postaci wskazania, że jeżeli ta zasada sprzeciwiałaby się dobru dziecka, sąd może odstąpić od wydania dziecka za granicę. Opinie biegłych nie wykazały w tym przypadku, by powrót córki do ojca stał w sprzeczności z dobrem dziecka.

> Biegli często pomijają w ocenie dobra dziecka takie fundamentalne kwestie jak prawo do tożsamości narodowej, kultywowania tradycji, kontaktu z językiem ojczystym

Biegli wszechstronnie to zbadali?

Trudno powiedzieć, czy zostały uwzględnione wszelkie elementy dobra dziecka. Od lat obserwuję, że biegli często pomijają takie fundamentalne kwestie jak prawo do tożsamości narodowej, kontaktu z językiem ojczystym, z krewnymi, prawo do kultywowania obyczajów i tradycji narodowej. Biegli często skupiają się jedynie na biologicznych aspektach dobra dziecka, stwierdzając, że nie udowodniono, by ojciec dziecko bił, molestował seksualnie, a zatem powinno wrócić, ponieważ jego bezpieczeństwo nie jest zagrożone. Tymczasem konwencja nie mówi o bezpieczeństwie, mówi o dobru dziecka, czyli bardzo szerokim pojęciu.

Katarzyna N. musi się pogodzić z tym werdyktem?

Istnieje możliwość odwołania się w trybie skargi kasacyjnej do Sądu Najwyższego i zawieszenia w trybie zabezpieczenia decyzji o wydaniu dziecka. Wiem też, że również minister sprawiedliwości rozważa podjęcie działań w tym zakresie. Jest nadzieja, że jeżeli ta sprawa nie została dogłębnie rozpoznana, to sąd nakaże ponowne postępowanie.

Powiedział pan, że dziecko ma prawo do zachowania swojej tożsamości narodowej, kulturowej, religijnej, ale to działa jak obosieczny miecz – matka Polka, ojciec Marokańczyk. A więc nasuwa się pytanie: do której tożsamości narodowej, religii, do którego języka? Kto decyduje o tym, jak dziecko ma być wychowywane?

Zasadniczo powinno to być porozumienie pomiędzy rodzicami. Jeżeli nie ma takiego porozumienia, jest tylko jedna droga – sąd, który musi wówczas rozstrzygnąć, w jaki sposób umożliwić dziecku dostęp do zarówno jednej, jak i drugiej tożsamości, języka, religii. W przypadku takich związków międzynarodowych, międzykulturowych wychodzimy z założenia, że nie można odseparować dziecka od żadnego z rodziców, ponieważ dla jego właściwego rozwoju przede wszystkim jest potrzebny kontakt z obojgiem. W pewnym momencie dorośnie do życiowych wyborów i będzie musiało podjąć jakieś decyzje, a wtedy powinno mieć wzorce przekazane zarówno przez matkę, jak i ojca.

eprasa.pl 3de1d194be



Prawdziwe światło jest gdzie indziej

Rola Cezarego Pazury w serialu „Ślepnąc od świateł" to naprawdę mistrzostwo świata. Podstarzały showman w jego wydaniu budzi w widzach skrajne emocje. – Człowiek często ślepnie od świateł, gdy błądzi w mroku. I nie widzi tego, co ważne w realnym świetle. Ja nigdy nie straciłem kontaktu z rzeczywistością – mówi nam aktor

Fot. Mat. prasowe HBO (x3)

eprasa.pl 3de1d194be



Z aktorem Cezarym Pazurą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy zdarzyło się panu „oślepnąć od świateł”?

Cezary Pazura: Odczytując dosłownie to pytanie, odpowiadam: tak, wielokrotnie bywałem oślepiany. Chociażby na drodze, kiedy prowadziłem auto, a prawo jazdy mam od 40 lat. Ale oślepiały mnie też światła na filmowym planie. Od początku miałem z tym problemy, bo kiedyś używano tzw. lamp wyładowczych, nawet w dzień się sceny doświetlało i była jeszcze blenda od dołu, a jak pani widzi, mam oczy głęboko osadzone, więc żeby było je dobrze widać, dostawałem dwa razy więcej światła niż inni. To było naprawdę bolesne. I skutki czuję po dziś dzień.

Oślepienie rozumiane w przenośni też tak długofalowo działa?

Ooo, bywa, że znacznie dłużej.

Od pewnego momentu swojej kariery stanął pan na estradzie. W pełnym, ostrym świetle...

Tu warto powiedzieć, że w teatrze światła zamykają nas na scenie, a z estrady publiczność widać. Ja muszę ją widzieć. Żeby mieć kontakt, bo to jest prawda danego wieczoru. Więc gdy światło za mocno „dawało mi po oczach”, prosiłem o przerwę i oświetlenie widowni. Kontakt musi być.

Showman grany przez pana w serialu „Ślepnąc od świateł”, który od 27 października możemy oglądać na HBO (i HBO Go), nieźle porozumiewa się z publicznością, ale czy jednocześnie nie traci kontaktu z rzeczywistością?

No właśnie... człowiek często ślepnie od świateł, gdy błądzi w mroku. I nie widzi tego, co ważne w realnym świetle, świetle dnia. Czuje się oślepiony. Oślepiony życiem, które jest zupełnie inne, niż się w mroku wydawało. I tu jest właśnie taka parabola: między ciemnością a światłem, między dobrem a złem. Łamiemy sobie nad tym głowę, od kiedy istniejemy na świecie.

Pana bohater – „gwiazda show-bizu”, jak się teraz mówi – wydaje się pozostawać cały czas na scenie, w świetle jupiterów.

Ale to światło pozorne, o tym właśnie mówimy. Złota moneta też odbija światło i często za tą monetą biegniemy, a światło prawdziwe jest gdzie indziej.

Pan to już wie? Czy także dlatego zamiast dać swojemu bohaterowi trochę pazura Pazury, wybrał pan inny obiekt do naśladowania?

Wiadomo, że aktor gra. I jego rola może się widzom z kimś kojarzyć, ale ja nie czerpałem z nikogo. Chociaż słyszałem, jak ludzie odczytywali tę postać już na etapie książki Jakuba Żulczyka (według której powstał serial). Kiedy wspomniałem Kubie Wojewódzkiemu, że gram Mariusza, stwierdził: „Wiem, mówili mi, że to ja. Ale nie, nie. To nie ja”.

O naszym odbiorze często decyduje wyobrażenie. W tym przypadku o kimś, kto ma świat u stóp, a przynajmniej tak mu się wydaje. Pod każdą szerokością geograficzną są medialne postaci, które sądzą, że wszystko mogą. Wirtualna rzeczywistość może odebrać rozsądek.

30 lat temu po raz pierwszy mocno oświetliły pana światła serialu „Pogranicze w ogniu”. Było potem sporo okazji na utratę rozsądku?

Szaleństwo tak naprawdę zaczęło się od „Krolla”. Na szczęście rosnąca popularność nie odcięła mnie od wcześniejszych relacji: z bliskimi, przyjaciółmi; nie zabrała mi normalności. Natomiast problemem, z którym borykam się od wielu lat, jest wrzucanie wszystkiego do jednego, celebryckiego wora. Chociaż w moim słowniku hasło „celebryta” nie występuje. Skończyłem Szkołę Filmową, wydział aktorski, w Łodzi. Uczono nas tam rzemiosła. Wchodziliśmy w zawód, poznawaliśmy go w relacji mistrz–uczeń. Potem zdobytą wiedzę, umiejętności i talent weryfikował rynek. Tymczasem teraz łączy się i tych, którzy są znani z tego, że są znani, i tych, którzy osiągają coś dzięki pracy. Z racji wieku mogę powiedzieć: kiedyś tego nie było.

I było panu lepiej?

Witkacy mawiał, że „artysta bez powodzenia jest anachronizmem nie do zniesienia”. Chyba każdy aktor chce być popularny. I mnie też, kiedy za-

eprasa.pl 3de1d194be



czałem być rozpoznawalny, nawet to ucieszyło, ale nie straciłem kontaktu z rzeczywistością.

I nadąża pan za zmianami, jakie w tej rzeczywistości zachodzą – kręci (się) pan w sieci?

Stało się to trochę przypadkiem, ale przypadki trzeba wykorzystywać. Już wcześniej zajmowałem dużo miejsca w internecie. Można tu było znaleźć np. moje kabaretowe monologi. Młodsi koledzy podpowiedzieli mi: „Trzeba z tym zrobić porządek. Skoro ma pan do tych materiałów prawo autorskie, powinny się one znaleźć na pana kanale, a nie gdzie indziej".

Potrafi pan słuchać uwag młodych ludzi?

Rozumiem ich punkt widzenia. Mam młodą żonę. I małe dzieci. Oczywiście perspektywa zmienia się z wiekiem, ale nie musi zamykać relacji z tymi, którzy mają mniej doświadczenia. Jak byłem chłopakiem, matka nienawidziła moich długich włosów i marzenia, aby być beatlesem, bo to przecież „szarpidruty, które krzyczą »Yeah, Yeah, Yeah«".

Pan jest bardziej otwartym rodzicem?

Staram się. Chociaż łapię się czasem na tym: „Ja wiem lepiej, to ci powiem", ale: „Nie, nie, tata. Nie wiesz lepiej. Wiesz inaczej". I teraz kto ma rację? Gdy dochodzi do takiej konfrontacji, dobrze jest sobie przypomnieć, że dzisiejsze dzieci, młodzież za chwilę – dłuższą lub krótszą, bo ten czas niesamowicie pędzi – będą dorośli. I w tę dorosłość wniosą swoje nawyki, umiejętności, swoje narzędzia. Myśmy tych narzędzi nie mieli. A YouTube jest w tej chwili dla mnie wybawieniem. To pomost, który mnie łączy z kolejnymi pokoleniami. Prawda jest taka, że dziś młodzi ludzie prawie wcale nie oglądają telewizji; telewizyjne produkcje: seriale, programy, które ich interesują, wyszukują w sieci. I ja też tam jestem.

Czyli nadąża pan za technologią?

Staram się.

A jakie ponadczasowe zasady i „narzędzia" przydatne w życiu przekazuje pan swoim dzieciom?

Myślę, że dziś jest to nieczęste, a więc i oryginalne: normalność. Chciałbym, żeby moje dzieci były normalne, potrafiły oddzielić dobro od zła; żeby wiedziały, że są granice wolności, bo wolność bez granic to anarchia.

Ale też: „Moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka"?

Właśnie.

A co z byciem dziećmi „tego aktora"?

Staram się, żeby nie chciały być sławne dla samej sławy; żeby wiedziały, że trzeba samemu mieć coś do powiedzenia. Do tego przydaje się wykształcenie. I ciekawość świata. I otwartość na innych ludzi, czyli też umiejętność komunikowania się, a więc unikania agresji. Dobrze, żeby nie były ekspansywne, ale też nie mogą sobie dać wejść na głowę. I przede wszystkim, jako ojciec, ostrzegę je przed narkotykami i innymi formami uzależnień.

Serial „Ślepnąc od świateł" mógłby się tu przydać jako materiał poglądowy, tyle że dzieci trochę za małe?

Najstarsza córka ma już 29 lat, sama o sobie decyduje, a młodsze rzeczywiście są jeszcze za małe.

Nie bez powodu próbowałam w tej rozmowie namówić pana na spojrzenie z obecnej perspektywy na to, co się działo wcześniej. Jakie refleksje wywołały tegoroczne premiery: „Pitbull. Ostatni pies" (film „Psy" miał premierę 26 lat temu), a teraz „7 uczuć"?

Do Marka Koterskiego wróciłem tylko na epizod [wcześniej aktor dwukrotnie wcielił się w głównego bohatera, Adasia Miauczyńskiego, w filmach „Nic śmiesznego" z 1995 r. i „Ajlawju" z 1999 r. – przyp. red.], ale z radością, bo to za każdym razem spotkanie z niezwykłym artystą.

A powroty do Pasikowskiego?

Zawsze jestem na nie gotowy. Na przyszły rok Władek zaplanował „Psy 3".

Będzie dla pana rola?

A jakże. Dla mnie i dla Bogusia też.



Fot. Mat. prasowe HBO (x3)

eprasa.pl 3de1d194be



Premierowe odcinki „Sługi narodu” telewizja wPolsce.pl emituje we wtorki o godz. 22.00. Powtórki można obejrzeć w każdą sobotę o godz. 16.00 lub w niedzielę o godz. 21.00.

Hitowy serial „Sługa narodu” na antenie telewizji wPolsce.pl

Co się stanie, gdy prezydentem zostanie zwykły człowiek z narodu? Zupełnie nowy, uczciwy i wykształcony, „spoza systemu”, nieuwikłany w żadne układy ani aktualne gierki polityczne. Przywódca, który mieszka w zwykłym bloku, podróżuje bez zastępów ochroniarzy i dojeżdża do pracy nie limuzyną w kolumnie rządowej, tylko tramwajem. Prezydent, który zadowala się skromną pensją i czasem pożycza od kolegi pieniądze do kolejnej wypłaty. Człowiek, który wcale nie dążył do władzy, mimo to sumiennie wykonuje obowiązki, którymi niespodziewanie obarczył go naród.

Taki oto eksperyment polityczny jest tematem filmu „Sługa narodu”, który od 13 listopada można oglądać na antenie telewizji wPolsce.pl. To ukraiński serial komediowy opowiadający o nauczycielu, który nieoczekiwanie wygrywa wybory prezydenckie po tym, jak w nagraniu zamieszczonym w internecie bezwzględnie skrytykował korupcję w obozie władzy. Po objęciu stanowiska stara się nie korzystać z żadnych przywilejów i żyć jak dotąd, jednocześnie tocząc ostrą walkę ze skorumpowanymi politykami i urzędnikami. W tym kontekście wymowne znaczenie ma tytuł serialu. Otóż zdaniem filmowego prezydenta Wasyla Hołoborodźki to władza ma usługiwać narodowi, a nie odwrotnie.

„Sługa narodu” jest swoistym ucieleśnieniem „ukrainian dream”, spełnieniem marzenia, które w głębi serca żywi większość Ukraińców i którego jak dotąd nie udało się ziścić w trakcie dwóch Majdanów. Film jest fantazją o ostatecznym przewróceniu do góry nogami całego establishmentu, który od ponad 25 lat po rozpadzie ZSRS siedzi na karku społeczeństwa i wysysa z niego wszystkie soki. Jednocześnie ukazuje dwulicowość, ambiwalencję postawy wielu Ukraińców, gdyż ci, co wczoraj ostro krytykowali rządzących za korupcję i nepotyzm, często ulegają tej samej pokusie, gdy tylko władza trafia do ich rąk...

W końcu sam główny bohater naraża się na niezrozumienie zarówno ze strony własnej rodziny, jak i suwerena, który go wybrał. Dzieje się tak w myśl zasady, że urzeczywistniając jakieś śmiałe pragnienie, nierzadko jesteśmy niezadowoleni czy wręcz przerażeni jego wynikami i chcemy, aby znowu było „po staremu”.

Serial zadebiutował na Ukrainie jesienią 2015 r. i niebawem stał się najbardziej oglądaną tego typu produkcją w tym kraju. Dotychczas powstały dwa sezony liczące po 24 odcinki. Serial doczekał się już wielu premier w innych krajach. W Polsce jest emitowany po raz pierwszy, właśnie na antenie telewizji wPolsce.pl. To pierwsza produkcja fabularna w ramówce stacji.

Satyra polityczna „Sługa narodu” będzie interesująca dla polskiego widza z kilku powodów. Po pierwsze, pokazuje bizantyjskie kulisy polityki, która dominuje tuż za miedzą i której tak do końca nigdy nie potrafimy zrozumieć. Po drugie, Polacy uwielbiają gatunek political fiction, jednak w ostatnich latach nie rozpieszczano nas rodzimymi produkcjami z tego gatunku, z wyjątkiem oczywiście „Ucha prezesa”.

Mimo licznych zmian w realiach społeczno-politycznych, które zaszły w Polsce w ostatnich latach, wielu Polaków zapewne wciąż żywi podobne tęsknoty: że oto zwykły Kowalski dochodzi do władzy i przewraca stołki, aby w końcu zaprowadzić ład społeczny, który uszczęśliwi wszystkich bez wyjątku. „Sługa narodu” jest okazją do utożsamienia się Kowalskiego z Hołoborodźką. Dobitnie ukazuje wszystkie przeciwności, pokusy i rozterki moralne, które spotkają zwykłego zjadacza chleba na tej drodze. A przyznać należy, że – mimo osadzenia fabuły w konkretnych realiach – wiele z tych problemów ma charakter uniwersalny i ogólnoludzki.

Aleh Barcewicz

52/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be

Geniusz jazzowych skrzypiec



Adam Ciesielski

Bohaterem płyty z radiowych archiwów jest Zbigniew Seifert (1946–1979), genialny skrzypek, saksofonista i kompozytor jazzowy, którego światową karierę przerwała przedwczesna śmierć.

Absolwent krakowskiej akademii muzycznej w klasie skrzypiec jazzem zainteresował się pod wrażeniem płyt Johna Coltrane'a. Wzorem swego idola wybrał saksofon. Jako saksofonistę do swego freejazzowego kwintetu zaangażował go Tomasz Stańko. I on właśnie miał potem zachęcić Seiferta, by wrócił do swego pierwszego instrumentu. Efekt był rewelacyjny, bo skrzypce Zbyszka – przez oryginalne połączenie techniki wiolinistycznej z saksofonową – brzmiały po coltrane'owsku.

W 1973 r. Seifert osiadł w RFN, koncertując i nagrywając z czołówką europejską. Dwie jego solowe płyty: „Zbigniew Seifert" i „Passion", wydał amerykański Capitol, oddając do dyspozycji Polaka takich tuzów jazzu jak bracia Michael i Randy Breckerowie, Jack DeJohnette, John Scofield, Eddie Gomez czy Naná Vasconcelos.



Zbigniew Seifert, „Polish Radio Archives vol. 32", wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Ostatnie trzy lata życia artysty to wyścig ze śmiercią po zdiagnozowaniu nowotworu. W listopadzie 1978 r., w przededniu wylotu do USA na nagrania, Zbyszek przyjechał do Krakowa, by sprawdzić swą dyspozycję na koncertach ze znajomymi muzykami. Część materiału, zarejestrowana w klubie Pod Jaszczurami, znalazła się na albumie PolJazzu „Kilimanjaro". Z tej sesji pochodzi też repertuar wydany obecnie przez Polskie Radio. Wrażenie robią m.in. „Spring On The Farm", „Quo Vadis", „Coral" zagrane w skrzykniętym ad hoc kwintecie. Seifert fenomenalnie improwizuje, mając partnerów w Jarku Śmietanie, Zbyszku Wegehaupcie, Januszu Grzywaczu i Mieczysławie Górce. Forma wróżyła szczyt powodzenia, ale los chciał inaczej: 15 lutego 1979 r. 33-letni solista umiera po kolejnej operacji w amerykańskim szpitalu.

REKLAMA

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

TKH

WSTĘP WOLNY

STULECIE · ODZYSKANIA · NIEPODLEGŁOŚCI

1918 · 2018

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

29 LISTOPADA – 2 GRUDNIA 2018 R. GODZ. 10:00-18:00

Organizatorzy

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

NARODOWY INSTYTUT MUZEALNICTWA I OCHRONY ZBIORÓW

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Stowarzyszenie Muzealników Polskich Oddział Mazowiecki

PODZIĘKOWANIE WYDAWCÓW KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 3de1d194be

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Rittner? Fellini? Englert?

W sekwencji przedstawień Teatru Telewizji na stulecie niepodległości w ten poniedziałek zobaczymy „Lato" Tadeusza Rittnera w reżyserii Jana Englerta. Na rocznicę nacechowaną zbiorowymi emocjami on sięgnął po komedię o życiu prywatnym ludzi około roku 1912. To klasyka, ale rozliczenia z narodowymi mitami Englert trochę zamknął swoim „Kordianem" z Teatru Narodowego. Dziś lubi się przypatrywać z wyżyn doświadczenia życiowego indywidualnym bohaterom.

Zarazem tym, którzy wierzą w egocentryczny teatr reżysera, dedykuje teatr ciekawej historii. Nie przenosi niczego w czasie, chciał Rittner pokazać austro-węgierski kurort, to go mamy. Tylko co Englert z tym światem umie zrobić! Oto kreuje fantazyjne sceny z werwą Felliniego bawiącego się uzdrowiskiem w „Osiem i pół", w czym pomagają niby staroświecka, a przecież groteskowa muzyka Piotra Mossa i świetne dynamiczne zdjęcia Piotra Wojtowicza. Czy to tylko wpływ Felliniego? A może i duch Paola Sorrentino? Sentyment Englerta do kreacyjnego włoskiego kina wyczuje każdy, kto widział jego inscenizacje. Mamy Italię w Polsce, kręconą koło mazowieckiego Zakroczymia.

Ten styl ujawnia, jak niepokojąco nowoczesny jest stary Rittner. Trzeba tylko daru obserwacji i prowadzenia aktorów. Niedawno Teatr Telewizji poczynił podobne obserwacje na temat Zapolskiej.

Rittner to trochę polski Czechow, bardziej komediowo podkręcony. Jak wiadomo, rosyjski mistrz psychologicznych szarad chciał, aby go widziano jako komediopisarza. Ale jego zamknięte kręgi męczących się z sobą postaci bardziej przygnębiały, niż bawiły. Tu wszystko jest ironiczne, wartkie, oparte na ludzkich spięciach lekkich jak pianka. Choć ci ludzie też mają problem z własnym życiem. Finał zostawia nadzieję, ale większość z nich nie ma się z czego cieszyć. A może wszyscy?

To ciekawe, jak wyglądała w tamtym czasie prawdziwa obyczajowość? Na ile grupa ludzi skupiona w luksusowym sanatorium zachowywała wierność zasadom, a na ile wikłała się w plątaninę romansów, zazdrości, trójkątów, prowizorycznych, bo wszyscy się rozjadą. Rittner uważa, że to drugie, choć uruchamia tę łamigłówkę, pamiętając o ograniczeniach epoki. Ale one są ledwie cienkim szronem pokrywającym ustawiczne napięcie.

Młody chłopak kocha się w doktorowej, a ona w nim. Co będzie, kiedy jej mąż, lekarz, wmówi mu śmiertelną chorobę? Nic tu nie jest takie, jak się wydaje, a udają wszyscy. Do samego końca.

I wszyscy aktorzy to grają na dwa tony równocześnie. To normalne role psychologiczne, ale z leciutkim przerysowaniem stosownym do tych zabawnych ujęć i muzyki. Mistrzostwo świata Dominiki Kluźniak, Grzegorza Małeckiego czy Ewy Wiśniewskiej nas nie dziwi. Dostrzeżemy jednak w równej mierze kunszt aktorów nieco mniej wykorzystanych: Anny Gryszkówny, Grzegorza Kwietnia, Agnieszki Suchory, ba, nie zawsze docenianej żony Englerta Beaty Ścibakówny. Wystarczą same ich słowne



fechtunki. Ale w tej galerii postaci każda ma swój moment, kilka, gdzie poza zdawkową zabawność wykracza.

26-letni Marcin Franc okazuje się ich równorzędnym partnerem. Że będzie nią jego rówieśnica Michalina Łabacz, to nie dziwi – po „Wołyniu" czy telewizyjnych „Spiskowcach", też Englerta. Na koniec zostawiłem jego samego jako Doktora. Jego znużony wzrok i często milcząca obecność to podsumowanie tej zabawy na serio. On jest i przedmiotem, i kreatorem słodko-gorzkiej opowiastki o kończącym się lecie.

Piotr Zaremba

13/1118/F

NOWY PASZPORT NA 100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOSCI

Polski paszport to nowoczesny dokument spełniający najwyższe standardy bezpieczeństwa, który nawiązuje do polskiej tradycji i patriotyzmu.

Grafiki widoczne na kartach dokumentu prezentują postaci, miejsca i wydarzenia związane z odzyskaniem przez Polskę niepodległości w 1918 r. oraz pierwszymi latami jej istnienia jako suwerennego kraju.





Safel® – zabezpieczenie okienkowe z wykorzystaniem elementów optycznie zmiennych oraz personalizacji laserowej





Safel® – widok w świetle przechodzącym



Tłoczenie



Mikrodruk – tłoczenie

Wnioskujący o wydanie paszportu po 5 listopada 2018 r. otrzymają dokument według nowego wzoru.

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH
ROK ZAŁOŻENIA 1919

eprasa.pl 3de1d194be



Fot. Andrzej Wencel

Młody Ziuk i energia młodych



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W ekspresowym tempie na 100-lecie odzyskania niepodległości udało się zrealizować specjalny odcinek. Zatytułowano go „Ziuk. Młody Piłsudski". Emitowany dwukrotnie 11 listopada w TVP1 zgromadził w sumie blisko 2,5 mln widzów. Premiera całego 13-odcinkowego serialu odbędzie się najprawdopodobniej jesienią 2019 r. Tytuł jest wciąż roboczy. Pasuje do połączonych w jedno dwóch pierwszych odcinków, które przypominały wydarzenia z życia młodego Józefa Piłsudskiego, ale będą też w tej produkcji (zdjęcia trwają) sceny pokazujące bohatera w sile wieku.

SERIALOWA NARRACJA

Akcja rozpoczyna się w 1887 r., kiedy 19-letni Ziuk zostaje aresztowany pod zarzutem udziału w spisku na życie cara Aleksandra II, jednak scenariusz nawiązuje też do wydarzeń wcześniejszych, począwszy od roku 1881. Finał, w którym dojdzie do napadu na pociąg pod Bezdanami, to już rok 1908. Piłsudski miał wtedy 40 lat.

– Serialowa narracja jest inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, ale między pierwszym a ostatnim odcinkiem sporo jest wątków fikcyjnych. Mają budować napięcie, przyciągać widza – komentuje Jarosław Sokół, scenarzysta (razem z Ewą Wencel).

Prawda historyczna to trzon serialowej opowieści, ale może też zwodzić na manowce. Scenarzysta przypomina, że napad na rosyjski pociąg pocztowy (przewożący pieniądze z Kongresówki do Sankt Petersburga) był jedynym działaniem zbrojnym, w którym Piłsudski uczestniczył osobiście. Głównie zajmował się organizacją pracy, kolportażem i drukowaniem podziemnej gazety „Robotnik", a to raczej nie nakręci akcji.

Z MŁODĄ ENERGIĄ

Tymczasem serial przeznaczony jest przede wszystkim dla młodych odbiorców. – Od emisji odcinka specjalnego docierają do nas bardzo pozytywne głosy właśnie od ludzi młodych. A do takich chcieliśmy głównie trafić – mówi scenarzysta.

Powstający serial (zdjęcia potrwają do połowy kwietnia) powinien być, według niego, zrozumiały – z racji zawartości, ale też formy, stylu – nie tylko dla człowieka, który interesuje się historią i Piłsudskim, lecz także dla tych, którzy produkcji historycznych nie oglądają, a o Marszałku wiedzą czasem niewiele.

Stąd zapowiadana przez twórców, odmienna od wcześniejszych produkcji (nawet realizowanych współcześnie „Dróg wolności" czy niedawnego „Czasu honoru"), nowocześniejsza forma inscenizowania, bardziej dynamiczne zdjęcia i taki też rytm opowiadania prowadzonego przez reżysera Jarosława Marszewskiego.

„Ziuk..." to w zamierzeniu „serial nowej generacji, dla nowej generacji i przez nową generację realizowany". – Większość ludzi związanych z tą produkcją ma ok. 30 lat (także grający główną rolę Grzegorz Otrębski, rocznik 1989). I tę młodą energię czuje się na każdym etapie – podkreśla Jarosław Sokół.

KLUCZOWE WĄTKI

Nie możemy jednak zapominać, dlaczego serial powstaje, czyją postać ma przybliżyć. Scenarzysta przywołuje zdarzenia i wątki, które posłużyły do zbudowania historycznej konstrukcji. Pierwszy odcinek przybliża działalność spiskową. Oskarżenie o udział w zamachu na cara (choć nie był w niego bezpośrednio zaangażowany) niesie poważne konsekwencje dla życia bohatera. Drugi odcinek pokazuje wywózkę na Syberię. Trzeci, w całości syberyjski, wypełni gorące uczucie do Leonardy, które zaważyło na życiu emocjonalnym bohatera. W kolejnych etapach scenariusza nie zabraknie też związku z pierwszą żoną, Marią. I znajdzie się miejsce na kształtujący późniejsze reakcje bohatera pobyt w szpitalu psychiatrycznym oraz ucieczkę z niego.

Dziesięć następnych odcinków rozgrywać się będzie w scenerii miejskiej: po powrocie Piłsudskiego do rodzinnego Wilna, a potem w Łodzi i Warszawie. Tłem jednego odcinka będzie Japonia, do której, już jako dojrzały mężczyzna, wyrusza w poszukiwaniu pomocy militarnej (co niezwykłe, spotyka tu Romana Dmowskiego). W finale akcja wróci na Wileńszczyznę i do zamachu pod Bezdanami.

– To cezura w życiu Piłsudskiego. Kończy jego bliski związek z PPS – komentuje Sokół. – Od tej pory zaczyna się budowanie siły zbrojnej, Związku Walki Czynnej, ale to już historia poza naszym serialem. Przynajmniej w pierwszym sezonie.

45/0918/F

eprasa.pl 3de1d194be

accenture

LEADING IN THE NEW



© 2018 Accenture. All rights reserved.

eprasa.pl 3de1d194be

Mizantropie czarne i złote



Dwóch autorów już nieobecnych, dwóch autorów legendy, dwóch twardzieli o półtora pokolenia późniejszych od Hemingwaya i Hłaski

Wojciech Stanisławski

Dwa zbiory tekstów, które można czytać jako ilustrację „społecznych przemian literatury", jako próby prozy, ale też jako zapis porażek w siłowaniu się z rozpaczą. Najpierw wypada napisać o Vonnegucie – bo już sama odwaga wydawcy, który rzucił na rynek niemal tysiącstronicowy tom, zasługuje na uznanie. Dzięki temu wraca autor dla wielu legendarny, bardzo ważny w Stanach lat 70. i Polsce lat 80., cały czas obecny w licznych, paperbackowych wydaniach mniejszych oficyn, ale nieczytany już raczej przez skłóconych z życiem nastolatków.

„Opowiadania wszystkie" dokumentują sukcesy i niepowodzenia Vonneguta, jakiego nie znamy: walczącego o uznanie pisarza debiutanta, utrzymującego liczną rodzinę dzięki zamieszczeniu możliwie wielu „short stories" w możliwie wielu czasopismach ilustrowanych dla wykształconej klasy średniej. To Vonnegut mniej oniryczny, mniej groteskowy i mniej mroczny niż z „Kociej kołyski", „Pianoli" czy „Sinobrodego": to historie z życia studentów, niższych rangą urzędników, młodych małżeństw (i kosmonautów), które czasami kończą się nawet happy endem, gdzie można sobie pozwolić na międzyludzkie ciepło, czarny humor, a przynajmniej melancholię. Zarazem spotykamy tam motywy, żarty i bohaterów, którzy pojawią się w jego najsłynniejszych powieściach, ot choćby Francine Pefko ze „Śniadania mistrzów", w „Opowiadaniach..." jeszcze jako promienna, stawiająca pierwsze kroki w nowej pracy osiemnastolatka: to taki niezamierzony, gorzki żart. Takich intertekstualnych sytuacji, postaci błądzących w poszukiwaniu autora jest więcej: samo opublikowanie przez kilkoro zaprzysięgłych wielbicieli twórczości Vonneguta tych niemal stu opowiadań zapomnianych przez dekady, wydobytych z zakurzonych zszywek pism, a czasem z archiwów jest jak epizod z życia najsłynniejszej postaci stworzonej przez pisarza – Kilgore'a Trouta, zapoznanego autora fantastyki naukowej, na którego talencie poznał się jeden sfiksowany milioner.

„Opowiadania..." to przy okazji świetny dokument, obraz Stanów Zjednoczonych na chwilę przed zapaścią lat 60., przed Wietnamem i przed Woodstockiem; tłumiących namiętności, z ciasno zawiązanym krawatem, nieznośnie ucukrowanych i niedopuszczających odstępstw – a przecież wspominanych dziś z nostalgią jako obszar, gdzie ład społeczny osiągano nie tylko za sprawą (jak chcieliby dzisiejsi jego krytycy) konformizmu i paternalizmu, lecz także gotowości do wzięcia odpowiedzialności za swoje życie.

To zabawne, jak pod wpływem tego zbioru, ale i upływu czasu, zmienia się nasze postrzeganie Vonneguta. Przed laty uważany był niemal za „przeklętego poetę": obrażonego na Boga i odrzucającego Go w niezgodzie na powszechność cierpienia, stale powracającego do pytań o sens samobójczej śmierci matki i zagłady Drezna w nalocie dywanowym (był naocznym świadkiem obu tych wydarzeń, pierwszego – jako młody żołnierz na kilkudniowej przepustce z frontu, drugiego – kilka miesięcy później, jako jeniec w niemieckiej niewoli), o trwanie, cierpienie i śmierć ludzi oraz zwierząt. W prozie tworzył (także dzięki narzędziom fantastyki naukowej, po które sięgał z wielkopańskim wdziękiem) niezrównane obrazy absurdu egzystencji (dość wspomnieć spieszonego w swojej kosmicznej podróży, czekającego przez eony na część zamienną rakiety Tralfamadorczyka w „Syrenach z Tytana"), szydził z wolnej woli, sztandarów i wzniosłych uczuć, a w życiu prywatnym znieczulał gardło ginem.

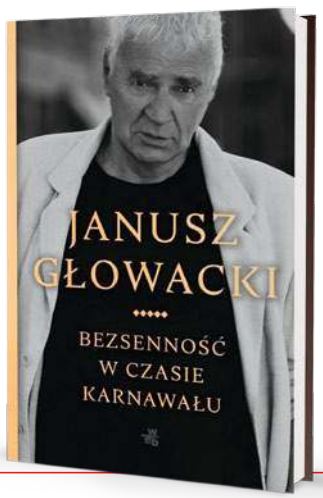
eprasa.pl 3de1d194be

ort ekstremalny

Czytany po latach – równolegle z „Opowiadaniami...” sięgnąłem po kilka opublikowanych z nim wywiadów i po „Niedzielę Palmową” – Vonnegut wydaje się zupełnie inny: łatwiej postawić go obok Marka Twaina niż obok Charlesa Bukowskiego. Jego bohaterowie – często przegrani, śmieszni, niedostrzegający sensu swoich działań – starają się jednak zrobić to, co robić należy (jak sam Vonnegut, który adoptował troje dzieci swojego zmarłego brata): znużeni, spoceni w drelichu mechanika czy sortach z demobilu mali stoicy z Ohio lub Schenectady. Po samym pisarzu, dawniej szokującym w Stanach swoim ateizmem czy niechęcią do kolejnych prezydentów, pozostają odwołania do Kazania na Górze. Czytając jego epitafia dla romansów toczących się w fikcyjnym Ilium czy prawdziwym Lexington, trudno nie wspomnieć deklaracji poety z innego czasu, Oscara Milosza, wyznającego, że kocha ludzi „starą miłością, zużytą przez samotność, litość i gniew”.

Chciałem znaleźć taki ton również w ostatnim, niedokończonym tomie zapisków – wspomnień, impresji, grotesek – Janusza Głowackiego. Tyle jego książek, od „Wirówki nonsensu” począwszy – i każda z frazami zgrzytającymi jak styropian po szkle, ze zjadliwością, przy której Słonimski i Karl Kraus są niczym dwaj ckliwi staruszkowie o złotych bokobrodach, jak Protazy i Gerwazy reklamujący cukierki ślazowe. Przechodziły jakoś te tomy przez cenzurę, a ich autor szydził jak nikt inny, wywracał w swoich felietonach na nice członków nomenklatury, chłoporobotników, ale i mieszczańskie małżeństwa, pierwsze naiwne, safanduławatych mężów: mizantrop, ironista, cynik, frant.

Takie ironie są wyzwaniem: obraźliwe, piekące, nieznośne, fascynują zarazem jak marzenie o „wodzie królewskiej”, o rozpuszczalniku tak doskonałym, że nie sposób utrzymać go w żadnym naczyniu, bo przepali szkło i platynę, po czym spłynie w głąb Ziemi, pozostawiając po sobie wytopione krawędzie i gryzący dym. Tak czytałem przez lata Głowackiego – czy to „Powrót hrabiego Monte Christo”, czy „Moc truchleje”, najlepszą może powieść o Sierpniu widzianym nie od strony garstki działaczy WZZ, lecz chłoporobotników, zastraszonej i zbaraniałej „kaszy” jak z poematu Ważyka, która nagle ruszyła z posad bryłę świata. W drugiej połowie lat 70. było w Polsce kilku harcowników potrafiących pisać naprawdę cierpko, od Janusza Andermana po Jana Walca, ale z podobnym jadem raził tylko jeden jeszcze: Jerzy Urban. Ten jednak, jak wiadomo, zajął się ostatecznie produkcją felietonów zagrzewających do działania oficerów Departamentu IV MSW, podczas gdy Głowacki, na emigracji po stanie wojennym, pracował nad „Antygoną w Nowym Jorku”.



Janusz Głowacki, „Bezsenność w czasie karnawału”, W.A.B., 2018



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Kurt Vonnegut, „Opowiadania wszystkie”, tłum. Jolanta Kozak, Robert Sudół, Andrzej Szulc, Zofia Uhrynowska-Hanasz, Elżbieta Zychowicz, Wydawnictwo Albatros, 2018

To, że podobny jad bierze początek z rozpaczy, z niemożności pogodzenia się z bezmiarem zła, z pytań Hioba, który nie czekał odpowiedzi, jest dość oczywiste: na ten fatalny, żużlem wysypany szlak kultury europejskiej kolejni buntownicy trafiają co najmniej od czasów Byrona. Wiedza o tym pozwalała znosić spokojnie wszystkie te fumy i pozy, kreowanie się na cynika z talentem godnym Kazimierza Starskiego, wietrzejące witriole i nowe tańce la-ba-da, których echo usłyszeć w końcu można było już tylko w rubryce towarzyskiej dwutygodnika „Viva!”. Z tymi wszystkimi nieszkodliwymi słabościami był bowiem nadal Janusz Głowacki mistrzem polskiej prozy.

Pożegnalna „Bezsenność...” nadal jest żrąca: jest i „piękna krępa kobieta w garniturze” w limuzynie rządowej (umie smagnąć Głowacki i nie przejmuje się wtedy względami kurtuazji), jest Majdan kijowski czarny od sadzy, są konkretne bluzgi i wspomnienia z Warszawy lat 60., od poety Andrzeja Partuma po mewki z hotelu Victoria, są prywatne Zaduszki i nawet zdanie, którego już nie udało się pisarzowi zmilczeć: „Przytuliłem się do Ściany Płaczu, bo ogromna, kamienna, i bardzo chciałem coś poczuć”. Tylko szkoda, że reszta witriolu, zamiast przeżreć naczynie i przepalić drogę w dół, do piekła, ścieka po prostu jak popadnie, po ścianach, po przechodniach: „Bezsenność...” jest jak parodia typowych ojkofobicznych monologów, z odwiecznym polskim motłochem linczującym Syryjczyków i wieszającym niewinnych, z gwałcicielami konsumującymi 500+ i błogosławiącymi ich księżmi. Są zwyczajowi idole i zwyczajowi podejrzani, Jacek Kuroń był dobry, a Marek Nowakowski trochę też, ale potem „zamienił się w ideologa prawicy”. Można to wytrzymać, można to zrozumieć – każdy salon omotuje jedwabnymi nitkami, taki z „Vivy!” tym bardziej – ale tak by się chciało, żeby taki pisarz jak Janusz Głowacki zmierzył się w swojej ostatniej książce z kimś więcej niż z nielubianym ministrem.

Wojciech Stanisławski

eprasa.pl 3de1d194be

Adamski



Rosja ma zadyszkę



DVD

Borys (Aleksiej Rozin) i Żenia (Marjana Spivak) to dobrze sytuowani przedstawiciele nowej rosyjskiej klasy średniej. Hedoniści. Ich małżeństwo się rozpada na oczach 12-letniego syna Aloszy, na którego nie zwracają nawet uwagi. Jedyne, czego pragną, to ułożenie sobie nowego życia z dotychczasowymi kochankami. Pewnego dnia Alosza, słysząc awanturę, znika z domu. Zaczynają się poszukiwania.

Rodzinna płaszczyzna filmu twórcy „Lewiatana" szarpie za serce. Z powodu swojej namacalności. Realności. Przyziemności. Jednak Andriej Zwiagincew nie bawi się w psychodramę. Rozciąga rodzinny dramat na kino polityczne i metafizyczne. Jest w „Niemiłości" symbolika godna samego Tarkowskiego. Jest też ironia. Bardzo zimna i przenikliwa. Rodzinny dramat nabiera cech apokaliptycznej przypowieści.

To apokalipsa na wielu poziomach. Słyszymy ją w propagandowych putinowskich mediach relacjonujących zakłamaną narrację wojny w Donbasie. Widzimy ją w losach bohaterów. Pozbawionych miłości. Wyrzekających się miłości doskonałej i czystej – miłości do dziecka. Przenikliwy twórca „Powrotu" mówi o zdemoralizowaniu Rosji. Nie jest to zdemoralizowanie taplającej się w biedzie, prowincjonalnej, zezwierzęconej biedoty z nokautującej „Łagodnej" Łożnicy. Nie jest to też demoralizacja rosyjskiej administracji splecionej z cyniczną Cerkwią w „Lewiatanie". Tutaj widzimy wyjałowienie duchowe Rosjan z klasy średniej. To specyficzna grupa. Bryluje w mediach społecznościowych, jada w dobrych restauracjach, żyje od jednego selfie do drugiego. Śni sen ludzi Zachodu. Jest jednocześnie egoistyczna i zimna jak skąpane w śniegu kadry „Niemiłości".

Zwiagincew w niezwykle inteligentny sposób buduje metaforę współczesnej Rosji. W końcu uderza w sam splot słoneczny rosyjskiej duszy. W tym filmie jej nie ma. Nie ma też rosyjskiej tożsamości. Jest za to kobieta biegnąca w dresie z rosyjską flagą na piersi. Widzimy ją zza szklanych drzwi ekskluzywnego apartamentu. Szybko schodzi z bieżni. Zdyszana. Zmęczona. Biegnąca bez celu. Tak jak Rosja.

„NIEMIŁOŚĆ", REŻ. ANDRIEJ ZWIAGINCEW, DYSTR. AGAINST GRAVITY

VOD

Nixon vs Cash



Jeżeli widzieliście „Spacer po linie" (2006) Jamesa Mangolda ze wspaniałymi rolami Joaquina Phoenixa i Reese Witherspoon, to wiecie wszystko o muzycznej ścieżce i osobistych demonach Johnny'ego Casha. Znacie natomiast jego polityczno-ideologiczne rozterki? W USA zmarły w 2003 r. Cash jest absolutną ikoną. Nie tylko muzyczną. „Tricky Dick and the Man in Black" opowiada o relacji Casha z prezydentem Richardem Nixonem. Nixon w czasie swojej prezydentury zderzał się z pękniętą Ameryką. Wojna w Wietnamie, burzenie starego porządku przez pokolenie '68 i nadchodzące Watergate. W takich okolicznościach zależało mu, by mieć po swojej stronie jakichkolwiek artystów. Wychowany w głęboko patriotycznej i konserwatywnej rodzinie Cash był idealnym celem. Netflixowy dokument pokazuje, jak Cash walczył o swoją wewnętrzną niezależność i „chodził po linie" nad barykadą ideologicznej wojny trawiącej „jeden kraj dwóch narodów". Zawsze bronił amerykańskich wartości, ale jednocześnie chciał być wzorem dla więźniów i ludzi marginesu. Wielki indywidualista, sprzeczny wewnętrznie jak Ameryka.

„TRICKY DICK AND THE MAN IN BLACK" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 3de1d194be

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Kino



Myers powraca!



To niesamowite, że dopiero po siedmiu częściach cyklu i dwóch remake'ach udało się odpowiednio nawiązać do klimatu kultowego slashera Johna Carpentera z 1978 r. Twórcy „Halloween" z 2018 r. bezczelnie pominęli wszystkie filmy serii, nawiązując tylko do oryginału. Producentem wykonawczym i autorem muzyki do produkcji jest sam Carpenter, a główną rolę powtarza Jamie Lee Curtis, jednocześnie unieważniając swoje role w trzech sequelach! Oto jedyna kanoniczna kontynuacja jego przełomowej dla slashera niskobudżetowej produkcji z lat 70.

40 lat po krwawej jatce w Haddonfield Michael Myers jest wciąż zamknięty w zakładzie psychiatrycznym. Jego siostra Laurie (Jamie Lee Curtis) nie może sobie nadal poradzić z traumą sprzed czterech dekad. Żyje samotnie w domu twierdzy. Ma fatalne relacje z jedyną córką (Judy Greer), dwa nieudane małżeństwa i dorosłą wnuczkę (Andi Matichak), z którą próbuje się dogadać. Wciąż czeka na Myersa. Uzbrojona po zęby chce ostatecznie zabić boogeymana. Cała rodzina uważa, że Laurie popada w szaleństwo. Myers zaś ucieka z konwoju i 31 października wraca do miasteczka, by dokończyć krwawe dzieło. Ona chce tego samego. Ofiarą ma być jej niedoszły zabójca.

„Halloween" z 2018 r. nie dorównuje surowemu i ostremu jak nóż Myersa oryginałowi. Czy jednak spodziewaliśmy się, że jakakolwiek część mu dorówna? Nawet klęczący przed dogmatami slashera Rob Zombie, robiąc bardzo sprawne remaki filmu, dowiódł, że tylko maestro Carpenter potrafi opowieść o totalnym złu w masce Kapitana Kirka zbudować w tak piorunujący sposób. No ale Carpenter koncesjonował nową wersję, nie tylko podkręcając swoimi rękoma do dziś wywołujący dreszcz na plecach główny motyw muzyczny. Jest to więc również jego film.

Nie do końca potrafię wyczuć, na ile twórcy świadomie osuwają się w stronę autoironicznego pastiszu rodem z „Krzyku" Cravena, a na ile zmieniła się publika śmiejąca się ze scen, które w 1978 r. byłyby przekroczeniem kolejnych granic makabry na ekranie. Nie wnikam w to, bo efekt końcowy bywa przepyszny. Postać totalnie wyluzowanego chłopca, pilnowanego przez zarzynaną przez boogeymana z szafy (nawet ten motyw tutaj mamy!) babysitter, kradnie cały krwawy show. Will Patton tworzy ikonograficzną dla slasherów postać stróża prawa z małego miasteczka. Jamie Lee Curtis kreuje postać, której w slasherach nie oglądamy. To osoba, która szczęśliwie przetrwała rzeź. Ceną za to jest cierpienie psychiczne przez resztę życia.

Nie ma w nowej wersji hipisowsko-carpenterowskiego uderzenia w archetypiczność amerykańskich suburbiów, gdzie nikt nie otwiera drzwi, by pomóc mordowanym nastolatkom. Jest za to próba odbudowania rodzinnych więzów na trupie wtrąconego do piekła wcielonego zła w masce. Ciekawa klamra w karierze twórcy „Mgły" i „Coś", gdzie kara z grzechy miała twarz upiora.

„HALLOWEEN", REŻ. DAVID GORDON GREEN, DYSTR. UIP



Złamana dusza anioła

DVD

200 mln sprzedanych płyt. Głos dany od Boga. Świat u stóp. Żałosny koniec w samotności. Śmierć w wannie z krwią naszprycowaną narkotykami. Whitney Houston za życia stała się ikoną. Za tą ikoną był jednak mrok. Pochłaniał ją powoli, ale bezwzględnie. Dokument laureata Oscara Kevina Macdonalda to dzieło absolutnie spełnione. Wyprodukowany przez twórców genialnego „Sugar Mana" film pierwszy raz tak dogłębnie, intymnie, porywająco i mądrze penetruje świat Houston. Pokazuje wpływ toksycznego otoczenia, presję społeczną (kwestie rasowe) i zabójczy perfekcjonizm tej wielkiej artystki. Niepublikowane dotąd archiwalne nagrania i wypowiedzi rodziny rzucają nowe światło na bogatą twórczość Houston. „Whitney" ma siłę mocnego dokumentu „Amy" o równie tragicznej i genialnej postaci, jaką była Amy Winehouse. To porażające, jak ta sama spirala wkręca się w życie kolejnych muzycznych geniuszy. Ten sam schemat. To samo przejście przez przeklęte „drzwi" z piosenek Jima Morrisona.

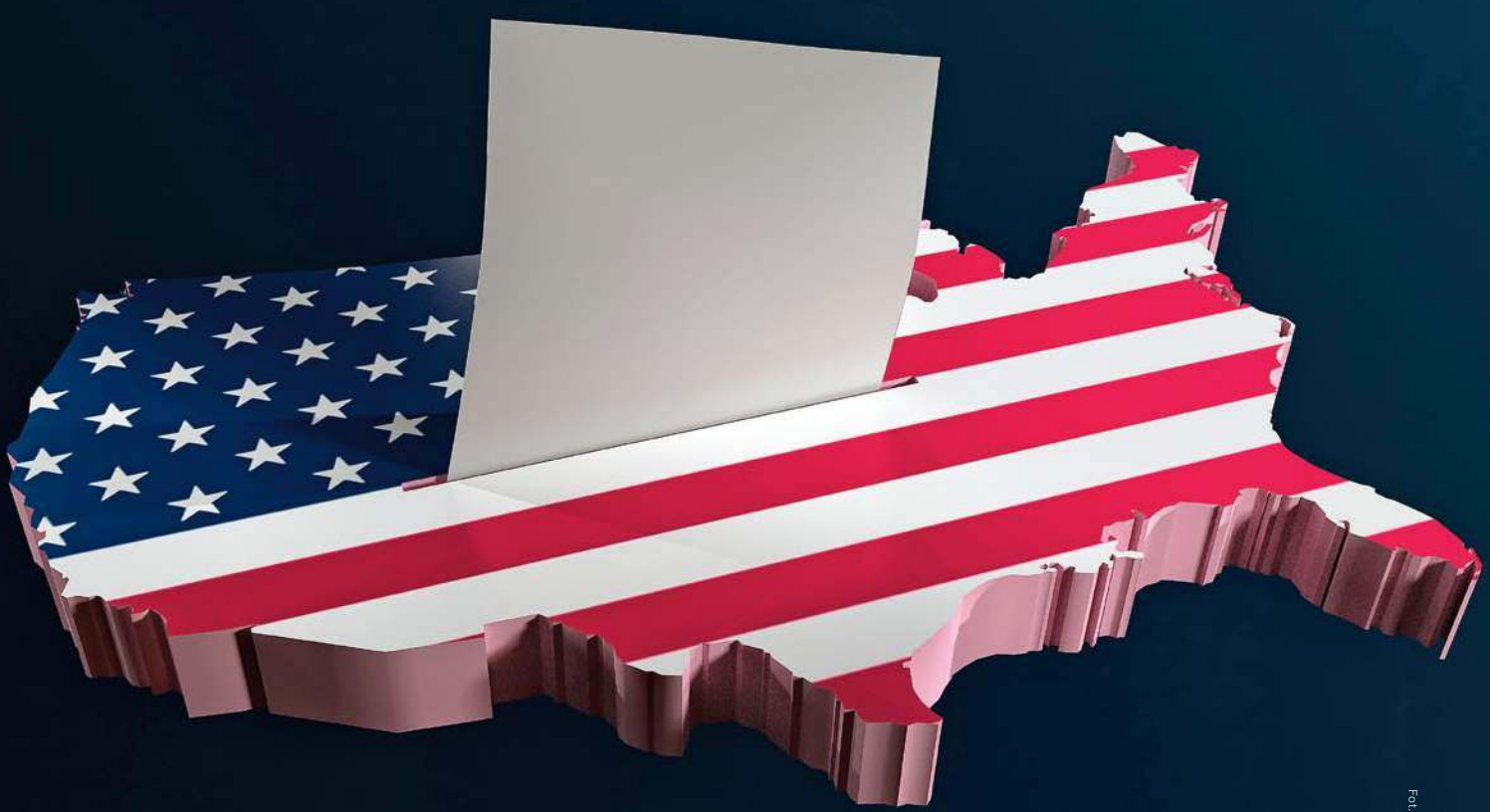
„WHITNEY", REŻ. KEVIN MACDONALD, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 3de1d194be

Remis dobry dla Trumpa

W ostro podzielonym i skonfliktowanym amerykańskim elektoracie wpływy republikanów i demokratów są dziś, jak pokazały to wybory do Kongresu, mniej więcej równe



Fot. Shutterstock (x2)



JAN ROKITA

To, co charakterystyczne dla powyborczej mapy USA, to fakt, iż liczne stany dotąd niebieskie – teraz wyglądają na niej granatowo, te tradycyjnie zaś czerwone – przybrały odcień niemal buraczkowy. Te dwa kolory wyznaczają mapę partyjnych wpływów Partii Demokratycznej (niebieskich) i Partii Republikańskiej (czerwonych) w społeczeństwie amerykańskim. Jeśli spojrzeć na tę mapę przez pryzmat głosowania na senatorów, to tak właśnie jest np. w Nowym Jorku, Rhode Island czy Maryland, gdzie swoją dominację umocnili demokraci, ale tak samo jest w Missisipi, Utah czy Wyoming, gdzie jeszcze silniejsza niż dotąd jest dominacja republikanów.

PRZETASOWANIA W „TRZYNASTCE"

Podobnie do niedawnych polskich wyborów komunalnych także głosowanie Amerykanów 6 listopada, w połowie pierwszej kadencji prezydenckiej Trumpa (tzw. midterm elections), dowiodło pogłębiającego się podziału ideologicznego kraju. Prezydentowi, kontestowanemu na początku kadencji także wewnątrz własnego obozu, udało się uporządkować i umocnić rubieże Partii Republikańskiej, a poparcie bądź sprzeciw wobec jego prezydentury wyznacza obecnie czytelne granice pomiędzy rywalizującymi obozami. Bez obawy o przesadę można po tych wyborach powiedzieć, że wyborcy republikańscy to ci, którzy są entuzjastyczni albo co najmniej akceptujący wobec stylu i osiągnięć obecnej prezydentury. Wrogowie polityczni Trumpa zostali zaś zamknięci w obozie demokratów. W ostro podzielonym i skonfliktowanym amerykańskim elektoracie wpływy tych dwóch obozów są dziś mniej więcej równe. A wyczekiwanej przez licznych wrogów Trumpa wyborczej „niebieskiej fali", jaka miała zalać Kongres, po prostu nie było. Wtorkowe wybory w Ameryce miały (znów podobnie jak ostatnio w Polsce) wynik wyraźnie remisowy, co w dzisiejszych warunkach jest w miarę korzystne dla Donalda Trumpa.

Dla efektywnego rządzenia państwem prezydent potrzebuje przede wszystkim poparcia Senatu. W amerykańskim ustroju, rygorystycznie wcielającym regułę check & balance, Senat może bowiem praktycznie sparaliżować prezydenturę, uniemożliwiając prezydentowi nominacje na kluczowe stanowiska rządowe i sędziowskie. I tutaj Trump ma sukces, który skądinąd nie jest niespodzianką. Jeśli pominąć te stany, o których z praktyczną pewnością wiadomo było z góry, iż nie zmienią swoich wyraźnych partyjnych preferencji, wyborcza gra toczyła się o dziewięć stanów reprezentowanych dotąd w Senacie przez demokratów i cztery – przez republikanów. Ta obserwowana z napięciem w Ameryce „trzynastka" charakteryzowała się bowiem tym, iż wynik głosowania był nieprzewidywalny. I tak z demokratycznej „dziewiątki" demokraci przegrali cztery stany (Indianę, Missouri, Dakotę Północną i o włos Florydę), zaś republikanie dwa (Nevadę i minimalnie Arizonę). Osobistym sukcesem Trumpa były zwłaszcza zwycięstwa republikańskich kandydatów w Indianie i Missouri, gdyż to tam właśnie prezydent postanowił odbyć swoje ostatnie, czyli w logice kampanii wyborczej – najważniejsze – wiece przedwyborcze.

Bój o Florydę był pewnie najbardziej emocjonujący, gdyż stan ten od lat stał się symbolem zjawiska „stanów swingujących", tzn. takich, w których wyniki kandydatów różnią się od siebie o włos, a liczeniu głosów towarzyszą karczemne awantury, z oskarżeniami o próby fałszerstw włącznie. Republikanin Rick Scott wygrał tym razem ze swoim demokratycznym oponentem stosunkiem 50,1 proc. do 49,9 proc., ale w trakcie nerwowego i przewlekającego się liczenia głosów oskarżył demokratów o to, iż „licząc głosy, chcą nam ukraść zwycięstwo". Podejrzenia wyborczych fałszerstw są ostatnimi laty dość rozpowszechnione w Ameryce, zwłaszcza wśród wyborców republikańskich, niedowierzających uczciwości swoich lewicowych oponentów.

MNIEJ GUBERNATORÓW

W senackiej arytmetyce oznacza to, że poparcie dla Trumpa w kluczowej dlań wyższej izbie wzrośnie teraz o dwóch senatorów. A tym samym przewaga republikanów będzie przez najbliższe lata politycznie bezpieczna. To – po pierwsze – daje prezydentowi, który dość często zwykł wymieniać swoich współpracowników (właśnie zwolnił po wyborach ministra sprawiedliwości), wolną rękę, gdy idzie o politykę personalną. Po drugie – Trump będzie mógł liczyć na silniejsze zaplecze dla swojej polityki zagranicznej, tym bardziej że niedawno zmarł jego najbardziej zawzięty na tym polu krytyk senator John McCain. I po trzecie – prezydent będzie praktycznie chroniony na wypadek, gdyby najbardziej zawzięci jego demokratyczni przeciwnicy chcieli na serio wykonać ponawiane ciągle groźby usunięcia go z urzędu poprzez procedurę impeachmentu. Umocnienie się w Senacie, któremu towarzyszy ściślejsza niż dotąd więź prezydenta z jego partią, będzie dużym atutem Trumpa w czekających go zapewne licznych politycznych bojach i kryzysach.

Trochę gorzej niż z wyborem senatorów poszło Trumpowi w głosowaniu na gubernatorów stanowych. W amerykańskich stosunkach politycznych są to wybory o dużym znaczeniu, zwłaszcza jeśli odbywają się (jak obecnie) na dwa lata przed wyborami głowy państwa. Partia, która ma w jakimś stanie „swojego" gubernatora, jest bowiem z natury rzeczy uprzywilejowana w przyszłej kampanii prezydenckiej, dysponując tam wsparciem stanowego rządu i lepszym zapleczem organizacyjnym. Z perspektywy Trumpa pech chciał, że w ubiegły wtorek republikanie musieli bronić aż 26 pozycji gubernatorskich, demokraci zaś zaledwie dziewięciu. Demokratom udało się obronić całą dziewiątkę, republikanie natomiast utracili pięć stanów: Illinois i Wisconsin (gdzie przegrali, podobnie jak w całym regionie Wielkich Jezior, bardzo wyraźnie), a także Kansas, Maine oraz Nevadę. Odbili zaś Alaskę, gdzie władzę dotąd sprawował (rzadki to w USA przypadek) gubernator bezpartyjny. Dla prezydenta niewątpliwą pociechą może być tu jednak przypadek Florydy,

eprasa.pl 3de1d194be



gdzie mocno protegowany przez prezydenta Ron DeSantis, weteran wojny irackiej i przyjaciel Trumpa, obronił dla republikanów urząd gubernatora o włos, większością 0,4 proc. głosów. Jest niemal pewne, że jak zwykle Floryda odegra znów kluczową rolę w wyborach prezydenckich za dwa lata. A DeSantis będzie do tego czasu robić wszystko, aby Trump był tam zwycięzcą w 2020 r.

> Demokratyczni szefowie komisji w Izbie Reprezentantów będą próbowali wdrożyć wiele parlamentarnych śledztw skierowanych przeciw prezydentowi

PRZEGRANA W IZBIE REPREZENTANTÓW

Utrata po ośmiu latach większości w Izbie Reprezentantów była zapewne wkalkulowana w polityczną strategię republikanów. W końcu zyskali oni ową większość właśnie w roku 2010, czyli również w wyniku midterm elections, tyle że odbywających się w połowie pierwszej kadencji Obamy. Tym razem demokraci odbili republikanom aż 31 okręgów wyborczych, sami tracąc zaledwie cztery. W 435-osobowej izbie niższej dało im to arytmetyczną większość, co oznacza także przejęcie ważnych w amerykańskiej praktyce ustrojowej (i bardzo wzmocnionych ostatnio przez republikanów) pozycji szefów kongresowych komisji. Wiadomo np., że tzw. Komisję Nadzoru i Reformy Rządu przejmie zaciekły wróg prezydenta – murzyński poseł Elijah Cummings, który już teraz planuje szczegółowe przyjrzenie się deklaracjom podatkowym Donalda Trumpa z czasów, gdy zajmował się on biznesem.

Bodaj najbardziej niespodziewana i przykra dla republikanów jest porażka w Oklahomie posła Steve'a Russella – wysokiego oficera armii i bohatera wojen irackich, który na dodatek kandydował w piątym okręgu, uważanym za całkowicie „bezpieczny" dla republikanów. Russella pokonała tam demokratyczna nowicjuszka Kendra Horn, lokalna działaczka feministyczna. Generalnie można się spodziewać, że demokratyczni szefowie komisji w Izbie Reprezentantów będą próbowali wdrożyć wiele parlamentarnych śledztw skierowanych przeciw prezydentowi, argumentując to koniecznością lepszego zbadania podatków płaconych przez Trumpa, jego kontaktów rosyjskich albo wykroczeń najbliższych współpracowników. W charakterystycznym dla siebie stylu Trump zapowiedział już zemstę, jeśliby demokraci obrali taką taktykę. „Jeśli tak, to uruchomimy przeciw nim śledztwa w Senacie" – napisał na Twitterze.

„WYBORCY RETROSPEKTYWNI"

Jeśli wtorkowe wybory potraktować (znów trochę tak, jak niedawne wybory w Polsce) jako ostatnią próbę sił i kluczowy wskaźnik przed „prawdziwymi" wyborami o najwyższą stawkę, jakie odbędą się w USA w roku 2020, to najciekawszym faktem społecznym okazuje się wyraźne przesunięcie partyjnych sympatii w amerykańskich suburbiach, czyli przedmieściach metropolii, zamieszkanych przez lepiej wykształconą i bogatszą klasę średnią. Wedle Sama Abramsa, eksperta prawicowego American Enterprise Institute, owe suburbia zamieszkują obecnie najbardziej „plastyczni", czyli zmienni i możliwi do urobienia wyborcy. A przy nieznacznych różnicach wyników to właśnie tacy wyborcy często przesądzają o politycznych efektach elekcji. Abrams nazywa ich „wyborcami retrospektywnymi", to znaczy takimi, którzy nie kierują się stabilnymi poglądami czy sympatiami, ale oceniają wstecz politykę w ostatnim czasie i w oparciu o to podejmują ad hoc wyborczą decyzję. Tym razem najwyraźniej ta grupa negatywnie oceniła politykę Trumpa.

Dziennik „USA Today" zrobił analizę 123 dużych miast i ich suburbiów, gdzie co najmniej 30 proc. mieszkańców ma wykształcenie średnie (skończony college) oraz dochód na poziomie wyższym niż 62 tys. dolarów rocznie. Z tej analizy wyszło, że demokraci wzmocnili swoją pozycję aż w 120 (czyli wszystkich, z wyjątkiem trzech).

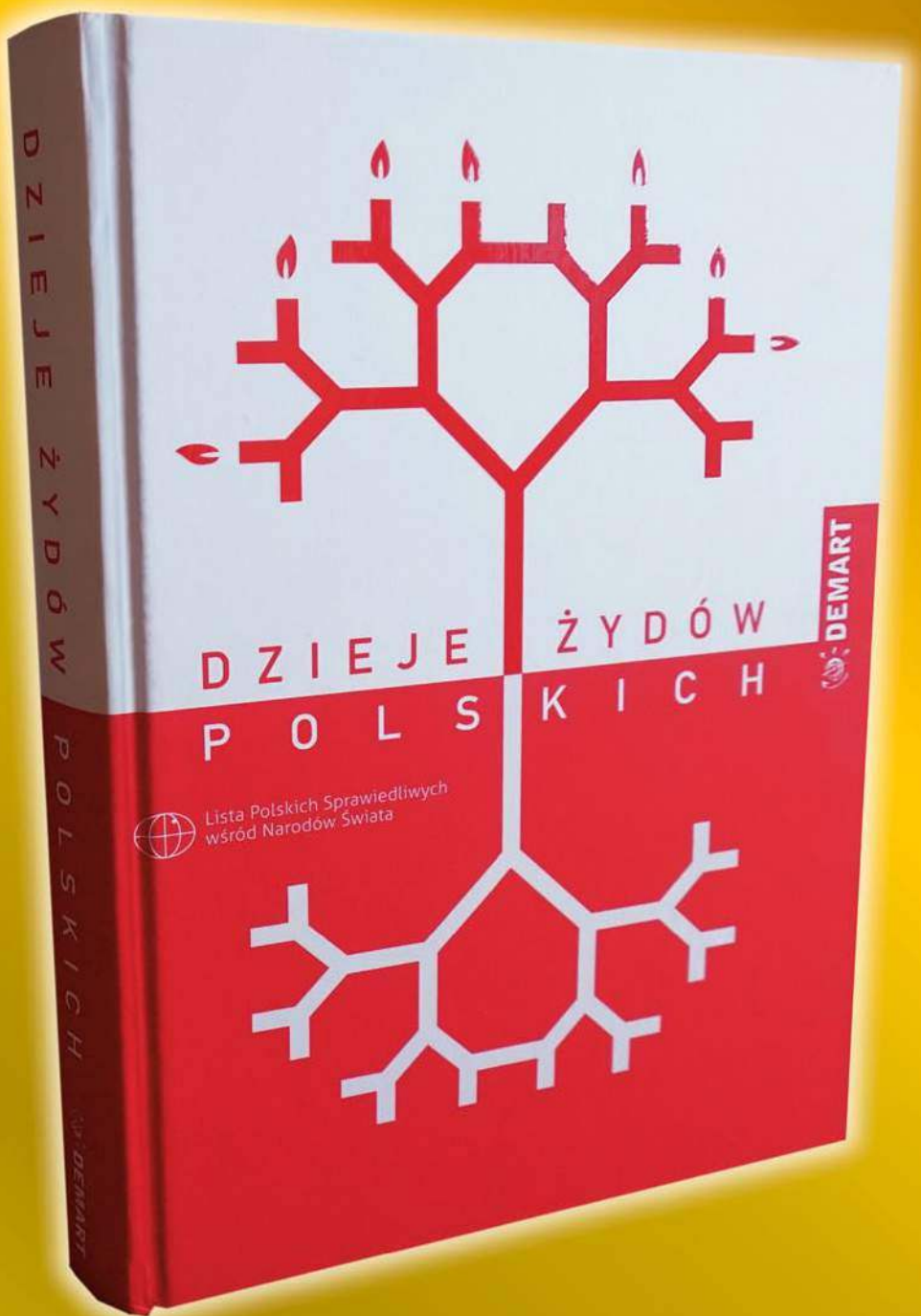
Także ten fakt jako żywo przypomina spektakularną samorządową porażkę PiS w Polsce w dużych i średnich miastach, i to nawet w regionach, w których partia odnosi generalne zwycięstwa (np. w Małopolsce czy na Podkarpaciu). Co prawda „wyborcy retrospektywni" dość łatwo mogą za niedługo znów zmienić swoje sympatie pod wpływem okoliczności. Ale całkiem prawdopodobna może się okazać (zarówno w Ameryce, jak i w Polsce) hipoteza alternatywna. Wedle niej w toku zaostrzającego się partyjnego podziału społeczeństwa partie prawicowe tracą na dłuższą metę wielkomiejskich wyborców. Gdyby tak było, to stanowiłoby to pewne ryzyko dla przyszłej reelekcji prezydenta. Tak właśnie sądzi przywódca demokratów w Senacie senator Chuck Schumer z Nowego Jorku. „Jesteśmy szczęśliwi, że republikańskie suburbia stały się teraz demokratyczne" – mówi, wieszcząc, że Trump będzie miał z tym duży kłopot za dwa lata.

62/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be

Dzieje Żydów polskich

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata



DEMART

XXVII Targi Książki Historycznej
29.11–02.12.2018

www.demart.com.pl

eprasa.pl 3de1d194be

Panamskie Karaiby



Między oceanami i kontynentami

Jak na jeden mały kraj Panama ma zadziwiająco dużo światowej sławy symboli: Kanał Panamski, „Panama Papers" czy kapelusz panamski



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Milczący młody Indianin postał chwilę z rodziną na płycie gorącego, przesyconego spalinami dworca i bez wzruszającej wylewności ulotnił się w ciemność, zanim autobus ruszył. Wkrótce wyglądająca na dużo starszą żona z czwórką dzieci zniknęła w klimatyzowanym do przesady wnętrzu autobusu. Odwiedzali pracującego w stolicy tatula. Teraz wracają do swojej wsi gdzieś w Ngöbe-Buglé lub Veraguas; dotrą tam parnym świtem. Być może po wyjściu z autokaru będą musieli godzinami iść jeszcze przez las, zarośla lub bagna. Indianie nie uśmiechają się bez potrzeby. Powaga wyrazu twarzy mężczyzny na dworcu autobusowym Albrook w mieście Panama kontrastuje szlachetnością z mechanicznymi i nieadekwatnymi do sytuacji, choć promiennymi uśmiechami nielicznych turystów.

BRAKUJĄCE 125 KM DROGI

Do tego samego autobusu pakujemy się i my. Przed nami droga przez niemal całą długość wąskiego kraju. Ze stolicy pojazd kierować się będzie na północny zachód, niejako w stronę Ameryki Północnej, na rubieże państwa, do prowincji Bocas del Toro tuż przy granicy z Kostaryką. Drugi koniec Panamy, ten wycelowany w Amerykę Południową, nie jest dostępny. Od Kolumbii kraj oddzielony jest grubym buforem wilgotnego lasu równikowego. Panamczycy nie chcą zmieniać tej sytuacji. W zasadzie z Ziemi Ognistej do Alaski można by przejechać jedną panamerykańską szosą łączącą kontynenty. Jest tylko jeden problem. Darién Gap. Luka, dziura lub brak. Tak można opisać stan tej trasy na granicy panamsko-kolumbijskej w prowincji Darién. Choć oficjalnym powodem zaniechania projektów dosztukowania 125-kilometrowego fragmentu w długiej na niemal 30 tys. km trasie są względy ekologiczne, to prawdziwym powodem zdają się trudne relacje obu państw. Dżungla zamiast autostrady symbolizuje panamskie obawy przed kolumbijskimi narkotykami oraz innymi niepożądanymi zjawiskami, które przybyłyby z południa po równym asfalcie. Takimi np. jak komunistyczne FARC. W ten sposób Panama poprzez wyrwę w Darién rozdziela dwa kontynenty, a dzięki kanałowi łączy dwa oceany. Dość strategiczne położenie.

eprasa.pl 3de1d194be



Port rybacki na Pacyfiku w mieście Panama

Fot. Z archiwum autora (x8)

Stoimy na jednym z fragmentów tej epickiej trasy, gdzieś na jej środku. Za budynkiem dworca pobłyskuje jasnymi światłami oszałamiająca panorama miasta.

Panama jest miastem, które zadało kłam Márquezowskiemu Macondo. Wybiła się ze spirali ospałych wydarzeń, kręcącej się gdzieś poza czasem w drapieżnej, wiecznie zielonej tropikalności. Stała się graczem na arenie międzynarodowej; nie tylko ze względu na kapitalne znaczenie Kanału Panamskiego odmierzane chińskimi masowcami. Skrawek ziemi wyrwany dżungli nad Pacyfikiem, na którym stoi stolica, najeżony jest drapaczami chmur, pomiędzy którymi przelatują stada zielonych, dużych i krzykliwych papug amazonek Amazona ochrocephala. Kilka wieżowców jest tandetnych, niektóre to wybitna architektura, pozostałe stanowią typowy garnitur miasta-biznesmena. Razem tworzą zjawiskową kompozycję. Stolica Panamy to centrum bankowe i raj podatkowy. Połączenie Szwajcarii z Kajmanami. Jednak w przeciwieństwie do Szwajcarii w Panamie ujawnianie informacji dotyczących kont jest nielegalne. To oraz wolność finansowa i stabilny system prawny przyciągają zarówno prężne i potężne firmy typu Amazon czy United Airlines, jak i oszustów, którzy za pomocą kont offshore chcą wyprać brudne pieniądze. Słynne „Panama Papers", czyli wielkie wycieknięcie tajemnic bankowych, zaszkodziło temu środkowoamerykańskiemu państwu tylko na chwilę.

Nasz autobus jedzie przez most. Za oknami w ciemnościach leje deszcz. Przekraczamy Kanał Panamski. Stalowa konstrukcja mostu Ameryk do niedawna była jedynym sposobem na pokonanie gigantycznego przekopu. Jedynym lądowym połączeniem Ameryk. Kanał – niedogodność dla podróżujących lądem, dla statków zbawienie (a dla budżetu Panamy kolosalny wkład w PKB). Od stu lat bowiem nie ma już konieczności opływania niebezpiecznego i odległego przylądka Horn, przy którym w jednym tylko 1905 r. rozbiły się 43 statki. W 1920 r. otwarto kanał, dzięki czemu obecnie wschodnie stany USA mogą się do woli cieszyć przybyłymi wprost z Pacyfiku cacuszkami z chińskich panamaksów. Statki typu panamaks to ciekawe zjawisko dostosowania nowoczesnej floty do starych rozwiązań inżynieryjnych. Masowce i kontenerowce na całym świecie tworzone są w oparciu o wymiary śluz i mostów na Kanale Panamskim. Przykładowo – żaden statek zamierzający pływać pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem nie może wystawać nad wodę więcej niż 57,9 m, gdyż tuż powyżej przebiega wybudowany w 1965 r. rzeczony most Ameryk.

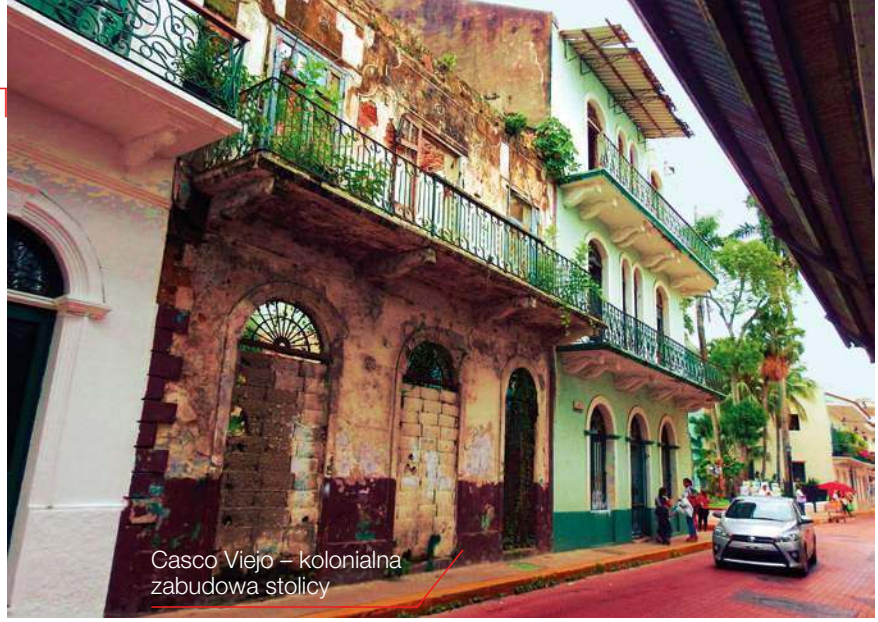


Podczas połowu ryb

PO NARKOTYKI DO PASZCZY HALIBUTA

Jak na jeden mały kraj Panama ma zadziwiająco dużo światowej sławy symboli: Kanał Panamski, „Panama Papers" czy kapelusz panamski. Nieodległe Nikaragua czy Honduras mogą tylko pomarzyć o takim bogactwie semantycznym. Sława oparta na symbolach ma jednak pewne minusy – może odwracać uwagę od tego, co równie wartościowe, lecz mniej spektakularne. Takiego odczucia doświadczyliśmy zaledwie dzień wcześniej, gdy staliśmy w porcie rybackim. Bar z piwem Balboa, stoły, na których sprzedawcy sprawiali ryby, nabrzeże, łodzie i kutry, pelikany, czaple i koty plączące się między rybakami – a dalej, aż po wybrzeża Japonii, już tylko zielonawy Pacyfik. Na okolicznych dachach czarne sępy

eprasa.pl 3de1d194be


Casco Viejo – kolonialna zabudowa stolicy

urubu, nieodłączny element widoku każdego latynoamerykańskiego miasta, patrzące filozoficznie na to, co się dzieje wokół, tak samo, jak kilkaset lat temu patrzyły na pożar miasta Panama, łupionego przez pirata Henry'ego Morgana.

Po słowach „Va el culo mas grande!" („Większy dupek idzie!"), wykrzyczanych przez rosłego Mulata, postanowiliśmy zaczekać jeszcze chwilę. Z kei przez zakratowaną bramę raz po raz wychodzili rybacy, taszcząc połów. Stojący u wrót oddzielających nabrzeże od reszty portu żołnierz z karabinem uchylał wieka plastikowych pojemników i dawał głową znak, że można iść dalej. W paszczach halibutów, pomiędzy tuszami mieczników i w trzewiach zielonozłotych dorad nie stwierdzał obecności ładunku kolumbijskich narkotyków.

Na chodniku w porcie stała furgonetka, z której niewysoki gość dobywał wielkie sześciany parującego na upale lodu. Każdy wielkości walizki. W porcie i przyległym targu rybnym schodziło dużo lodu. Obok furgonetki byczek przypominający aparycją napakowanych bramkarzy z warszawskich klubów sprzedawał z wózka zielone banany. O metalowe balustrady okalające przystań opierali się mężczyźni wszystkich grup wiekowych, ras ludzkich i grup zawodowych. Tak jak my czekali na coś naprawdę wielkiego. Lubili obserwować ryby. Potomkowie rdzennych mieszkańców Ameryki, przymusowych przybyszów z Afryki oraz Europejczyków, tworzą społeczeństwo tak silnie poddane metysażowi, że nie sposób powiedzieć z całkowitą pewnością „who is who". I nie ma w ogóle takiego sensu. Są Panamczykami. To wystarczy. Przy ogrodzeniu znajdowali się Panamczycy ichtiomani, ichtiofile oraz ichtiolodzy amatorzy. Bibliofile wszystkich szerokości geograficznych nawiedzają antykwariaty, melomani – opery, ornitolodzy – lasy. A dla miłośnika ryb – wiadomo – najlepsze jest wyjście z wędeczką lub, gdy ma się mniej czasu, zerknięcie na ciekawe okazy w porcie. Wszyscy ekscytowali się, co takiego wielkiego ma się pojawić w stalowych wrotach. Zerkali też na nie sprzedawca bananów i dostawca lodu. Tylko żołnierz był profesjonalnie obojętny. I w końcu, gdy mieliśmy już odchodzić, pojawił się on. Prawdziwy potwór. Wielki rekin niesiony przez rybaków zjednoczył emocje wszystkich portowych wyg.


Panamki

Teraz jednak doświadczamy panamskości w innych okolicznościach. Chłoniemy trudny do opisania klimat egalitarnych, brudnych, nocnych dworców, odmierzających drogę przez tropikalną przestrzeń, albo słabo oświetlonych poczekalni, powolnych bistro (oksymoron) i piaskowych, rozjechanych poboczy. W końcu, niemal u celu naszej wyprawy, po zostawieniu gdzieś za Kordylierami trasy panamerykańskiej, siedzimy przed świtem na zmurszałych deskach przystani Almirante. Nie tak miały wyglądać wody Karaibów wokół archipelagu Bocas del Toro. Miały być lazurowe i prześwietlone słońcem. Są bure, storpedowane miriadami kropel. Aby z lądu dostać się na archipelag, wszyscy musimy okazać paszporty wyglądającemu na zaspanego urzędnikowi dyżurującemu w drewnianej budce z okienkiem, ulokowanej u nasady doku. Wszechobecne kontrole paszportowe, kontrole dokonywane przez policjantów z psami obwąchującymi bagaże, niekończące się kontrole biletów, nie są dokuczliwe. Obojętnieją nam, gdy uświadamiamy sobie, że są elementem antynarkotykowej polityki państwa, a nie przejawem opresyjności, jak w przypadku rządzonych przez quasi-junty krajów tego niezbyt poważnie traktowanego przez Europę regionu. Nieustannie, w różnych formularzach, wpisujemy długie ciągi cyfr wprost z bordowych książeczek wyłuskiwanych z wodoodpornych worków.

Wodoodporność jest wskazana. Parafrazując strofy Świtezi: „Jeżeli deszczową przybliżysz się dobą/ i zwrócisz ku Bocas del Toro lice:/ woda nad tobą i woda pod tobą/ I wszędzie będzie bardzo wilgotno". Mokre stało się zewnętrzne odzienie i wnętrza plecaków, nawet nie zauważyliśmy jak i kiedy. Wyschną za prawie dwa tygodnie, kiedy opuścimy archipelag. Karaibskie miasteczko Bocas, do którego dotarliśmy po godzinie żeglugi smaganymi deszczem falami wprost z przystani w Almirante, godnie mierzy się z wilgotnością od ponad 100 lat. Wyspiarska osada z centralnym rynkiem – porosłym wybuja-

eprasa.pl 3de1d194be


Archipelag Bocas del Toro


Miasteczko Bocas

łymi palmami, z popiersiem Simona Bolivara i zabudową nasuwającą kolonialne skojarzenia. Kluczem do historii miasteczka będącego stolicą całego archipelagu oraz prowincji są trzy słowa: United Fruit Company.

SŁYNNE BANANY CHIQUITA

Miasteczko Bocas nie powstałoby, gdyby nie klimat idealny do uprawy bananowców. Plantacje porastają okoliczne brzegi Przesmyku Panamskiego. Miasteczko powstało pod koniec XIX w. jako centrum lokalnego zarządzania bananowym przemysłem amerykańskiej kompanii. Dziś określilibyśmy je jako hub: w latach świetności miało port, rozgłośnię radiową, pocztę, teatr, boisko do krykieta; wydawane były trzy dzienniki. Ludność afrykańskiego pochodzenia – z Barbadosu, Gwadelupy, Haiti czy Jamajki – trafiała tutaj w drodze na dalsze odcinki pracy dla UFC. Osada choć mała, była dynamiczna i kosmopolityczna. Dynamika wyhamowała wraz z transformacją United Fruit Company. Pozostała jednak inspirująca karaibska multinarodowość oraz silne bananowe piętno. Większość pracujących mieszkańców Bocas del Toro codziennie odbywa podróż łodziami motorowymi w przeciwnym kierunku niż my tego dnia: z wysp dopływa na stały ląd do Almirante, skąd autobusami dostaje się do Changuinoli. To ważna nazwa na mapie Panamy. Obecna stolica bananowego przemysłu jest gorąca, zapylona, ludna, pełna ruchu i aktywności. To niekończące się szpalery bananowców uporządkowanych w tzw. fincas, czyli w mniejsze jednostki – gospodarstwa. To tu powstają słynne banany Chiquita.

Mokniemy w ciepłej ulewie na przystani, gdzie wyrzuciła nas łódź. Do otwarcia sklepów pozostała godzina. Przed dalszą drogą, zanim popłyniemy na odleglejszą jeszcze wyspę do pochłanianej przez tropikalny las i szczudlaste namorzyny hacjendy, musimy zrobić zakupy. Sklepy w mieście prowadzone są przez Chińczyków; ceny, jak w całej Panamie, w dolarach amerykańskich. Tą walutą można płacić za wszystkie produkty i usługi. Kręci się przy nas chłopak, który łamaną angielszczyzną chce nas nakłonić, abyśmy dalszą część trasy odbyli jego motorówką. Nasze plany nie pokrywają się z jego, ale uprzejmie wysłuchujemy krajoznawczego, mocno uproszczonego wykładu. Wykładu wprost spod małego daszku, gdzie skryliśmy się w piątkę. I tak mamy chwilę czasu. Bocas Town żyje owszem z bananów, ale i z turystyki. Natomiast Indianie z rozsianych po archipelagu wysp raczej nie mieszczą się w żadnych statystykach ani monitorach gospodarczych – łowią ryby, uprawiają w dżungli maniok, nie mają elektryczności i zasilają zastępy milionów mieszkańców kuli ziemskiej nieogarniętych przez system. Większość z nich nie jest ochrzczona i słabo zna hiszpański; posługują się własnym językiem.

Sprowadzenie historii 500-letniego kraju do bananowego epizodu byłoby grubym nietaktem. Podczas czwartej wyprawy do brzegów tych dopłynął Kolumb – na jego cześć wyspa z miasteczkiem Bocas nosi nazwę Colón. Panama musiała jednak czekać jeszcze kilkanaście lat, aby stać się łakomym kąskiem na amerykańskim talerzu królów kastylijskich. Stało się to za sprawą Vasco Nuñeza de Balboa, który jako pierwszy Europejczyk w 1513 r. dotarł przez lasy obecnej Panamy do Pacyfiku. Odkrycie nowego oceanu zrewolucjonizowało myślenie o świecie, a z Panamy uczyniło strategiczny punkt globu. Kanał Panamski jest udaną próbą przeniesienia tej idei do współczesności. Aby jednak mieszkańcy wąskiego przesmyku pomiędzy kontynentami i ocenami mogli o sobie powiedzieć „somos Panamá", musiały upłynąć wieki. Proces dochodzenia do niepodległości był etapowy: zaczął się od wyzwolenia spod władzy Hiszpanii w 1821 r., następnie odłączenia w 1903 r. od Kolumbii, aby na przełomie II i III tysiąclecia doprowadzić do przejęcia od USA kanału, co przypieczętowało panamską niezawisłość.


Kajman

W końcu na Bocas del Toro, zwanym z racji swojej naturalnej pierwotności i niedostępności „Galapagos Ameryki Centralnej", wyszło słońce. Kajmany, kolibry i leniwce, a nawet tukan araçari inaczej wyglądają w jego świetle. Tym bardziej że w Panamie promienie padają niemal pod kątem prostym. Dokładnie tak, jak powinny na 9° szerokości geograficznej północnej, w miejscu, w którym w styczniu 2019 r. odbywać się będą Światowe Dni Młodzieży.

Autor wraz z żoną i dwójką dzieci w czerwcu i lipcu 2018 r., w samym środku pory deszczowej, odbył wyprawę do Panamy, podążając za kolibrami, ciepłym pasatem i szybko sunącymi łodziami Indian Ngöbe-Buglé

eprasa.pl 3de1d194be



Nie tylko susza wysusza portfele

Fot. Andrzej Wiktor

Ceny żywności rosną jak na drożdżach. Producenci i handlowcy winą obarczają tegoroczną suszę. Ale to nie do końca prawda

Choć jesteśmy trzy miesiące po zbiorach i spichlerze oraz chłodnie powinny pękać w szwach, a ceny żywności (zgodnie z logiką cyklów panujących w naturze) nie powinny rosnąć, rynek produktów rolnych zachowuje się jak na przednówku. Drożeją: pieczywo, warzywa, wędliny, sery, masło, a nawet jabłka, których w tym roku mamy klęskę urodzaju. I, co gorsza, analitycy nie pozostawiają złudzeń: w grudniu, gdy zaczniemy robić zakupy przed Bożym Narodzeniem, będziemy musieli jeszcze głębiej sięgnąć do portfeli.

Z opublikowanych w październiku danych GUS wynika, że w ciągu roku najbardziej zdrożały warzywa (10,2 proc.), pieczywo (5,9 proc.), mięso (1,2 proc.). Eksperci pytani o przyczyny podwyżek twierdzą, że wszystkiemu winne są rosnące koszty pracy, drożejące paliwa, a przede wszystkim susza.

WYSCHNIĘTE POLA

To ona zniszczyła ponad 2,2 mln hektarów upraw w Polsce. Zmarniały warzywa, rzepak, zboża. Tych ostatnich zebrano ok. 23 mln ton, czyli o 4–5 mln ton mniej niż rok temu. Co gorsza, kurczą się też krajowe zapasy, a import wcale nie jest tani ani prosty, bo susza spustoszyła plantacje w całej Europie. Np. Francja, czyli największy producent pszenicy w UE, zebrała tylko 34 mln ton (rok temu 37 mln), w Niemczech – drugim producencie pszenicy na Starym Kontynencie – zbiory były najmniejsze od 15 lat, natomiast Brytyjczycy tak słabego sezonu nie mieli od lat pięciu. Z powodu suszy ucierpiały też kraje skandynawskie (spadek o 40 proc.), Węgry, Bułgaria i republiki bałtyckie. Mniejszą produkcję zbóż odnotowano również w Australii i Rosji. Według prognozy przygotowanej przez Międzynarodową Radę ds. Zbóż, czyli International Grains Council, światowa produkcja w sezonie 2018/2019 spadnie o 1,4 proc. do 2062,7 mln ton.

Kiepsko jest też z warzywami. Jak podają eksperci z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, w porównaniu z ubiegłym rokiem ceny cebuli obieranej wzrosły o 112 proc., kapusty białej o 90 proc., buraków o 16 proc., a marchwi o 15 proc. Rekordy bije też pietruszka: w październiku jej ceny w hurtowniach przekraczały nawet 10 zł za kilogram i były o 80–90 proc. wyższe niż w 2017 r. Znawcy rynku uważają, że na wiosnę pietruszka będzie „białym złotem", bo jej ceny jeszcze pójdą w górę.

eprasa.pl 3de1d194be

MASŁA MAMY W BRÓD

Sęk w tym, że drożeją też (choć w mniejszym stopniu) produkty, które z suszą nie mają wiele wspólnego, czyli np. masło. W wielu sklepach za kostkę trzeba dziś zapłacić nawet 7–8 zł (znacznie więcej niż przed rokiem), i to pomimo że produkcja mleka w Polsce wzrosła, a ceny skupu spadły. Co więcej, z informacji Credit Agricole wynika, że na świecie mleka i masła będzie w bród, ponieważ tegoroczny sezon w Nowej Zelandii, która jest największym producentem tych produktów na świecie, jest najlepszy od pięciu lat.

Dlaczego więc masło jest tak drogie? Według Jakuba Olipry z Credit Agricole w pewnym stopniu jest to efekt wzrostu kosztów pracy i energii. Analityk nie wyklucza jednak, że w przypadku masła możemy mieć też do czynienia z wykorzystaniem tzw. efektu suszy. – W momencie, kiedy wszyscy słyszymy, że rolnicy ponieśli tak duże straty i że w związku z tym żywności będzie mniej i będzie droższa, trudno jest się oprzeć pokusie podniesienia cen np. masła o kilka czy kilkadziesiąt groszy – wyjaśnia Olipra. – A już na pewno nie ma co się spieszyć z jego obniżką. Jego słowa zdaje się potwierdzać analiza ceny kostki masła sprzedawanej w różnych sieciach handlowych. Wynika z niej, że w październiku za 200 g tego produktu trzeba było płacić od 4,49 do 8,49 zł. Różnica ogromna, a przecież wszystkie te sieci poniosły podobne koszty dostarczenia masła na półki. Nie chcę podawać nazw marketów, zaznaczę tylko, że najtaniej było w jednej z niemieckich sieci, najdrożej we francuskiej.

JABŁKOWA KLĘSKA

Drugim produktem, który załapał się na „efekt suszy", są owoce. Zwłaszcza jabłka, których w tym roku mieliśmy zatrzęsienie. Z informacji GUS wynika, że zbiory wyniosły ponad 4 mln ton, czyli o 60 proc. więcej niż przed rokiem. Patrząc na ceny w skupach, trudno zrozumieć, dlaczego za jabłka deserowe w sklepie trzeba płacić 3–3,50 zł za kilogram, podczas gdy rolnik dostał za nie 1–1,30 zł. Nie mówiąc już o tzw. jabłkach przemysłowych, które sadownicy sprzedawali po kilka, kilkadziesiąt groszy za kilogram, a niektórzy woleli zostawić owoce na drzewach, niż je zbierać i sprzedawać. Nawet interwencyjny skup zorganizowany przez resort rolnictwa radykalnie nie poprawił sytuacji. Spółka Eskimos do 10 listopada skupiła ok. 310 tys. ton jabłek, płacąc 0,25–0,26 gr za kilogram.

Wielu ekspertów, działaczy związkowych i sadowników próbuje znaleźć przyczynę z jednej strony drożyzny w sklepach, a z drugiej – rujnującej rolników „taniochy" w skupach. Jedni mówią, że winne są zagraniczne przetwórnie, drudzy, że brak eksportu, trzeci, że ogromne nasadzenia z poprzednich lat. Inni wskazują winnych wśród grup i firm handlowych, a kolejni mówią, że wszystkiemu winna jest Unia Europejska i politycy.

Według Mirosława Maliszewskiego, prezesa Związku Sadowników RP, jednym z głównych powodów sadowniczej biedy była dzika prywatyzacja największych zakładów przetwórczych w Polsce. – Ośrodki decyzyjne przeniosły się za granicę, a nowi właściciele nie byli zainteresowani jakąkolwiek współpracą z plantatorami – mówi Maliszewski. I dodaje, że błędy w tym zakresie popełnili wszyscy, od lewicy po prawicę. Obecnie, mimo że zakładów w Polsce jest ok. 50, to tak warunki dyktują 2–3 koncerny.

ENERGIA I CENY

A wracając do naszych portfeli i tego, co nas czeka w przyszłym roku, to biorąc pod uwagę zapasy w magazynach, ceny na giełdach światowych i zapowiedzi polityków, można niemal ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że więcej będziemy musieli zapłacić m.in.: za prąd, gaz, paliwo, chleb czy warzywa. Co prawda podwyżki cen prądu mają nie dotknąć odbiorców prywatnych, ale więcej zapłacą firmy. Powodem jest m.in. drożejący węgiel, z którego wytwarza się większość energii w Polsce, a także wyższe opłaty za emisję CO_2.

Więcej też płaci się za gaz. Wyższe ceny obowiązują już od sierpnia tego roku, co oznacza, że rachunki osób używających gazu tylko w kuchenkach wzrosną miesięcznie średnio o 57 gr. Ci, którzy używają gazu również na podgrzanie wody, płacą o prawie 3 zł więcej, a ogrzewający mieszkania o jakieś 11 zł.

VAT UDERZY W OŚMIORNICZKI

Za to stosunkowo neutralny wpływ na zasobność naszych portfeli powinny mieć zmiany w wysokości podatku VAT ogłoszone w ubiegłym tygodniu przez resort finansów. Po prostu za jedne produkty zapłacimy więcej, za inne mniej. I tak np. powinny (teoretycznie) stanieć owoce tropikalne, cytrusowe i niektóre orzechy (np. pistacje i migdały), ponieważ VAT na te produkty spadnie z 8 do 5 proc.: paczka 100 g pistacji zamiast 8,49 zł powinna kosztować o 24 gr mniej. Z kolei np. mandarynki, które dziś kosztują 6,10 zł, po zmianach VAT powinny stanieć do 5,93 zł.

Niższy VAT obowiązywać będzie też np. na pieczywo i ciastka. W tej chwili pieczywo i wyroby ciastkarskie objęte są aż trzema stawkami, w zależności od daty przydatności do spożycia (niższy jest dla produktów, które trzeba szybciej zjeść). Resort finansów proponuje teraz, by wszystkie produkty w tej kategorii miały obniżoną stawkę do 5 proc., co w efekcie sprawi, że tańsze o kilkadziesiąt groszy powinny być herbatniki, sucharki czy np. gofry.

Mniej zapłacimy też za książki na wszystkich nośnikach, a głównie e-booki (spadek z 23 proc. do 5 proc.), produkty dla niemowląt i dzieci (spadek z 8 do 5 proc.). I tak np. paczka pampersów, która dziś kosztuje 47,99 zł po obniżce powinna kosztować 46,66 zł.

Więcej natomiast zapłacimy za niektóre przyprawy (np. za kmin, szafran i kurkumę), ponieważ stawka VAT wzrośnie z 5 do 8 proc. A także za lód (stawka wzrośnie z 8 do 23 proc.). To oznacza, że za worek kostek lodowych zapłacimy już nie 3,97 zł, ale 4,75 zł. Istotne podwyżki dotkną również cen homarów, ośmiornic, krewetek, bo 5-procentowa stawki VAT wzrośnie do 23 proc. W efekcie jeśli obecnie za kilogramową paczkę skorupiaków płacimy ok. 86,90 zł, to po zmianie zapłacimy o prawie 12 zł więcej. Dla miłośników owoców morza to smutna wiadomość. No ale cóż. Może trzeba jeść mniej ośmiorniczek, a więcej chleba.

Jadwiga Marcińska

** Nowe stawki mają wejść w życie od 1 stycznia 2020 r. (od 1 kwietnia 2019 r. w odniesieniu do książek, nut, map oraz czasopism).*

40/0918/F, 47/0918/F, 53/0918/F, 49/1018/F, 50/1018/F, 58/1018/F, 35/0818/F, 44/0918/F, 43/0918/F, 46/0918/F, 45/0918/F, 31/0918/F, 8/0918/F, 20/0818/F,

eprasa.pl 3de1d194be

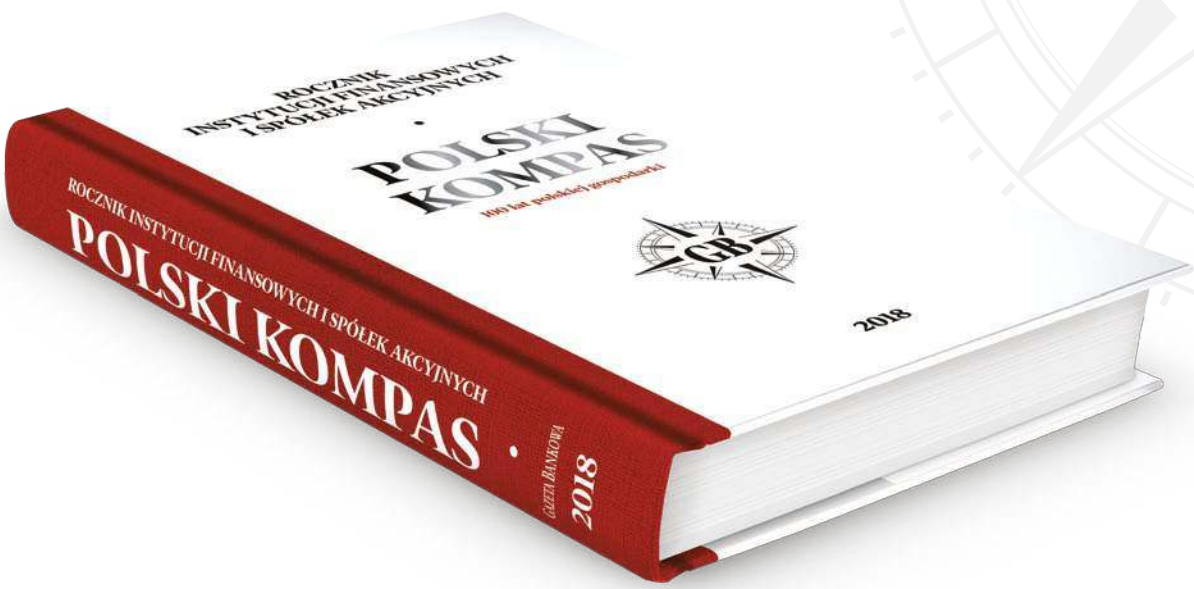
POLSKI KOMPAS 2018

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

NA 100-LECIE POLSKIEJ GOSPODARKI

Publikacja obejmuje swoim zakresem:

- firmy notowane na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych
- podmioty zarejestrowane w Urzędzie Komisji Nadzoru Finansowego
- trendy przedstawione przez dziennikarzy oraz Radę Programową „Gazety Bankowej" – autorytety z różnych dziedzin życia gospodarczego
- analizy gospodarcze przygotowane przez czołowych analityków finansowych oraz ekonomistów w Polsce
- refleksje wybitnych ekspertów na temat przyszłości i rozwoju branż kluczowych dla polskiej gospodarki
- obserwacje i opinie najlepszych menedżerów polskiego świata biznesu o koniecznych zmianach oraz perspektywach rozwoju dla Polski



Publikacja

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na ***gb.pl*** *oraz w* ***App Store*** *i* ***Google Play***

Więcej informacji:

eprasa.pl 3de1d194be

Wierzymy, że rocznik wzorowany na podobnych wydawnictwach francuskich, niemieckich i innych wypełni dotkliwą lukę w życiu ekonomicznem, któremu brak koniecznej dziś orientacji, a stanie się niezbędnym podręcznikiem w codziennej pracy spółek akcyjnych, wszystkich instytucyj i osób, które biorą udział w życiu gospodarczem Polski.

„Gazeta Bankowa" R. 1 (1921) nr 20 — 15/17

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA

PATRONAT HONOROWY:

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Ministerstwo Cyfryzacji

MINISTERSTWO ENERGII

Ministerstwo Finansów

MGMiŻŚ Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY:

accenture

PARTNERZY GŁÓWNI:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

KGHM Polska Miedź

Polskie Linie Lotnicze LOT

LOTOS

PPL Porty Lotnicze

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY:

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Fundacja Narodowego Dnia Życia

GPW

PGNiG

Poczta Polska

PARTNER WSPIERAJĄCY:

SALTUS UBEZPIECZENIA

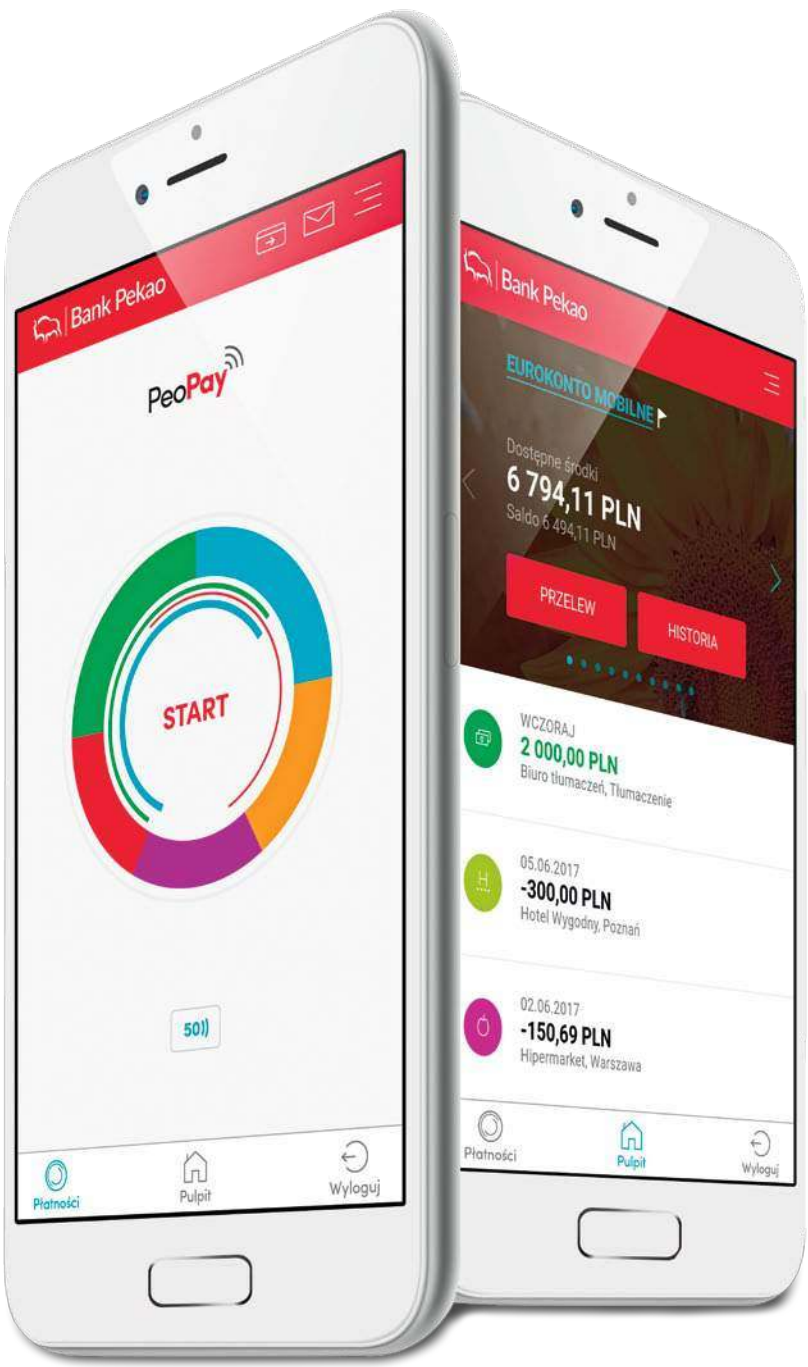
PARTNER TECHNOLOGICZNY:

orange

eprasa.pl 3de1d194be

Nowocześnie, komfortowo, szybko i bezpiecznie

Współczesne „bankowanie”... Tak wiele zmieniło się w ciągu ostatnich kilku lat. Trudno wyliczać kolejne nowinki, ale droga, jaką wspólnie przeszliśmy my, klienci, pod rękę z naszym bankiem, to technologicznie niemal lata świetlne. Kto jeszcze pamięta, jak do założenia rachunku bankowego konieczne były wizyta w placówce, gruba teczka dokumentów, liczne podpisy. Dzisiejsze technologie upraszczają procedury do minimum. Jeszcze w tym roku nowi klienci banku Pekao SA będą mogli założyć konto zdalnie – za pomocą... selfie



Polskie banki mocno inwestują w digitalizację. Nie tylko dlatego, że w ten sposób realizują własne biznesowe cele czy też mogą oferować swoim klientom coraz doskonalsze rozwiązania. Przyświeca im również szersza idea przyspieszenia rozwoju gospodarczego Polski: poprzez aktywne wspieranie cyfryzacji społeczeństwa oraz rodzimych przedsiębiorstw.

– O ile banki w Polsce są bardzo zaawansowane w aktywności pod kątem cyfryzacji, banki zachodnioeuropejskie często uczą się od nas nowych technologii, o tyle w dalszym ciągu zauważamy, że w odniesieniu

eprasa.pl 3de1d194be

do małych i średnich firm, także większych firm oraz naszych klientów, cyfryzacja powinna być dużo mocniej wdrożona – mówi prezes Banku Pekao SA Michał Krupiński

Aby przyspieszyć proces cyfrowej transformacji polskiej gospodarki, Bank Pekao razem z Microsoftem podpisał porozumienie o strategicznym partnerstwie. Firmy chcą wspólnie wypracować zarówno rozwiązania cyfrowe dla klientów Banku Pekao, jak i rozwinąć program edukacyjny w zakresie digitalizacji skierowany do dzieci i młodzieży. Na razie kilkanaście inicjatyw projektów w zakresie produktów i usług przechodzi fazę testów. Te najbardziej obiecujące wzbogacą ofertę bankową Pekao SA.

Wspólna inicjatywa Banku Pekao SA i Microsoftu to także dowód na to, że projekty badawczo-rozwojowe są doskonałym sposobem na poszukiwanie, wybór i implementację najlepszych rozwiązań w biznesie. Cyfryzacja jako nauka nie jest oderwanym od rzeczywistości bujaniem w obłokach, ale służy udoskonalaniu naszego codziennego życia.

– Cieszę się, że dochodzi do porozumienia między Pekao a Microsoftem, tym bardziej że treścią tego porozumienia są projekty edukacyjne, które dotyczą zarówno studentów, ale w jakiś sposób też kształcenia małych i średnich przedsiębiorców. Odbiorcy, klienci muszą nadążać za zmianami technologicznymi – powiedział dr Piotr Dardziński, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego.

To prawda: gonimy Europę. Wyścig związany z digitalizacją już się zaczął i to, że polskie banki są gotowe w nim startować i wygrywać, jest bardzo ważne.

Polskie rozwiązania zaczynają przyciągać uwagę zagranicznych ekspertów. Kilka tygodni temu aplikacja bankowości mobilnej Banku Pekao SA została wyróżniona prestiżową nagrodą EFMA-Accenture Distribution & Marketing Innovation Awards 2018. Międzynarodowe jury uznało PeoPay za najlepszą innowację na świecie w roku 2018, wybierając ją spośród kilkudziesięciu zgłoszeń z całego globu.

– Bank Pekao SA całkiem niedawno rozpoczął dynamiczne prace nad cyfrową transformacją swoich usług. Po zaledwie kilkunastu miesiącach intensywnych działań pod kątem innowacji już możemy się porównywać z największymi instytucjami finansowymi na świecie. Tak prestiżowa nagroda jest dla nas potwierdzeniem, że stajemy się liderem digitalizacji w polskim sektorze bankowym – powiedział Michał Krupiński, prezes Banku Pekao SA.

PeoPay to młoda aplikacja. Bank Pekao SA udostępnił ją swoim klientom zaledwie rok temu. Wśród ekspertów zwróciła uwagę swoją wielofunkcyjnością, wykorzystaniem danych biometrycznych do logowania i akceptacji transakcji oraz wielowalutowością, czyli możliwością dokonywania transakcji płatniczych bezpośrednio z konta w różnych walutach bez ponoszenia dodatkowych kosztów. Organizatorzy konkursu docenili również możliwość dokonywania płatności zbliżeniowych telefonem bez konieczności fizycznego posiadania karty. Dodatkowo jako jedyny bank w Polsce Pekao wdrożyło usługę ApplePay niewymagającą posiadania fizycznie karty płatniczej, wystarczy karta wygenerowana w aplikacji PeoPay.



Przedstawiciele Banku Pekao SA odebrali nagrodę za wyjątkową bankowość mobilną „PeoPay mobile banking application" na uroczystej gali 17 października w Lizbonie

– Nowa bankowość mobilna i jej innowacyjne możliwości tworzyliśmy, patrząc oczami klientów. Jesteśmy szczęśliwi, że dostarczamy rozwiązań zyskujących uznanie zarówno w Polsce, jak i na świecie. Takie momenty potwierdzają, że nasza strategia przynosi znakomite efekty – powiedział Marek Tomczuk, wiceprezes Banku Pekao SA nadzorujący Pion Bankowości Detalicznej.

Nagroda w kategoria Phygital Distribution & Experience, w której zwyciężył Bank Pekao SA, powstała po to, by poszukiwać rozwiązań najlepiej łączących bankowość tradycyjną z elektroniczną. A taka właśnie jest aplikacja PeoPay: umożliwia dokonywanie np. płatności w terminalach zbliżeniowych w sklepach stacjonarnych, ale także logowanie i autoryzację transakcji za pomocą odcisków palców lub Face ID.

– PeoPay jest nowoczesną aplikacją bankowości mobilnej, która powstała z myślą, by spełniać rosnące oczekiwania klientów. Dlatego jako pierwsi w Polsce zdecydowaliśmy się na wykorzystanie w aplikacji biometrii do akceptacji transakcji. Z kolei rosnąca liczba klientów podróżujących za granicę była impulsem do wprowadzenia unikatowego rozwiązania umożliwiającego wygodne płatności telefonem z rachunków walutowych bez dodatkowych przewalutowań – wyjaśnia Bartosz Zborowski, dyrektor Innowacji i Płatności w Banku Pekao SA.

Bank Pekao SA kontynuuje program cyfrowej transformacji. Rozwija rozwiązania biometryczne, jak choćby nową metodę zakładania rachunków bankowych, dzięki której można będzie zrobić to zdalnie za pomocą tzw. selfie. Właśnie startuje pilotaż tej usługi: samoobsługowa weryfikacja tożsamości odbywa się na bazie biometrii twarzy oraz zdjęć dowodu osobistego.

– Bank Pekao SA z sukcesem wdrożył wiele projektów, które rewolucyjnie zmieniają relacje klientów z bankiem. Nie zwalniamy tempa i kontynuujemy program cyfrowej transformacji. Realnie stajemy się liderem digitalizacji w polskim sektorze bankowym – mówi prezes banku Michał Krupiński.

Anna Raciniewska

36/1018/F

eprasa.pl 3de1d194be

Nowy sposób na kumulację kapitału

Funkcjonujące obecnie formy oszczędzania w ramach tzw. III filaru zostaną uzupełnione od lipca 2019 r. nową formą gromadzenia kapitału na przyszłość – Pracowniczymi Planami Kapitałowymi

System emerytalny wprowadzony od stycznia 1999 r. został oparty na trzech formach oszczędzania, dlatego jest nazywany potocznie systemem trójfilarowym. Fundusz Ubezpieczeń Społecznych – FUS (tzw. I filar) i Otwarte Fundusze Emerytalne – OFE (tzw. II filar) były obowiązkowe, ten drugi dla osób urodzonych po 1968 r. Natomiast trzecią formę dobrowolnego oszczędzania, tzw. III filar, wprowadzano sukcesywnie i do tej pory nie było obowiązku dodatkowego odkładania pieniędzy na cele emerytalne.

Uwarunkowania psychologiczne i społeczne wpływają na postrzeganie okresu emerytalnego przez ludzi w różnym wieku. Mimo wprowadzenia nowego systemu emerytalnego 20 lat temu do końca września 2018 r. niewiele ponad 2 mln osób (12,4 proc. spośród opłacających składki na ubezpieczenia społeczne) aktywnie odkładało pieniądze na emeryturę w ramach tzw. III filaru.



Fot. Shutterstock | 45/1018/F

FILARY WYMAGAJĄCE WZMOCNIENIA

Indywidualne Konta Emerytalne (IKE) działające od 2004 r. miały być formą finansowego pospolitego ruszenia Polaków, pomysłem na kumulowania kapitału na dostatnią emeryturę. Wpłaty na tę formę oszczędzania mają corocznie wyznaczony limit – to trzykrotność przeciętnego prognozowanego wynagrodzenia miesięcznego w gospodarce narodowej na dany rok (4443,00 zł brutto w 2018 r.). Wpłaty są niezależne od dochodów uczestnika, a zyski osiągane z tych środków zwolnione z podatku od zysków kapitałowych o stawce 19 proc. (tzw. podatku Belki).

W przypadku Indywidualnych Kont Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE) działających od 2012 r. limit wpłat wynosi 1,2-krotność przeciętnego prognozowanego wynagrodzenia miesięcznego w gospodarce narodowej na dany rok. Zyski są również zwolnione z tzw. podatku Belki. Wpłaty na ten cel można odliczyć od podstawy opodatkowania.

IKE oraz IKZE mogą być zakładane przez osoby fizyczne, które ukończyły 16 lat.

Obie te formy oszczędzania mogą być oferowane przez różne podmioty: TFI, banki, Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie, domy maklerskie i Powszechne Towarzystwa Emerytalne (PPE).

Pracownicze Programy Emerytalne (PPE), najwcześniejsza forma trzeciofilarowego oszczędzania wprowadzona wraz z reformą emerytalną w 1999 r. (kilkakrotnie modyfikowane), mimo wpłat przez pracodawcę nie stały się powszechną formą dodatkowego oszczędzania na emeryturę. Dziś tylko ok. 2,5 proc. pracowników ma ten produkt kumulowania kapitału (niecałe 400 tys. pracujących). Eksperci podkreślają, że istotną przeszkodą w uczestnictwie w PPE jest ograniczenie możliwości gromadzenia pieniędzy przez osoby, które zmieniają zatrudnienie i przechodzą do innego pracodawcy, u którego nie funkcjonuje taki program. Tacy zatrudnieni, mimo że u poprzedniego pracodawcy mogli wpłacać tzw. składkę dodatkową, u nowego tracą prawo do jakiejkolwiek formy oszczędzania w PPE (nawet jeśli dotychczas zgromadzone w programie środki zdecydują się tam pozostawić

eprasa.pl 3de1d194be

i stają się biernymi uczestnikami programu do czasu przejścia na emeryturę).

Po latach okazało się, że wspomniane trzy formy długoterminowego oszczędzania mają różne ograniczenia, których nie pokonali ani ustawodawca, ani Polacy, myśląc o swojej emeryturze.

DOBRY MOMENT NA ZMIANY

Jak podkreślają eksperci, nie tylko związani z obecnym rządem, skumulowały się w polskiej gospodarce trzy pozytywne czynniki, pozwalające na ponowną korektę systemu emerytalnego wprowadzonego w 1999 r.

Demografia. W najbliższych 20–25 latach powojenny wyż wkroczy w wiek poprodukcyjny – nastąpi „wysyp" pracowników uprawnionych do świadczeń emerytalnych. Przez większość prognozowanego okresu (do 2055 r.) liczba ludności w Polsce w wieku poprodukcyjnym będzie wzrastać. Dopiero od 2056 r. demografowie spodziewają się spadku liczby populacji w wieku poprodukcyjnym („Prognoza demograficzna GUS na lata 2008–2035").

Indywidualne oszczędności. Mimo funkcjonowania od stycznia 1999 r. repartycyjno-kapitałowego systemu emerytalnego w Polsce mamy jeden z najniższych poziomów oszczędności na cele emerytalne. Wprowadzenie efektywnego i powszechnego systemu gromadzenia kapitału staje się koniecznością. Na przykład w Danii aktywa ogółem w programach emerytalnych (liczone jako proc. PKB) w 2016 r. wyniosły 209 proc., a w Polsce zaledwie 9 proc. (dane za Polskim Funduszem Rozwoju).

Wzrost gospodarczy. Jak wynika z danych GUS dotyczących wzrostu gospodarczego w Polsce, obecnie mamy optymalny okres do wprowadzenia powszechnego systemu oszczędzania. Badania tego urzędu wskazują na zdecydowaną poprawę sytuacji materialnej gospodarstw domowych, z których ponad 80 proc. gromadzi nadwyżki finansowe. Przeciętny miesięczny dochód na jedną osobę w gospodarstwach domowych wyniósł do 1600 zł (2017 r.), a w 2003 r. było to ok. 700 zł.

Czynniki społeczno-gospodarcze Polski analizowane przez OECD oraz Bank Światowy pozwoliły tym instytucjom na rekomendowanie wprowadzenia w naszym kraju dodatkowej formy oszczędzania. Sugestia tych instytucji jest czytelna: ma to być automatyczny zapis (każda osoba płacąca składkę powinna zostać włączona do nowej formy oszczędzania); wskazane jest też wprowadzenie zachęt podatkowych jako dodatkowego bodźca do oszczędzania i akceptacji uszczuplenia możliwości bieżącej konsumpcji.

> Wpłaty na indywidualne konto PPK będą pochodzić z trzech źródeł: od pracownika, pracodawcy oraz od państwa, co czyni PPK najatrakcyjniejszym obecnie sposobem oszczędzania na cele emerytalne

PIENIĄDZE Z TRZECH ŹRÓDEŁ

W powyższe rekomendacje wpisuje się propozycja rządu wprowadzenia Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK). Senat Rzeczypospolitej Polskiej 26 października 2018 r. przyjął ustawę o Pracowniczych Planach Kapitałowych – trafiła na biurko prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jeśli podejmie on decyzję o podpisaniu ustawy, PPK będą stopniowo wprowadzane we wszystkich przedsiębiorstwach, począwszy od lipca 2019 r. do stycznia 2021 r., włączając do oszczędzania ok. 11,5 mln pracowników.

W wyjątkowych okolicznościach fundusze zgromadzone na rachunku PPK będzie można wypłacić przed osiągnięciem 60. roku życia: część środków w sytuacji poważnej choroby uczestnika lub jego najbliższych, całość – by pokryć wkład własny przy zaciągnięciu kredytu na zakup mieszkania lub budowy domu.

W myśl ustawy wpłaty na indywidualne konto PPK będą pochodzić z trzech źródeł: od pracownika, pracodawcy oraz od państwa, co czyni PPK najatrakcyjniejszym obecnie produktem oszczędzania na cele emerytalne.

Do PPK będzie obowiązywać tzw. automatyczny zapis osób zatrudnionych w wieku od 18 do 55 lat (powyżej tego wieku pracownik samodzielnie składa wniosek o przystąpienie do programu).

Pracownik będzie miał możliwość odstąpienia od udziału w PPK, podpisując specjalne oświadczenie o rezygnacji z dokonywania wpłat do PPK oraz związanych z tym korzyści.

Co warto podkreślić, PPK to system kapitałowy, który nie jest częścią systemu emerytalnego, dlatego oszczędności na koncie pracownika są prywatne, mogą być w każdej chwili wypłacone oraz są dziedziczone.

Osoba oszczędzająca w ramach PPK będzie mogła swobodnie korzystać ze zgromadzonych środków na swoim rachunku po osiągnięciu 60. roku życia – bez względu na status aktywności zawodowej. Po ukończeniu 60 lat uczestnik PPK będzie mógł sam zdecydować, jak zamierza skorzystać ze zgromadzonych środków. Przede wszystkim można je dalej odkładać w PPK.

Pracownik może skorzystać z domyślnej formy wypłaty: jednorazowo wypłacić 25 proc. środków, a resztę wypłacać co miesiąc przez 10 lat (wypłata w tej formie będzie zwolniona od podatku od zysków kapitałowych, ma to zachęcić pracowników do wypłaty zgromadzonych środków przez dłuższy okres przebywania na emeryturze).

Pracownik może również wskazać dowolną kwotę do wypłaty jednorazowej, a pozostałe środki wypłacać w dowolnej liczbie rat. Może jednorazowo wypłacić całość oszczędności, ale jest ważne zastrzeżenie: jednorazowa wypłata powyżej 25 proc. środków i skrócenie okresu wypłat poniżej 10 lat będzie skutkować koniecznością zapłaty należnego podatku od zysków kapitałowych o stawce 19 proc.

Za tydzień kolejny odcinek cyklu: jak PPK wpłyną na gospodarkę i giełdę

Małgorzata Dygas

eprasa.pl 3de1d194be

Polska uniezależnia się od dostaw gazu z Rosji



fot. PGNiG 30/1118/F

Już od przyszłego roku Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo będzie sprowadzać regularnie do naszego kraju skroplony gaz ziemny z USA. Spółka podpisała w ostatnim czasie trzy kontrakty, które znacznie przyczynią się do zróżnicowania importu surowca do Polski

PGNiG zawarło umowy z dwoma amerykańskimi partnerami w odstępie dwóch miesięcy. 8 listopada 2018 r. spółka zawarła kontrakt z firmą Cheniere Marketing International, a kilka tygodni wcześniej – dwa kontrakty ze spółkami Venture Global LNG. To pierwsze wieloletnie umowy na zakup amerykańskiego skroplonego gazu ziemnego dla Polski i pierwsze takie kontrakty zawarte w Europie Środkowej.

– Umowy z naszymi amerykańskimi partnerami są najlepszym przykładem na to, że można prowadzić zyskowną działalność biznesową, współpracować ze sprawdzonymi partnerami, a jednocześnie zapewniać bezpieczeństwo energetyczne państwa – powiedział Maciej Woźniak, wiceprezes zarządu PGNiG SA ds. handlowych. – Dzięki zawartym kontraktom będziemy dysponowali regularnymi i coraz większymi dostawami skroplonego gazu ziemnego z USA już od 2019 r. Jego udział w naszym portfelu importowym stale rośnie. Prężnie rozwijający się światowy rynek gazu skroplonego pozwala nam wybrać najlepsze oferty w tym segmencie – dodał.

Pierwsze ładunki gazu ziemnego w ramach wieloletniego kontraktu z Cheniere przypłyną do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu już w 2019 r.

eprasa.pl 3de1d194be

Cheniere to obecnie największy sprzedawca skroplonego gazu ziemnego w USA, a metanowce (statki z gazem skroplonym) wypływają z terminalu skraplającego w Sabine Pass w Luizjanie. Amerykańska spółka na dniach otwiera także drugi terminal skraplający w Corpus Christi w Teksasie. Oba terminale położone są na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej.

Do 2022 r. łączny wolumen dostaw z Cheniere w ramach tego kontraktu wyniesie ok. 0,7 mld m³ gazu po regazyfikacji. Natomiast w latach 2023–2042 łączny wolumen importu wyniesie ok. 39 mld m³ gazu po regazyfikacji – co oznacza, że od 2023 r. przez 20 kolejnych lat PGNiG co roku zakupi od Cheniere ok. 1,95 mld m³ gazu po regazyfikacji.

Z kolei Venture Global LNG sprzeda do PGNiG gaz skroplony z przygotowywanych do budowy terminali skraplających w Calcasieu Pass i Plaquemines w Luizjanie nad Zatoką Meksykańską. Terminale te rozpoczną działalność odpowiednio w 2022 i 2023 r.

Umowy z Venture Global LNG przewidują zakup przez PGNiG amerykańskiego gazu skroplonego od 2023 r. przez 20 lat w ilości ok. 54 mld m³ gazu po regazyfikacji. To znaczy, że każdego roku PGNiG będzie odbierać łącznie ok. 2,7 mld m³ gazu po regazyfikacji.

Dla porównania roczne wydobycie gazu ziemnego w Polsce jest bliskie 4 mld m³, a roczne zużycie gazu w Polsce wyniosło w 2017 r. ok. 17 mld m³.

Kontrakt z Cheniere zawarty został z formułą zakupową DES (delivered-ex-ship), co oznacza, że PGNiG odbierze gaz skroplony dopiero w terminalu w Świnoujściu, a wszystkie ponoszone wcześniej koszty (np. transportu) oraz ryzyka pozostają po stronie sprzedawcy. PGNiG może także zlecić dostawcy transport danego ładunku do innego terminalu.

Natomiast w kontraktach z Venture Global LNG formuła zakupowa to FOB (free on board), co oznacza, że PGNiG odbierze gaz skroplony już w terminalu skraplającym w USA i samodzielnie zadba o jego transport. Taka formuła daje PGNiG możliwość swobodnego dysponowania dalszym losem zakupionego surowca. To znaczy, że PGNiG – w zależności od potrzeb – kupiony ładunek amerykańskiego gazu skieruje albo do Świnoujścia, albo odsprzeda go do innego zainteresowanego terminalu odbiorczego, np. w Azji. Dalsza odsprzedaż takiego ładunku będzie prowadzona m.in. przez biuro handlowe PGNiG w Londynie.

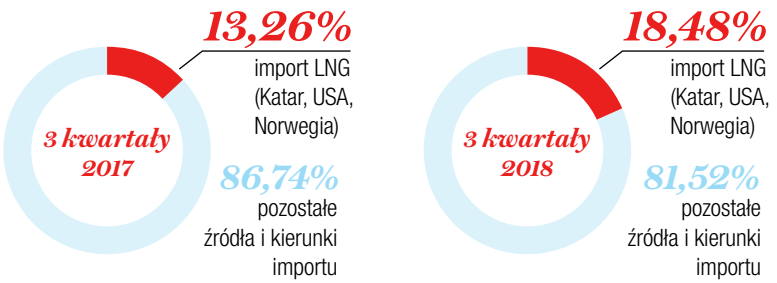
Od czerwca 2016 r., kiedy rozpoczął działalność Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, skroplony gaz ziemny dociera już do Polski metanowcami z Kataru – obecnie średnio dwa razy w miesiącu – na bazie kontraktu wieloletniego z Qatargas zawartego do 2034 r. Jesienią 2017 r. PGNiG podpisało średnioterminową piecioletnią umowę na dostawy amerykańskiego gazu skroplonego do Polski z brytyjską grupą Centrica. A niedawno podpisane kontrakty z Cheniere i Venture Global są pierwszymi w Europie Środkowej wieloletnimi umowami na zakup LNG w USA.

Do Świnoujścia kilkakrotnie zawijały już także metanowce z gazem LNG z Norwegii, a w czerwcu 2017 r. przypłynął do Polski ładunek LNG zakupiony od Cheniere. Była to pierwsza w historii dostawa amerykańskiego gazu skroplonego do kontynentalnej Europy Północnej i Środkowej. Te ładunki były kupowane w ramach tzw. umów spotowych. Takie zakupy pojedynczych ładunków skroplonego gazu ziemnego to wynik skutecznego poszukiwania okazyjnych ofert sprzedaży przez biuro PGNiG w Londynie.

Dzięki możliwości nabywania surowca z różnych kierunków i od różnych dostawców kupowany gaz może być tańszy, bo dostawcy konkurują między sobą o klienta. Wielu dostawców to także zwiększone bezpieczeństwo dostaw, a tym samym wyższe bezpieczeństwo energetyczne polskiej gospodarki, dla której wciąż większość dostaw pochodzi od dominującego dostawcy z Rosji.

Biorąc pod uwagę dotychczas zawarte kontrakty średnio i długoterminowe oraz tzw. transakcje spotowe, rośnie nie tylko ilość bezwzględna gazu LNG importowanego do Polski – z wyraźnym zwiększeniem zakupów od 2022 r. – lecz także udział procentowy gazu sprowadzanego statkami w ogólnej strukturze importu gazu do Polski. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy tego roku skroplony gaz ziemny stanowił już prawie 20 proc. całego importu gazu przez PGNiG.

Tak rośnie import LNG do Polski



Co to jest LNG?

Zanim gaz ziemny wyruszy w rejs po świecie, musi zostać skroplony – czyli schłodzony do temperatury minus 162°C, dzięki czemu jego objętość zmniejsza się aż 600-krotnie. Skraplanie odbywa się w terminalu skraplającym. LNG (liquefied natural gas), czyli właśnie skroplony gaz ziemny, transportowany jest następnie drogą morską statkami nazywanymi metanowcami. W Polsce metanowce przybijają do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, gdzie następuje ich rozładunek. Następnie w instalacjach terminalu po ogrzaniu gaz ziemny odzyskuje lotny stan skupienia i wtłaczany zostaje do polskiej sieci gazociągów przesyłowych oraz dystrybucyjnych. LNG może być również przelany do kriogenicznych cystern samochodowych bez ogrzania i następnie przewieziony do najdalszych zakątków Polski i Europy, gdzie w lokalnych stacjach regazyfikacji po ogrzaniu trafia do lokalnych sieci gazociągów.

eprasa.pl 3de1d194be

MIŁKA RAULIN **NAJMŁODSZA POLSKA ZDOBYWCZYNI KORONY ZIEMI**

Zielone tęsknoty w drodze na szczyt



Z urodzenia jestem gdynianką, z pochodzenia Kaszubką, z zawodu i wykształcenia – inżynierem trakcji elektrycznej, czyli kolejarzem. Najważniejszą funkcją w moim życiu jest bycie mamą 12-letniego Jeremiego, a z wielkiej pasji od kilku lat wspinam się na najwyższe szczyty. W maju tego roku weszłam na Mount Everest i tym samym zdobyłam Koronę Ziemi [dziewięć najwyższych szczytów leżących na siedmiu kontynentach – dop. red.].

Od kiedy pamiętam, doskonalę umiejętność realizowania marzeń. Można powiedzieć, że wyspecjalizowałam się w tej dziedzinie. Jeśli byłby taki zawód jak realizator marzeń, to ja w nim pracuję. „Pracuję" jest ważnym słowem: podkreśla własny wkład, determinację, planowanie, skuteczność, ale bez marzeń nie weszłabym – dosłownie – na szczyty [opowiada o tym także książka „Siła Marzeń, czyli jak zdobyłam Koronę Ziemi" – dop. red.].

Dzieciństwo kojarzy mi się z... brakiem. W naszej rodzinie nie było wielu rzeczy, nie jeździliśmy na wakacje, nie było rowerów. Myślę, że właśnie te braki spowodowały, iż stałam się taką, a nie inną osobą. Jestem wdzięczna za wszystko, co się w moim życiu wydarzyło, do czego doszłam. Każda trudność powodowała, że nabierałam większej sprawności w pokonywaniu przeszkód; stawałam się silniejszym człowiekiem.

Z domem, dzieciństwem chyba najbardziej – smakowo – kojarzą mi się ziemniaki. W każdej możliwej formie: gotowane, podsmażane, frytki, placki. Lubię ziemniaki, ale wiele tysięcy metrów nad ziemią tęskniłam za świeżymi warzywami: sałatą, pomidorem, ogórkiem.

W niższych obozach można jeszcze liczyć na wysokoenergetyczne gotowane pasty, ryż czy ziemniaki. Na Mount Evereście pierwszy basecamp znajdował się na wysokości 5 300 m n.p.m., drugi – na 6 500 m n.p.m. Na kolejne etapy wspinaczki zabiera się produkty liofilizowane (wysokokaloryczny proszek głównie z ryżem lub makaronem), który zalewa się wodą pozyskaną z lodowca.

Większość produktów liofilizowanych pozbawia przyjemności jedzenia, ale te, które spożywałam w Stanach, w czasie wejścia na Denali (6 194 m n.p.m.), dosłownie pochłaniałam. Dało się w nich wyczuć warzywa, były dosłownie ich cząstki.

Wspinając się, trzeba jeść. Na każdej wysokości. Z tym że w pewnym momencie organizm zaczyna się buntować. Powyżej 7–8 tys. m n.p.m. zostają czekolada, batony, żelki, szybko dostarczające cukrów. Niektórzy zabierają też... chipsy, jedzenie śmieciowe, ale z dużą ilością soli, którą w czasie wysiłku się traci.

Od trzeciego obozu, czyli 7 tys. m n.p.m., wspina się już z maską tlenową na twarzy. Tlen nie ma smaku, ale pobudza i ożywia jak kawa.

Po zejściu z Mount Everestu pierwszą rzeczą, na którą dosłownie się rzuciłam, była sałata. I jeszcze dobra kawa. A pierwszy posiłek w Polsce, z synem... Hm. To chyba była pizza i też sałatka.

Jolanta Gajda-Zadworna



Zielona sałata z gruszką

(przepis ze strony Smaczny.pl)

Składniki: Sałatka: 15 dag mieszanki sałat, 15 dag gruszki, sok z cytryny, 10 dag zielonego ogórka, 2 dag pora, ½ pęczka szczypiorku. **Miodowy dressing:** 1½ łyżki oleju, kilka kropel miodu, szczypta cynamonu i gałki muszkatołowej, sól i pieprz czarny do smaku. Ewentualnie rzeżucha

Wykonanie: Miks sałat przełożyć do miski. Dodać gruszki (obrane ze skórki, pokrojone w kostkę i skropione sokiem z cytryny), pokrojonego w kostkę ogórka (w skórce), pociętego w paski pora i posiekany szczypiorek. Polać miodowym sosem. Wymieszać, odstawić na ok. 10 minut. Znów wymieszać, posypać rzeżuchą i podać na stół.

Fot. Bartosz Krupa/East News, Shutterstock

eprasa.pl 3de1d194be

SŁODKO-SŁONY

Na pożegnanie

ANNA MONICKA

Ostatnia wyprawa na grzyby – słońce, las jeszcze zielony, przymrozków nie było. Trzeba skorzystać i ruszyć między drzewa. U mnie, w Puszczy Słupeckiej, bez sukcesów. Najpiękniejsza wydma, porośnięta starymi sosnami, przy której jeszcze nie tak dawno zbieraliśmy z mężem gąski i prawdziwki – zupełnie rozjeżdżona przez dzikusów szalejących na quadach. Jeden nawet nadjechał, gdy spacerowaliśmy z kijkami po obrzeżu lasu, ale kiedy zobaczył dzieci – wycofał się taktownie. Nie można tego było niestety powiedzieć o wycieczce ze srebrnej terenówki. Towarzystwo raczyło się piwem, kotłowało papierosy i wyrzucało pety w piasek. Rozryte oponami grzybnie pewnie już nigdy niczego nie urodzą.

U mojej mamy, kilkanaście kilometrów dalej, wycieczki miejskiej młodzieży docierają zdecydowanie rzadziej. Za Serockiem lasy są mniej zaśmiecone (u mnie szklane i plastikowe butelki można wynosić worami na odpady budowlane) i więcej w nich zwierzaków. A grzyby rosną nawet na poboczach. Z zazdrością słucham doniesień, że właśnie rodzice zebrali na porannym spacerze koszyczek rydzów i zajadają je smażone na masełku. Wczoraj mama dzwoniła, że mają opieńki. One lubią rosnąć późną jesienią, a zbieranie ich jest wielką frajdą. Natkniesz się na jedną rodzinę i masz pełny koszyk. Dwie czy trzy kolonie – to już rozpusta, która wymaga zaproszenia gości.

Nie wszyscy je potrafią odróżnić, bo na pierwszy rzut oka przypominają psianki. Mają jednak na brunatnych kapeluszach specyficzne łuski i charakterystyczny orzechowy zapach. Poza tym rosną na drzewach (a w zasadzie pasożytują) albo ściętych pniach.

Najlepsze są w sosach i zupach, choć w mojej rodzinie są smakosze, którzy uważają, że to idealne dary lasu do marynowania.

Jak je robimy? Przede wszystkim obgotowujemy przez parę minut. Potem odcedzamy na sicie i działamy dalej – albo kroimy, podsmażamy z cebulką i dodajemy do zupy zacierkowej albo ziemniaczanej, albo doprawiamy śmietaną i zajadamy z makaronem lub ziemniakami w mundurkach. Pięknie pachnącymi opieńkami wzbogacimy wszelkie pieczone mięsa. Pasują zwłaszcza do delikatnej indyczyny i kurczaka.

To było smakowite pożegnanie ze złotą jesienią.





WILCZYM OKIEM

Wzór wszechświata

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy wśród różnorodności życia tak wielkiej, że nie potrafimy jej ogarnąć, można odnaleźć wzór, który określałby, jak rosną rośliny, w jaki sposób rozprzestrzeniają się ludzkie naczynia krwionośne i włókna układu nerwowego, według jakiego schematu układają się nasiona słonecznika, a jak rozwijają się przypominające pastorał młode liście paproci? Wzór, który pozwalałby opisać zarówno skręty muszli łodzika – głowonoga z głębin Indopacyfiku, jak i spirale rogów pirenejskiego koziorożca?

Istnieje zasada uniwersalna tak dalece, że stosuje się do niej nie tylko natura, lecz także sztuka czy architektura – świadomie albo na skutek wewnętrznego przeczucia artysty. Piętnaście wieków po tym, jak Arystoteles stwierdził, że „matematyka jest miarą wszystkiego", średniowieczny matematyk Fibonacci z Pizy odkrył zasadę, która precyzyjnie opisuje niezliczone zjawiska i przejawy życia. Ciąg Fibonacciego to ciąg liczb naturalnych, w którym pierwszą jest 0, następną 1, a każda z kolejnych stanowi sumę dwóch poprzednich: 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13... Przestrzeganie proporcji wyznaczonych przez ten wzór budzi w nas poczucie harmonii i obcowania ze Stwórcą – czy może być bardziej dobitny dowód na to, że istotnie opisuje jedną z tajemnic życia?

Przykłady obecności zasady opisanej przez ciąg Fibonacciego są niezliczone i bardzo zróżnicowane: jeżeli narysuje się prostokąt i podzieli go na mniejsze prostokąty, stosując proporcje ustalone przez ciąg Fibonacciego, będzie można wrysować w niego poszczególne części ludzkiego profilu: kolejne części ucha, całą małżowinę, mózgoczaszkę i całą głowę. Tak samo podzielić możemy kolejne przyrosty muszli ślimaka zatoczka, pełzającego po biebrzańskich bagnach, lub opisać dynamikę wzrostu roślin, przejawiającą się w kolejnych podziałach komórek merystemu wierzchołkowego, czyli tkanki twórczej znajdujące się na końcach korzeni i pędów.

A jeżeli w sklepie warzywnym lub na talerzu natrafimy na pięknego, ozdobnego, zielonego kalafiora, nazywanego „romanesco" – przyjrzyjmy mu się uważnie – różyczki, z których zbudowany jest ten jadalny kwiat, również układają się zgodnie z ciągiem Fibonacciego.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 3de1d194be

PIOTR SKWIECIŃSKI

Oni naprawdę ciężko pracują

Zdarzają się ludzie, dla których receptą na brak entuzjazmu jest zmuszanie do entuzjazmu, no bo jak się kogoś do entuzjazmu zmusi, to przecież już będzie entuzjastyczny. Żadne środowisko nie jest wolne od takich groteskowych postaw, ale bywają takie, w których są one częstsze niż gdzie indziej.

Szczególnie zabawna jest pod tym względem formacja euroentuzjastów; tam w zasadzie chyba nie ma osób wolnych od tej patologii, a w każdym razie takie osoby nie dają o sobie znać. Nieco to dziwi, bo przecież jest wśród nich wielu ludzi inteligentnych. Można jednak łatwo wytłumaczyć ten paradoks, jeśli przestaniemy rozpatrywać euroentuzjazm w kategoriach racjonalnego pomysłu na urządzenie rzeczywistości, a zaczniemy postrzegać go jako wiarę. I to wiarę o charakterze sekciarskim. Wtedy wszystko zaczyna się układać logicznie – dla sekciarza jego religia jest bowiem oczywistością, jest więc dla niego jasne, że nawet jeśli ktoś tej oczywistości nie pojmuje, to jeśli nie jest opętany przez zło ani skrajnie głupi, znajduje się na granicy jej zrozumienia. I wystarczy troszeczkę go popchnąć, a zrozumie.



Euroentuzjaści mogą doprowadzić do tego, że wściekłe na nich narody wyleją dziecko z kąpielą i odrzucą cały projekt europejski

Te refleksje przychodzą mi do głowy, gdy słyszę o rozmaitych pomysłach mających skłonić Europejczyków do uznania się przede wszystkim za Europejczyków właśnie, a dopiero w drugiej kolejności za członków tradycyjnych, tworzących rzeczywistość kulturową kontynentu narodów. Jak np. o powracającej idei zmiany sposobu wyboru Parlamentu Europejskiego – Europejczycy mieliby już nie wybierać jak dziś swoich narodowych deputowanych, tylko niezależnie od narodowości głosować na listy europejskich partii – chadecji czy socjalistów. W ten prosty sposób zyskają tożsamość europejską i powołanie europejskiego państwa stanie się dla nich czymś oczywistym.

Rzecz jasna efekt byłby dokładnie odwrotny. Europejski proces polityczny stałby się dla przeciętnego wyborcy jeszcze bardziej abstrakcyjny niż dotąd, zainteresowanie eurowyborami jeszcze by spadło, a w ślad za tym instytucje europejskie jeszcze bardziej, w porównaniu ze stanem dzisiejszym, by się wyalienowały i w konsekwencji sławetny deficyt demokracji w UE, zamiast spaść, jeszcze by wzrósł. Natomiast wpływ mniejszych narodów na bieg dotyczących ich interesów decyzji europarlamentu jeszcze by zmalał. Ale euroentuzjasta tego nie rozumie. Bo Unia ma być „ever closer", czyli coraz bardziej zintegrowana, to aksjomat, który już za chwileczkę, już za momencik muszą pojąć wszyscy, którzy nie są idiotami albo agentami Putina.

I nie ma głupstwa, którego by euroentuzjasta nie powiedział czy nie napisał, by uświadomić nieuświadomionych i przybliżyć w ten sposób milenium szczęśliwości oraz nadejście krainy, w której dziecię bezpiecznie zrodzone siądzie obok jagnięcia i lwa, a muzułmanin obok Żyda. Nawet inteligentny euroentuzjasta potrafi np. twierdzić, że integrowanie Unii to coś podobnego do... tworzenia Stanów Zjednoczonych, bo przecież Amerykanie mogli sobie zachować niepodległość swoich Teksasów i Kalifornii, a wybrali racjonalnie i nowocześnie jedność. I nie zauważa oczywistości, że USA budowali ludzie jednego języka i kultury (biali anglosascy protestanci), więc naród istniał w zasadzie od początku i był starszy niż poszczególne stany. Nie można tego porównywać z procesem integracji państw zamieszkanych przez różnojęzyczne narody o przeróżnych kulturach. A kiedy euroentuzjaście zwróci się na to uwagę, nawet się może i zgodzi – po to, żeby za chwilę znowu powiedzieć to samo. Nic na to nie poradzi, bo to nałóg.

Innym zestawieniem, którego euroentuzjaści chętnie używają i nadużywają, to porównanie integracji europejskiej do unii polsko-litewskiej. Ryzykowne nie tylko dlatego, że była to unia jednak tylko dwóch państw, a więc siłą rzeczy poziom komplikacji procesu był wielokrotnie mniejszy. Przede wszystkim dlatego, że teraz to my, jako partner słabszy, występujemy w tej konfiguracji w roli ówczesnej Litwy. A dzisiejsi Litwini decyzję swoich przodków o wejściu w unię z Koroną oceniają bardzo krytycznie.

Niepokoją mnie euroentuzjaści. Nie dlatego, żebym się obawiał, iż zrealizują swoją utopię. To jest całkowicie niemożliwe. Tylko dlatego, że integracja europejska jest w rozsądnych granicach czymś bardzo pożytecznym i dla całej Europy, i dla Polski. Euromaniacy zaś, eskalując swoje szaleństwo, próbując na wszelkie sposoby zmusić narody, aby uwierzyły w ich urojenia, manipulując i demonstrując pogardę dla woli suwerennych ludów, w istocie rzeczy ciężko, choć nieświadomie, pracują nad tym, aby te ostatecznie wierzgnęły i odrzuciły Unię jako taką. Cały projekt europejski.

Bo już wielokrotnie w historii się zdarzało, że jacyś ludzie tak bardzo czegoś chcieli, iż osiągali efekt będący dokładnym tego czegoś zaprzeczeniem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3de1d194be

MACIEJ PAWLICKI

Proroctwo Kory



Listopad to niebezpieczna dla Polaków pora – mówi carski namiestnik, książę Konstanty w „Nocy listopadowej". Swój wizjonerski arcydramat zaczął Wyspiański pisać po wizycie w warszawskich Łazienkach, gdzieś koło Teatru na Wodzie wyobraźnią ujrzał współdziałanie greckich bogiń z polskimi powstańcami w dziele porwania narodu ku wolności. Ale części polskich generałów pozostających w służbie zaborcy porwać nie zdołali. Po stłumieniu powstania owym moskiewsko-polskim generałom za służbę podległości, za gorliwe pilnowanie polskiej niewoli car postawił obelisk na środku placu Saskiego. Niech Polacy wiedzą, kto tu rządzi. Potem, w tym samym celu i w tym samym miejscu, Rosjanie wznieśli ogromny, dominujący nad Warszawą sobór. Po odzyskaniu niepodległości, także w swych sercach i umysłach, wolni Polacy ten symbol podległości Moskwie rozebrali. Dziś w tym miejscu stoi niewielki papieski krzyż. Z dominującym nad Warszawą Pałacem Stalina w tle.

U Wyspiańskiego bogini Kora, schodząc do Hadesu, zapowiada: „Po ojcach wielkich – wielkie wskrzeszę syny – kiedyś – będziecie wolni!". Dekadę później „wielkie syny" rzuciły na stos swoje życie, potrafiły współdziałać, do dziś zadziwiając odwagą, poświęceniem, mądrością, wizjonerską polityką i skuteczną dyplomacją. Proroctwo Wyspiańskiego się wypełniło. Odtąd listopad jest dla Polaków świętem wolności. Nic dziwnego, że chętni do roli zaborców mówią, iż jest „niebezpieczny".

Proroctwo Wyspiańskiego się wypełniło. Odtąd listopad jest dla Polaków świętem wolności. Nic dziwnego, że chętni do roli zaborców mówią, iż jest „niebezpieczny"

Ale jest też listopad sprawdzianem politycznej odpowiedzialności. Trzy wydarzenia układają się w mozaikę wokół pytania: czy Zjednoczona Prawica będzie rządzić Polską kolejne pięć lat? Z różnych stron pokazują zagrożenia i szanse.

Wybory samorządowe: postęp w stosunku do sfałszowanych wyborów 2014 r. i koalicyjny sukces dolnośląski, ale w miastach bolesna przegrana. Mocny sygnał, że kanały komunikacji z wielkomiejskim elektoratem są dalece niewystarczające, jeśli w ogóle istnieją. A to nie jest dla prawicy bój przegrany, najwyższe poparcie w najmłodszej części elektoratu mówi, że potencjał jest duży.

Marsz Dwojga Imion. Polskie zwycięstwo. Nieszczególnie wielkie ani bohaterskie, ale ważne i pilnie potrzebne. Odniesione w ostatniej chwili. Wydawałoby się oczywiste, ale nieoczywiste. Rząd w końcu dogadał kompromis z organizatorami Marszu Niepodległości, dał mu bezpieczeństwo i poszedł na jego czele. Niełatwa operacja zakończona sukcesem. Byłem na marszu po raz dziewiąty, ten był największy, najspokojniejszy, najbardziej jednolity, w 99 proc. biało-czerwony. Ale gdyby nie zatrzymanie na granicy kilkuset prowokatorów, gdyby nie prewencyjne działania policji, mogłoby być inaczej. Kłamcy próbują gigantyczną i piękną manifestację polskości opluć oraz zniesławić, ale najważniejsze, że Polacy mogli i chcieli pokazać swą dumę z Polski. Przekomarzanki, czyj to marsz bardziej, nie są mądre. Wszystkie strony wygrały, dały nadzieję, że są tą samą, polską stroną. Przegrali nienawistnicy. Za rok i w kolejnych latach ten sukces trzeba powtarzać, wzmacniając marsz i rozwijając tę największą manifestację polskiej wspólnoty.

I trzeci element, nieprzyjemny: dymisja szefa Komisji Nadzoru Finansowego. Tak, wiem, kim jest właściciel Getin, mam o jego esbecko-bankowych dokonaniach jak najgorsze zdanie. Klientem jego banku był Leszek Cader, któremu Getin sprzedał toksyczny instrument finansowy jako „kredyt frankowy" i który – nękany przez bank – popełnił samobójstwo. To wspólnik reprezentującego Czarneckiego mecenasa Giertycha rozwala od środka pozew zbiorowy ofiar Getin Banku przeciw swym oprawcom. Ale mnie obchodzi moja strona – nadzór mojego państwa nad rynkiem finansowym. Jeśli usłyszymy całe nagranie i okaże się prawdziwe, kara powinna być surowa. Ale nie mniej ważne ustanowienie reguł. Poprzedni szefowie KNF pracują dziś na wysokopłatnych stanowiskach w bankach, który do niedawna „nadzorowali", dopuszczając do gigantycznych nadużyć i łamania prawa. Nic nie szkodzi?

Układanka trudna, ale konieczna: komunikacja, kompromis, uczciwość, konsekwencja. Żeby listopadowe proroctwo Kory się wypełniło, musimy przestać być bantustanem.

eprasa.pl 3de1d194be

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Bycie wspólnotą



„Idziemy, faszyści" – rzucił młody człowiek. Większość w śmiech

Ajakże, dzielę się wrażeniami po Marszu Niepodległości, chcąc utrwalić w pamięci wydarzenia, które prowadzą nas, jestem o tym przekonany, do tego, by stać się wspólnotą. Pod tym względem było to wydarzenie wielkie, niepowtarzalne, obiecujące. Patrzę na nie także z perspektywy pierwszej po wojnie manifestacji patriotycznej, jaką oglądałem blisko 40 lat temu na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Marsz 11 listopada 1979 r. nazywam „zimowym", padał wtedy gęsty śnieg, zacinał wiatr, a liczni zebrani ludzie patrzyli zdumieni na w sumie skromny liczebnie, ale dumnie kroczący pochód. Faktycznie była to już druga manifestacja, po tej z 1978 r., w 60. rocznicę odzyskania niepodległości. Andrzej Czuma przypomniał, że organizatorami manifestacji były ROPCiO i KSS KOR, a wówczas ktoś zwrócił mu uwagę, że także KPN, a inny dodał, że prawie całe biuro polityczne KPN zatrzymano w areszcie śledczym. I rzeczywiście tak było.

W tym samym czasie odbywała się równie imponująca manifestacja patriotyczna w Krakowie zakończona brutalną pacyfikacją przez milicję. Dziś po latach organizatorzy tej i innych manifestacji opowiadają, jak przebiegały i jakimi prześladowaniami się kończyły. Zatrzymania i aresztowania dotykały wszystkich uczestników manifestacji opozycji demokratycznej, ale nie w równym stopniu, bo komunistyczna władza najbardziej tępiła działaczy KPN.

Marsz w stulecie odzyskania niepodległości przechodzi do historii. Liczbę 250 tys. uczestników uważam za zaniżoną, skoro o marszu w obronie TV Trwam mówiono, że zgromadził 200 tys. ludzi. Oczywiście więcej było nas na papieskiej mszy świętej 2 czerwca 1979 r. – ponad 1 mln osób. Podobno tyle samo było na wiecu wokół Pałacu Kultury i Nauki w październiku 1956 r., na którym przemawiał towarzysz Władysław Gomułka. Jakże wielkie nadzieje towarzyszyły wtedy Polakom. Ale trzeba było czekać jeszcze ponad 60 lat, aby stworzył się Marsz Niepodległości pod biało-czerwoną flagą, marsz wolnych Polaków, i aby to prezydent RP zapraszał wszystkich do wspólnych obchodów narodowego święta.

Wraz z „Mazurkiem Dąbrowskiego" odpalono zakazane race. Stałem wśród wielu tzw. narodowców, czyli zwykłych chłopaków, grzecznie jednak reagujących na wytykane im przez eleganckie panie wulgaryzmy. Pięknie było, gdy wiejący od Wisły wiatr całkowicie przysłonił dymami Pałac Kultury i Nauki. Stały bastion warszawskiej lewicy, specjalnie tego dnia podświetlony na tęczowo, przestał istnieć. Szkoda, że na tak krótko. To, co dostrzegam w rzetelnych relacjach z marszu, to nadzwyczajne nagromadzenie tzw. zwykłych ludzi. Wielu specjalnie tego dnia przyjechało do Warszawy – korporacje akademickie z Krakowa, chłopcy w deklach i szarfach, a nawet grupa Szkotów zaproszona przez ich kolegę z Polski. Obok mnie samotna, starsza pani. Gdzie podziały się jej dzieci, wnuki, mąż? Szła z trudem, nic nie mówiła, trzymając w ręce narodową flagę. O czym myślała? Dlaczego chciała tu być, już nie samotna, w tym gęstym tłumie, poruszającym się najpierw jedynie 100 m na godzinę? Nie miałem odwagi zakłócić jej spokoju.

Różni ludzie, w różnym wieku, różnie ubrani, liczne dzieci zasypiające w wózkach, ale grzeczne. Różność w jedności, nigdy różność w jednostajności. A różnić się mamy pięknie i mocno, jak pisał Norwid. Miałem wrażenie, jakby wszyscy koniecznie razem chcieli tu być, aby osobiście doświadczyć bycia historią, zapisania się w niej, dotknięcia jej prywatnie w tym szczególnym dniu. Historyzm to nasza polska narodowa cecha. Historyzm wierny faktom, datom, wydarzeniom, nazwiskom, żadna tam narracja czy jakaś dowolna opowieść. Potrzeba bycia wśród bliskiego tłumu, w tym samym dniu i w tym samym czasie, wśród sobie podobnych. To musi być wspólnota.

Mylą się „wielcy tego świata", że ludzie niczego nie wiedzą ani niczego nie rozumieją. Zawsze są tacy, którzy nadrobią zaległości lemingów. Przemieszczający się tłum, w którym stykają się co rusz inni „zwykli ludzie", był skory i do rozmów, i do żartów. „Idziemy, faszyści" – rzucił młody człowiek, na co inny: „Faszyści i współcześni bolszewicy – marsz!". Większość w śmiech, ktoś inny się obruszył, „nie czując bluesa". Słowa wypowiedziane publicznie przez Donalda Tuska o bolszewikach będą tak samo zapamiętane w historii Polski jak słowa Józefa Cyrankiewicza o ręce podniesionej na władzę, którą trzeba uciąć. Wyłączył się ze wspólnoty, jak tamci, rdzenni bolszewicy.

Wyjątkową chwilę, „raz na 100 lat", utrwalały zdjęcia robione telefonami. Będzie można je pokazać znajomym, rodzinie, pozostaną w domowych archiwach na wieczne czasy. Raptem słychać, jak młody człowiek krzyczy w telefon do kogoś znajomego: „Tu jestem, na Marszałkowskiej, znajdziesz mnie obok mężczyzny z biało-czerwoną flagą". Tłum reaguje głośnym śmiechem.

www.wojciechreszczynski.pl

23/1118/F

eprasa.pl 3de1d194be

Uwolnić Barabasza!



Lech Makowiecki

O tempora! O mores! (łac. Co za czasy! Co za obyczaje!) – chciałoby się zakrzyknąć za Cyceronem. W wolnej Polsce wielu Polaków (najczęściej chrześcijan) – mając wreszcie szansę wybierania do władz najlepszych spośród siebie – głosuje wbrew przykazaniom Dekalogu! Kradzież, kłamstwo czy moralne zepsucie nie stanowią już przeszkody dla kandydatów ubiegających się o stanowiska i urzędy. Przyzwolenie na korupcję, tolerowanie fałszu, obłudy, rui i porubstwa pozwala sięgać po zaszczyty ludziom, których niegdyś eliminowano z życia publicznego za znacznie mniejsze przewinienia. To przybiera już formę groteski: złodziej woła za uczciwym: „Łapać złodzieja!", kłamca łże w żywe oczy, a dewiant prawi nauki o moralności. To już stało się niemal normą na „salonach". Nawet nieparlamentarny język zdominował słownictwo wielu posłów i senatorów.

Dawniej przestępca miał świadomość swej mizerii i ze wstydem przemykał pod ścianami, teraz wręcz pyszni się nieuczciwie zdobytym bogactwem. Upowszechniana nieoficjalnie dewiza: „Wszyscy dziś kradną" ma rozmyć lub oswoić winę ludzi odpowiedzialnych za wydawanie publicznych pieniędzy. Niemoc komisji śledczych – ujawniających bez konsekwencji rozliczne afery – to zobojętnienie na zło jeszcze umacnia. Bezkarność rozzuchwala: postkomuna szpanuje na patriotów, lewaccy liberałowie „zbawiają świat", a genderowa czeredka (LGBT) aż się rwie do „wychowywania" nie swoich dzieci. Wszyscy oni razem oskarżają tradycyjnie postępujących Polaków o faszyzm, ciemnogród, rasizm itp. Nienawiść do przeciwników politycznych przysłania zdrowy rozsądek; zaowocowało to kuriozalnymi wyborami w większości dużych, „postępowych" miast. Totalna opozycja – gdy miała jeszcze pełnię władzy – skazywała prawych na bezwzględne więzienie (np. szefa CBA Mariusza Kamińskiego) i uwalniała przestępców (kazus posłanki Sawickiej). „Bić k...wy i złodziei" – radził Piłsudski. Bez sanacji sądów jest to niemożliwe.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl 3de1d194be

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ewolucja języka



Aleksander Nalaskowski

Wtłaczanie nam przez pozostające na niemieckim socjalu media wielopiętrowe kłamstwo oparte na historycznej manipulacji jest zabiegiem zbrodniczym i czynionym z pełną premedytacją. Mój znajomy, zwykły robotnik stajenny, mawia: „On nawet swoje gó...o zje, jak mu się zabroni". Sytuacja jest à rebours. Cokolwiek zrobi PiS, to tzw. opozycja, a naprawdę grupa politycznych nieudaczników, okrzyknie złem, działaniem przeciw narodowi i naszemu interesowi. Dodatek 500+ jest oczywiście podłością, wyprawka szkolna dla dzieci jest jeszcze gorsza, ściganie aferzystów to zemsta na opozycji, a pilnowanie interesów Polski to polexit. Jeśliby PiS powiedział, że zabrania kąpieli w morzu od stycznia do maja, to niechybnie Schetyna już w sylwestra siedziałby w slipkach na sopockiej plaży, a Rabiej w święto Sześciu Króli paradowałby z narzeczonym na riwierze w Dębkach. Przecież wystarczyłoby zabronić śpiewania „Mazurka Dąbrowskiego" 11 listopada, aby cała opozycja się wydzierała: „Kiedy my żyjemy", wtedy pozostała większość włączyłaby się w śpiew i mielibyśmy swoją jedność. A że jedni śpiewaliby przeciwko, drudzy za, to nie byłoby przecież słychać. Wystarczyło chytrzej pomyśleć.

Nawet targowica nie oznacza już zdrady, ale zgodną z duchem czasu grę polityczną

Zapewne ten sam mechanizm infantylnej przekory działał, gdy szło o ostatnie wydarzenia. Oto bowiem słowem nieprzyzwoitym, obrzydliwym stało się określenie „narodowiec". Bo teraz narodowiec to faszysta, a faszysta to nazista, a nazista to antysemita, a antysemita to Polak. I wszystko jasne. Bycie narodowcem jest więc naganne. Tak jak bycie Polakiem. Należy zatem zakazać kibicowania polskim sportowcom na wszelkich zawodach, a komentatorzy mają się użalać nad losem tych, którym dowaliliśmy trzy do zera w setach, i wskazywać na międzynarodowe korzenie naszych zawodników. Mamy pogardzać godłem i przodkami, którzy za Polskę zginęli, bo oddali życie zmanipulowani i w niesłusznej sprawie.

A tak serio – co jest złego w byciu narodowcem? Umiłowanie ojczyzny?! A kochanie własnej żony jest jeszcze OK czy może to już szowinizm domowy? Bycie katolikiem to religijna nietolerancja? A preferowanie wysokich blondynów jest wyrazem nienawiści do łysych kurdupli? Co jest złego w byciu narodowcem? – pytam. Nic. Dlatego należało to obudować kłamstwem i krętactwem, aby narodowiec oznaczało „kanalia". I tak się dzieje.

Gubernator z Brukseli zrobił to dość prymitywnie. Nazwał demokratycznie wybrane władze, a poniekąd wszystkich świętujących niepodległość, bolszewikami. Ten specjalista od polskości jako nienormalności obraził miliony ludzi, współobywateli. Przemówił jak gbur w festiwalowo wolnej Łodzi, w której – jak wiadomo – wolno wybrać prezydenta, jakiego się tylko chce.

Ćwierćmilionowy marsz to mnóstwo ludzi. Szkoda, że Jerzy Owsiak nie spojrzał na nich jako na potencjalnych i niegdysiejszych donatorów jego skarbonek. Gdyby myślał, to pobiegłby na marsz i szedł obok prezydenta. Ludzie by uwierzyli, że naprawdę chodzi mu tylko o czynienie dobra. Oj, za dwa miesiące posypałby się spory grosz na Orkiestrę! I prezydent by pewnie nie poskąpił. A cały legion Nalaskowskich za nim.

Nie tylko nie widzę niczego złego w byciu narodowcem, lecz również nijak nie potępiam palenia pochodni. Od razu uprzedzam, że za niczyje skojarzenia nie odpowiadam. Mnie pochodnie kojarzą się z rozświetlaniem ciemności, z atrakcją z dzieciństwa. A że jacyś hitlerowscy bandyci też chodzili z pochodniami, to nie znaczy, iż stały się one trwałą oznaką bandytyzmu. Znów działa kilkupiętrowe kłamstwo. Pochodnia ma się kojarzyć wyłącznie z Goebbelsem. Jak rozumiem, nie wolno też artystom, malarzom pokojowym, krawcom, producentom przemysłowym produkować niczego w kolorze brunatnym? Ale co z węglem?

Wszyscy mają jakiś problem z ONR. Ma go lewica, ma też prawica. A ja nie mam. Mogę krytykować (co mi się zdarza nierzadko), ale to wszystko, co mogę. Jeśli jest to organizacja legalna, kontrolowalna i nienaruszająca prawa, to ma prawo istnieć i demonstrować. Dokładnie tak samo jak organizacje lesbijsko-pederastyczne. One mają prawo mówić, my mamy prawo słuchać, a każdy może się nie zgadzać. A jeśli oenerowcy czy homoseksualiści naruszą prawo, to odpowiadają jako obywatele. Jak każdy. Finito.

Mamy jak psy Pawłowa reagować odruchami. Słysząc hymn, myśleć „narodowcy", myśląc „konstytucja" – widzieć Kasprzaka, a widząc tęczę – kochać homoseksualistów. Tak działa to wielopiętrowe kłamstwo. Zmiana znaczeń słów. Obywatelskość została najpierw zgnojona przez milicję, a potem do końca przez PO, prawo wyboru zdeformowane przez „Gazetę Wyborczą", a godność kobiety zdeptana i ośmieszona przez feministki. Obrona demokracji straciła twarz z okresu antykomunistycznego podziemia i teraz ma wygląd Kijowskiego. Nawet targowica nie oznacza już zdrady, ale zgodną z duchem czasu grę polityczną.

14/1118/F

eprasa.pl 3de1d194be

PRZEZ ŚWIETLIK

Myśli antypolskie

„Najokropniejszy rząd o jakimkolwiek historia wzmiankowała. To starożytny rząd feudalny w całej swojej ohydzie”. Tak strasznej władzy do tej pory nie było nie tylko w Polsce, lecz w całym cywilizowanym świecie. To władza krzewiąca kruchtę, zabobon, prześladująca mniejszości, fanatycznie katolicka, promująca katolicyzm w jego najgorszym wydaniu. Dopóki jeszcze Polaków trzymała jakoś w ryzach równowaga i wpływy polityczne innych państw, póki dbali o stosunki ze światem zewnętrznym, jakoś dało się w ich kraju żyć. Nikt nie zauważał ukrytych pod skórą dzikich instynktów, bo ukrywali je, troszcząc się o opinię świata. W momencie kiedy nastają ich własne, niezależne rządy, wychodzi z nich to, co najgorsze.



Wiktor Świetlik

Nie, powyższych opinii nie wygłosił ani Frans Timmermans, ani Martin Schulz, ani nawet Adam Michnik w wywiadzie dla „Le Monde” czy Sławomir Sierakowski w artykule dla brytyjskiego „The Guardian”. To znaczy być może wyznają podobną diagnozę, tę jednak zaczerpnąłem z książeczki, którą można kupić w internecie. Nosi zachęcający tytuł „Pisma przeciw Polakom”, a składa się z przemyśleń na temat naszej niższości i podłości wyrażonych przez samego François-Marie Aroueta, szerzej znanego jako Wolter, jednego z dwóch najbardziej uznanych myślicieli epoki oświecenia.

Okoliczności, w jakich Wolter pisał te niezbyt przyjemne rzeczy a to o wyborze i obronie króla Polaka – Leszczyńskiego, a to o narodowowyzwoleńczej konfederacji barskiej, a to o pierwszym rozbiorze, są dość powszechnie znane: rosyjskie i niemieckie pieniądze i oświeceni mecenasi, najwięksi zamordyści ówczesnej Europy z Katarzyną II na czele.

Oczywiście jako nienawistnych dzikusów przedstawiano nas już dużo wcześniej. Właściwie od początku. Robili tak niemieccy murgrabia walczący z pierwszymi władcami chrześcijańskiej Polski, a potem Krzyżacy, ale opowieść o nas Woltera jest o tyle ważna, że w sumie w różnych formach trwa do dzisiaj. Do dzisiaj zamordyści, niszczyciele innowierców, odszczepieńców i totalitaryści ze Wschodu i Zachodu przekonują, że to my jesteśmy tacy jak oni, a oni tacy jak my.

O książeczce Woltera przypomniało mi się, kiedy przeczytałem wszystkie komentarze krytykujące ćwierć miliona Polaków, którzy przed tygodniem świętowali 100. rocznicę odzyskania niepodległości. I to nie tylko te zagraniczne. „Cały świat wyrobił sobie opinię, że Polska jest dzikim, nacjonalistycznym krajem” – stwierdził Bronisław Komorowski. Wydawało się, że były prezydent jako myśliciel raczej do historii nie przejdzie, a tu – jak widać – i on ma w sobie coś z samego Woltera. Choć nad stylistyką jeszcze oczywiście nieco trzeba będzie popracować.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2018**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 30 listopada 2018 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt”. Głosować można również na **www.wsieciprawdy.pl**. Tam też dostępny jest regulamin plebiscytu.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2018 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci” przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci”.

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu ORLEN PKO Bank Polski PZU TAURON

epiasa.pl 3de1d194be

Krzepiące łzy Donalda



Jerzy Jachowicz

– Donald, ja tę robotę u ciebie rzucam. – No co ty? Igor, nie wygłupiaj się. Chcesz podwyżkę? Dostaniesz.

– Nie chodzi o pieniądze, ale o ciebie. Tym razem mówię poważnie. Nie pierwszy raz doprowadzasz do tego, że ja po prostu nie wytrzymuję. Jak często trzeba cię przekonywać, że celne, spokojne strzały robią większe spustoszenie aniżeli armatnie pociski zakończone pudłem? Tak jak ten z bolszewikami. Wyskoczyłeś niczym przysłowiowy filip z konopi. Ludzie takich idiotyzmów nie zapominają. A poza tym internet. Nic nie ginie. Tego nie da się już nigdy naprawić. Moje wysiłki mogą tylko zmniejszyć szkody, jakie sam sobie wyrządziłeś. Ciągle muszę sprzątać. Nie po sobie.

– Tym razem sam to zrobiłem. I to szybko, dwa dni później.

– Ale jak małe dziecko. Kto ci teraz uwierzy, że nie mówiłeś o PiS? Bo zaprzeczyłeś. Nie bądź śmieszny. Ile razy może się powtarzać to samo? Kiedy uzgadniamy coś, przytakujesz mi, zapewniasz, że rozumiesz, co się do ciebie mówi. Oburzasz się, gdy proszę o powtórzenie ustaleń, a następnie zachowujesz się jak nieznośny smarkacz, aby zyskać tani poklask. Jak widzisz kamerę, tracisz rozum. Jak na Amber Gold. I jeszcze się pysznisz, jaki to jesteś fechmistrz na słowne pojedynki. Powiedzieć ci prawdę? W niektórych atakach przypominałeś gulgoczącego indora, który rzuca się na orła.

Niespodziewanie z oczu Donalda Tuska popłynęły pierwsze, hamowane łzy. Przewodniczący Rady Europejskiej zaczął płakać. A po chwili nie był w stanie powstrzymać szlochu. Igor przeniósł się na kanapkę, usiadł obok, a Donald wtulił lewy policzek w klapę marynarki Igora. – Już dobrze, już dobrze – mówił ten ostatni, dotykając delikatnie głowy byłego premiera.

Zadzwonię do Kasi i Andrzeja – jedno z nich zrobi z tobą rozmowę na żywo, nad którą tydzień wspólnie popracujemy. Odzyskamy wiarygodność. Tym już sobie nie zaprzątaj głowy. Lepiej skup się teraz nad znalezieniem rozwiązań, które będą nas czekać po odejściu Angeli. To może wiele utartych rzeczy wywrócić.

– Igor, nie jestem w stanie o takiej strasznej rzeczy myśleć.

CO MNIE RADUJE, CO MNIE CIESZY

No i co?



Katarzyna Łaniewska

No i co teraz, pani niestety ciągle prezydent Miasta Stołecznego Warszawy? Tak się pani bała, że aż zakazała marszu, który miał być zagrożeniem. Iść ze sztandarami z faszystowskimi hasłami. Marszu, który miał straszyć ludzi.

Prezydent Rzeczypospolitej wraz z premierem dali odpór tej głupiej decyzji. Marsz został ogłoszony marszem państwowym. Rząd i organizatorzy marszu stanęli na wysokości zadania. A że kiedyś ktoś w marszu niósł jakieś idiotyczne transparenty, to przekaz był taki, że 60 tys. faszystów maszerowało przez Warszawę.

Ten marsz szedł już od kilku lat. W pierwszym brałam udział. Przenikało się przez kordony policji, by móc się dostać pod pomnik Piłsudskiego przy Belwederze. Tam mówiłam wiersze. Z tych pochodów, w których szłam jako sympatyk klubów „Gazety Polskiej", pamiętam kordony policji i płonący samochód. Dlaczego nie szli zobaczyć, czemu się pali? Bo miał się spalić. Te wszystkie wydarzenia miały się zdarzyć. Długo żyję i dużo pamiętam. Nie jestem już sprawna w chodzeniu, ale w myśleniu jeszcze tak. Podczas tego wielkiego święta najpierw w katedrze dzień przed, w obecności prezydenta, premiera, rządu i tłumu Polaków, którzy byli w świątyni i przed nią, mogłam powiedzieć te wiersze, które kiedyś wykrzykiwałam pokątnie pod pomnikiem. To podziękowanie, jakie dostałam, przeszło moje największe marzenia. Było to uwieńczenie mojego zawodu. Ten rok był wyjątkowy. Nie wiem, czy będę jeszcze miała szansę, czy sił mi wystarczy na przyszły rok. Wszystkim najserdeczniej dziękuję.

Oglądając w telewizji tegoroczny marsz, płakałam wiele razy, gdy ludzie z biało-czerwonymi flagami mówili, dlaczego tam są. Kościół św. Aleksandra w dniu marszu był nabity młodymi ludźmi z dziećmi. Po mszy, gdzie też mówiłam poezję, podchodzili do mnie i rozmawiali. Mówili, że to wielka rocznica. Przyjechali z daleka i szli. 250 tys. – tyle ich było. Trwało to godziny. Pan minister Mariusz Kamiński mówił w telewizji, że musiały być małe incydenty, ale to nic nie było. Tłum z biało-czerwonymi sztandarami krzyczał do protestujących w obronie konstytucji: „Chodźcie z nami!". My kiedyś tak krzyczeliśmy do milicji. Jeden idiota spalił flagę Unii Europejskiej. Czy tylko to pokaże Zachód? Na ulicach tego dnia była rzesza biało-czerwonej Polski. Niestety nie widziałam flag zwisających z każdego balkonu w Warszawie. W moim domu była jedna – moja... Tak niestety się dzieje. Przykro i żal.

Warszawa nigdy nie będzie biała i nigdy nie będzie czerwona, jak powiedział, cytując poezję, pan prezydent. 11 listopada to był wielki polski dzień!

51/0918/F

eprasa.pl 3de1d194be

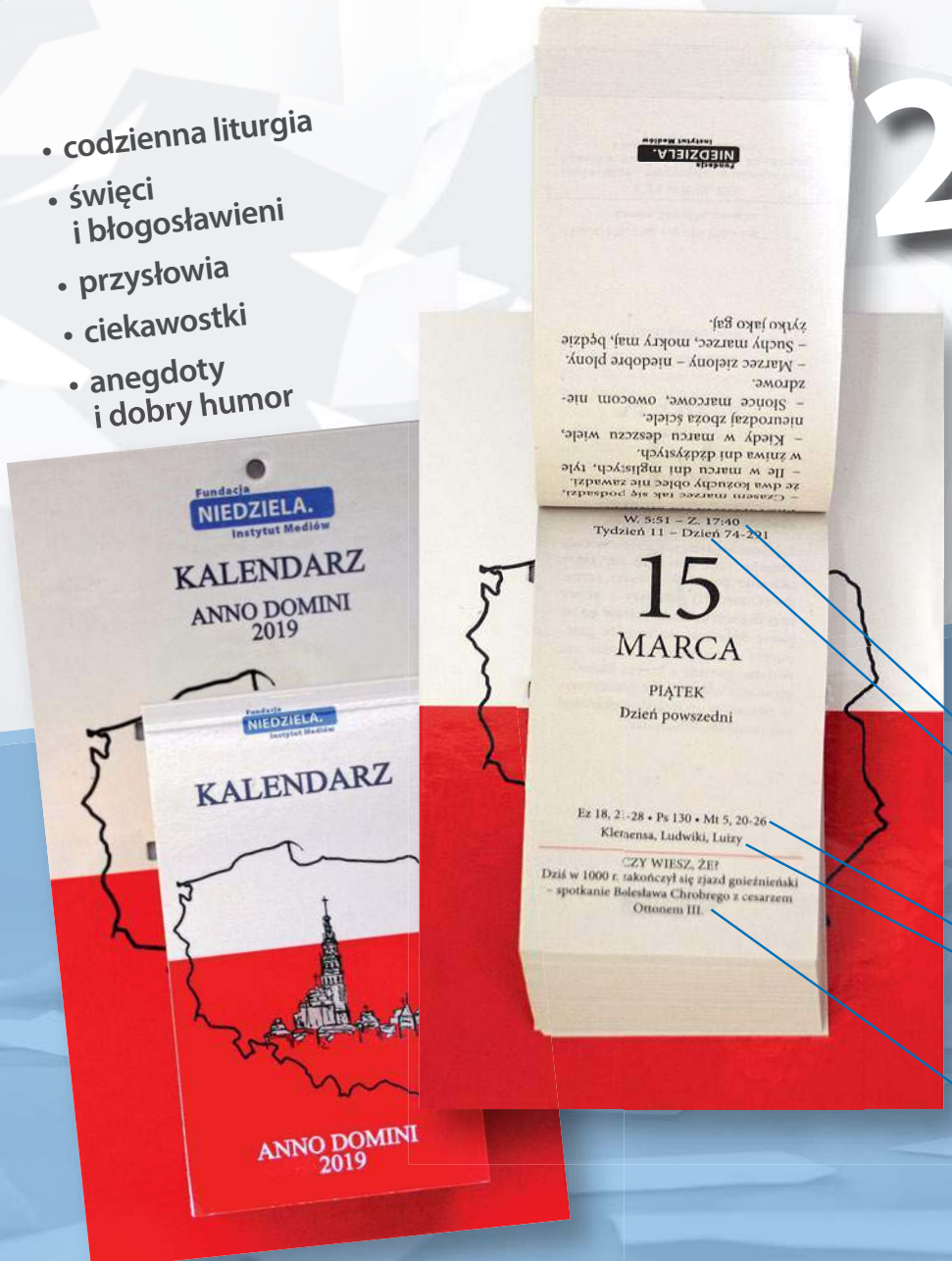
TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

KALENDARZ KATOLIKA PATRIOTY

ANNO DOMINI

2019

- codzienna liturgia
- święci i błogosławieni
- przysłowia
- ciekawostki
- anegdoty i dobry humor



niedziela
TYGODNIK KATOLICKI

cena **10 zł**
+ KOSZT WYSYŁKI

- wschody i zachody Słońca
- długość dnia
- codzienna liturgia
- imieniny
- wydarzenie dnia

ZAMÓWIENIA:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

www.ksiegarnia.niedziela.pl
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

Fundacja. NIEDZIELA. Instytut Mediów

eprasa.pl 3de1d194be

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

W kwestii flary

Bez flar Marsz Niepodległości nie miałby tak uroczystej oprawy

11 listopada przez Warszawę przeszło 250 tys. Polaków. Ten marsz, możliwy dzięki porozumieniu zawartemu w ostatnim momencie pomiędzy zarządem Stowarzyszenia Marszu Niepodległości a władzami, to niebywały sukces środowisk patriotycznych. Na nic się zdały oskarżenia o faszyzm i nazizm mające uniemożliwić radosne przejście Polakom ulicami stolicy w 100-lecie odzyskania Niepodległości.



Ryszard Makowski

Nie wiedzieć czemu już po marszu policja postanowiła się wykazać. Poszukują tych, co odpalili flary. To nie można było wyłapywać tych groźnych przestępców w czasie marszu? Owszem, flary są zakazane, ale jest to zapis na wyrost. Nic nie słychać, żeby na meczach piłkarskich ani na marszach flara zrobiła komuś krzywdę. Czerwone światła dawały niesamowitą atmosferę i teraz za to będą wlepiane kary paru tysiącom uczestników? Zbędna gorliwość.

Postanowiono też złapać winnych spalenia flagi unijnej. Zamiast operacyjnie namierzyć sprawców tego godnego potępienia, ale marginalnego incydentu, wyznaczono nagrodę 5 tys. zł. Skarbnik Młodzieży Wszechpolskiej doniósł na komisariacie na prezesa tej organizacji. Czekają na nagrodę. Minister Brudziński oznajmił: „Symbole na fladze UE – 12 gwiazd, które dla mnie jako chrześcijanina oznaczają gwiazdy otaczające głowę Najświętszej Maryi Panny – są najświętsze". Wątpliwe, żeby MW spaliła tę flagę w ramach bluźnierstwa, ale jak się teraz muszą czuć lewacy, którzy chętnie się z flagą UE afiszują? Mają zgryz.

eprasa.pl 3de1d194be

***Zawistowski prezentuje:* KNF**



Wycinki z przeszłości

Stulecie odzyskania niepodległości to także czas, w którym wspominamy najważniejszego z twórców II Rzeczypospolitej – Józefa Piłsudskiego. Już jemu współcześni wiedzieli, że wyrastał nie tylko ponad swoje czasy, lecz także ponad swoją epokę. Gdy zmarł w maju 1935 r., żegnano go nie tylko jako przywódcę państwa, lecz także jako jednego z najważniejszych mężów stanu w całej naszej historii. Miesięcznik „Morze" na pierwszej stronie zamieścił pożegnalne orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego. Czytamy w nim m.in.: „Wielkim trudem Swego życia budował siłę w Narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom jego pracy danem mu było oglądać państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armję naszą – sławą zwycięskich sztandarów okrytą". Dalej prezydent Mościcki nazywa Piłsudskiego „największym na przestrzeni całej naszej historji Człowiekiem", który „z głębi dziejów minionych moc Swego Ducha czerpał, a nadludzkim wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał". Tak, on wyrósł z całych naszych dziejów, z krwi i poświęcenia wielu pokoleń.

(jk)


MORZE

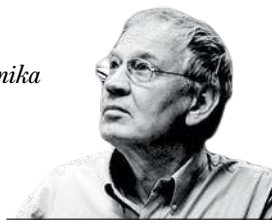
ORGAN LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

ORĘDZIE PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Marszałek JÓZEF PIŁSUDSKI życie zakończył. Wielkim trudem Swego życia budował siłę w Narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać Państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armję naszą—sławą zwycięskich sztandarów okrytą. Ten największy na przestrzeni całej naszej historji Człowiek z głębi dziejów minionych moc Swego Ducha czerpał, a nadludzkim wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał. Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego tężyzna, zahartowana pracą, Sokół i do samodzielnej pracy zaprawił ludzi, na których ciężar odpowiedzialności skoro mu spoczął. Przekazał Narodowi dziedzictwo myśli o honor i potędze Państwa Narodowi dziedzictwo myśli o honor i potędze Państwa dalej. Ten Jego Testament nam żyjącym przekazane, przyjąć i uświęcić mamy. Niech żałoba i ból pogłębi w nas przeświadczenie naszej—całego Narodu—odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłemi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej
Ignacy Mościcki

Parę westchnień kapuście poświęconych



Leszek Długosz

Kilka myśli przelotnych
W ekspresie Warszawa–Kraków
Za oknem późno, pustka
– Szklisty poranek października
– Doszczętne uprzątnięcie
Przegrana batalia lata i nikt już
Nikt i nic i tylko pofantazjujmy
Ona
Ostatnia schodzi z pola
Kapusta – Brassica
Jak oddział rzymskich wojowników
Choćby i w pień, ale do końca
Na stanowisku
– Posiniały z zimna tłumek
Wyłącznie kapuściane głowy
Nabite jedną myślą: i l e?
I l e t o j e s z c z e m o ż e p o t r w a ć?
A jeśli wie?
A jeśli zdaje sobie sprawę?
O komfortowe czaszki mej igraszki
Rozchełstane smakoszostwo pamięci
– Faszerowanych gołąbków uroki
Pierogów pokumanie się z grzybami
Pańskich sałatek cienko przykrawanych wdzięki
Kapuśniaków chlipot przaśny
O rozpasanie myśliwskiego wreszcie bigosu
Namaszczone łykiem okowity
Czy choćby to po sąsiedzku
Skromne danie – parę listków wprost (sauté)
W klatce obok – obiadek króliczy...
Tak skończyć?
Więc taka to przyszłość?
O Współpodróżni, Współbiesiadnicy
Jak łatwo myślą mlasnąć
Czas sobie dekorować miłą
W podróży metaforyką
Lecz tak naprawdę – wiedzieć?
Do końca znać scenariusz?
– W opustoszałym zostać polu
Po wszystkich już, po wszystkim
I czekać?
I z drżeniem czekać – kiedy
Tasaka spadnie zimne ostrze
Wtedy, przyznacie, w t e d y...
Ot kilka westchnień moich
Kapuście poświęconych. W ekspresie
Więc przelotnie (na trasie Warszawa–Kraków)
Kapusta, przypominam – Brassica

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 3de1d194be

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Epistemologia w chmurze

Problem miał już biblijny Piłat: „Cóż jest prawda?”. Ale odpowiedź Jezusa: „Jam jest drogą, prawdą i życiem” to raczej wielkie zobowiązanie niż definicja. W odniesieniu do spraw ostatecznych problem z prawdą mieli ludzie epok dawnych i mają ludzie teraźniejszości. Ale wydawałoby się, że w odniesieniu do spraw prostszych, przyziemnych – np. jaka część Polaków udających się na Marsz Niepodległości to naprawdę faszyści – to chyba fakty ustalić nietrudno?

A jednak ustalenie tych najprostszych prawd w świecie internetowej obfitości jest wyzwaniem. Henry Story, autor tekstu, od którego pożyczamy tytuł felietonu, zastanawia się, jak w świecie, gdzie każdy może publikować wszystko, ustalać, co prawdziwe, a co fikcyjne.



Świat ludzkiego umysłu ulatuje beztrosko w przestworza, rozpływając się w nicości, nie dbając już o żadne prawdy

PRZED CHMURĄ

Przypomnijmy, jak było w świecie jeszcze niezglobalizowanym i przed internetem.

Prawdy wyłaniały się w praktyce społecznej. Podczas walk (zwycięzcy narzucali swoje prawdy przegranym), w ramach dialogu (wspólne uzgadnianie) lub dzięki negocjacjom (dobijanie targów). Swoją rolę mieli przywódcy charyzmatyczni, którzy nie musieli bazować na przemocy (jak wodzowie), na słuchaniu (jak ludzie zwykli) ani na porównywaniu korzyści materialnych (jak kupcy). Przywódcy podpowiadali ludziom prawdy, trafnie wskazując cele działania i sposoby odróżniania tego, co dla zbiorowości pożyteczne, od tego, co szkodliwe.

W toku ciągłych wzajemnych, bezpośrednich oddziaływań tworzyły się wspólne wyobrażenia, kanony kulturowe, powtarzalne formy zamiany ludzkich doświadczeń na komunikaty językowe. Ogłaszano społeczne prawdy. Na przykład taką, która mówi, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny, albo taką, która stwierdza, że nie wolno zdradzać swej ojczyzny.

Ten proces wyłaniania się i „ogłaszania” prawd nie był jednak zbyt demokratyczny (przynajmniej nie w dzisiejszym sensie). Nie każdy ważył się zabierać głos. Niezależnie od zróżnicowań pod względem bogactwa i władzy ludzie byli świadomi swoich zróżnicowań pod względem rozumu. Z grubsza wiedzieli, czego nie wiedzą, a nawet jeśli myślą, że wiedzą, to kiedy nie powinni mówić. W szczególności głosu ongiś nie miały istoty jeszcze nie całkiem socjalizowane, czyli dzieci i ryby. Zakładano bowiem, że wiedzą zbyt mało, że nie znają kontekstów, by ich głos prowadzić mógł do czegoś więcej niż do nieporozumień.

Oczywiście miało to swoje minusy, ale być może – i to jest chyba najbardziej frapujące – bez pewnej autocenzury rozmowy tworzą zgiełk, z którego nic nie wynika.

W CHMURZE

Dziś już jest inaczej – każdy czuje się uprawniony głosić swoje. O ile w historii co pewien czas zjawiali się buntownicy (niekiedy młodociani), którzy wbrew starym hierarchiom głosili swoje kontry, o tyle z powodów technicznych nie byli w stanie szeroko ani daleko docierać. Dziś internet daje głos wszystkim. I to natychmiast.

Dzięki technologii epistemologia – czyli refleksja nad tym, jak poznajemy świat – znalazła się w chmurze. Nieprzejrzystej, złowieszczo gradowej. Gdzieś tam na serwerach sieci ludzkie procesy poznawcze przebiegają, przetwarzają się, przepoczwarzają, rozwijają, zwijają czy raczej rozpływają.

I cóż na to demokracja? Skazana jest na bycie karykaturą – demokracją sieciową. To taki dziwoląg, który sprzyja przewadze mówców, artystów, „ekspertów”, sprawozdawców – tych, którzy występują, kreują, ustalają nad tymi, którzy mieliby słuchać. Ale po co uważnie słuchać, skoro można głosić?

Mamy karnawał nielimitowany. Przez stulecia okres karnawału, czas zabawy konwencjami, możliwości uwolnienia na krótko swego alter ego, dzięki maskom pełnił funkcję wentyla bezpieczeństwa. Emocje w dzień powszedni trzymane na wodzy dostawały w ściśle ograniczonym czasie i umownej formie bezpieczne ujście.

Ale czy karnawał w chmurze musi się trzymać starych zasad? Nie musi. Masek jest bez liku, głosić i robić można, co dusza zapragnie. I tak zamiast wypuszczania pod kontrolą nadmiaru pary świat ludzkiego umysłu ulatuje beztrosko w przestworza, rozpływając się w nicości, nie dbając już o żadne prawdy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 42/0118/F, 62/0118/F, 28/0218/F, 58/0118/F, 44/0118/F

eprasa.pl 3de1d194be



FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

SIECI

PARTNER

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 3de1d194be

JUŻ 26 LISTOPADA W TYGODNIKU

SIECI

PRZEDOSTATNI ODCINEK Z SERII DODATKÓW EDUKACYJNYCH

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • Wojciech Kossak • Jan Kiepura • gen. Józef Haller • Władysław Grabski • Januszy Kusocińscy • Walery Sławek • Wincenty Witos • gen. Kazimierz Sosnkowski • Roman Dmowski • ks. Adam Sapieha • Wojciech Korfanty • im. ż.

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.



TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 3de1d194be